ODSŁANIAMY KULISY

Chodakiewicz o tajnym archiwum w sprawie mordu w Jedwabnem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 25/430 21–27 CZERWCA 2021

Waszczykowski dla „Do Rzeczy": Biden woli powstrzymywać Chiny niż Rosję

JAK W CZASACH COVID-19 DOTRZEĆ NA ZAGRANICZNY URLOP

Dodatek specjalny: Chrońmy szkoły wyższe przed ideologią LGBT

PROF. ANDRZEJ NOWAK O NIENAWIŚCI NEOMARKSISTÓW DO POLSKOŚCI

Kto nam chce ukraść historię

„Szlachcic polski" – obraz Rembrandta z 1637 r.

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 25

Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

URODZIŁAM SIĘ NA PAWIAKU. ROZMOWA Z OFIARĄ III RZESZY

Ryszard Kaczmarek – **Boje powstań śląskich**
Tomasz Stańczyk – **Dramat Korfantego**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał wojnę**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Warneńczyka**
Jacek Bartosiak – **Przyszła wojna Polski z Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Romans Mannerheima**
Sławomir Cenckiewicz – **Między Hitlerem a Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d3eaad21cf

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mądry ruch Orbána

Obserwując zmiany polityczne ostatnich lat, można odnieść wrażenie, przynajmniej ja nie mogę się od niego uwolnić, że świat nieuchronnie zmierza w jednym, zaprogramowanym jakby z góry, kierunku. Wiem, że nie istnieje konieczność dziejowa i że wszystko zależy od ludzkich decyzji, ale tak się dziwnie składa, że z roku na rok dominacja ideologii lewicowej i liberalnej w państwach Zachodu jest coraz bardziej wyraźna. Tym bardziej chwalę tych polityków, którzy potrafią owemu pozornie niepowstrzymanemu pędowi się przeciwstawić. Nie występują oni na arenie dziejów w roli pacynek i papug, które jedynie powtarzają przejęte z zewnątrz i wyuczone slogany, ale okazują charakter i przeciwstawiają się walcowi postępu, broniąc wartości i zasad podstawowych. Dlatego tak bardzo ucieszyła mnie informacja o tym, że węgierski parlament przyjął ustawę przygotowaną przez węgierskiego premiera Viktora Orbána, która ma chronić węgierskie dzieci i młodzież przed transgenderową i homoseksualną propagandą. To prawdziwy przełom i autentyczny przejaw odwagi. Wreszcie ktoś miał śmiałość stawić czoła smokowi – w tym przypadku coraz bardziej totalnej dominacji tęczowej, politycznej poprawności.

Węgierska ustawa, za którą poza posłami Fideszu głosowali też parlamentarzyści opozycyjnego, prawicowego Jobbiku, zakazuje w szkołach propagowania homoseksualizmu i „zmiany płci". Zajęcia z wychowania seksualnego będą mogły prowadzić, oprócz szkolnych wychowawców, tylko osoby i organizacje występujące w oficjalnym, aktualizowanym rejestrze. Nareszcie zniknie to, co jest coraz częstszym koszmarem także polskich szkół – samozwańczy seksedukatorzy, których głównym celem jest przeniknięcie do szkół i głoszenie tam propagandy LGBT(QIA+).

W węgierskiej ustawie znalazły się przepisy mówiące o tym, że państwo ma chronić prawo dziecka do zachowania tożsamości odpowiadającej płci w chwili urodzenia. Nareszcie, chciałoby się powiedzieć. Od kilku lat ideologowie prowadzą przecież zakrojoną na gigantyczną skalę akcję, której celem ma być rozbicie tożsamości płciowej człowieka. Dążą do tego, by przekonać dzieci, a także rodziców, że płeć jest czymś płynnym, dowolnym, nieokreślonym, zmiennym. Nie ma chłopców i dziewczynek, mężczyzn i kobiet. Działalność tych seksedukatorów coraz częściej przypomina aktywność sekt, które próbują werbować adeptów w szkołach, często bez wiedzy rodziców. Ich głównym celem ma być, oczywiście w imię powszechnego szczęścia, kreacja nowego człowieka, homunkulusa, obojnaka, niekreślonego podmiotu.

W zderzeniu z dobrze zorganizowanymi grupami aktywistów rodzice, nie mówiąc o dzieciach, są bezbronni. Tym bardziej że w tej kampanii tworzenia nowego człowieka biorą udział wielkie media. Dlatego w ustawie są przepisy przewidujące kary finansowe dla stacji telewizyjnych, które pokazują na swoich antenach programy „promujące homoseksualizm" lub „zmianę płci". Również w treściach reklamowych!

Jak łatwo przewidzieć, decyzja ta wywołała wściekły wrzask oburzenia liberalnych, zachodnich mediów oraz, jak mogłoby być inaczej, różnej maści unijnych biurokratów. Niektórzy ze złości omal nie pękli, co akurat w okresie obecnych upałów może się okazać dla nich wyjątkowo szkodliwe. Pojawiły się, znowu do bólu przewidywalne, oskarżenia o podążanie drogą Putina i kopiowanie rosyjskiej ustawy z 2013 r. przeciw propagandzie homoseksualnej. Na szczęście Orbán nie dał się zaszantażować.

O tej decyzji węgierskiego parlamentu piszę nie tylko z uznaniem, lecz także z goryczą. Już kilka lat temu w „Do Rzeczy" postulowałem podobne rozwiązania. Bez ustawowego wzmocnienia obrońców prawa naturalnego zwycięstwo z tęczową rewolucją jest bardzo trudne. Wystarczy zobaczyć, w jaki sposób ową ideologię wspierają wielkie międzynarodowe koncerny, jak gigantyczny strumień pieniędzy płynie dla aktywistów z Brukseli. Z tak potężną armią nie można wygrać za pomocą pospolitego ruszenia ludzi dobrej woli.

Niestety, polscy politycy prawicy, z małymi wyjątkami, walki z rewolucją podejmować nie chcą. Ograniczają się do dobrze brzmiących, ale nieskutecznych, retorycznych popisów. Dlatego w Polsce nie ma (i nic nie wskazuje na to, by się pojawiła) ustawy chroniącej Polaków przed homopropagandą. Nie został wprowadzony też do prawa przepis jasno stwierdzający zakaz adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. Ba, na domiar złego ostatnie wypowiedzi prezesa GUS (trudno mi uznać, że robił to na własną rękę) sugerują, że w kwestii legalizacji tzw. małżeństw jednopłciowych być może w ogóle czeka nas odwrót na całej linii.

W takich chwilach tym bardziej podziwiam premiera Orbána. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl d3eaad21cf

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
POLSKOŚĆ ZNIENAWIDZONA
Zniszczyć wspólnotę, by zbudować inną

KRAJ

20 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
BIDEN WOLI POWSTRZYMYWAĆ CHINY NIŻ ROSJĘ
Trzeba przetrwać ideologiczną wojnę w UE

23 PAWEŁ ZDZIARSKI
HAKERZY UDERZYLI W RZĄD

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TERAPIA RZESZOWEM

28 TOMASZ ROWIŃSKI
KONIEC TUSKA?

30 KAMILA BARANOWSKA
GRA O RADIO

32 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
POBUDZAJĄCY MĘTLIK IDEI

34 ŁUKASZ WARZECHA
MOTORYZACYJNY APARTHEID

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
WAKACJE W CHAOSIE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DZIENNIKARZ NIESPORTOWY

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
POWRÓT MISTRZA
Orwell czytany na nowo

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49
IDEOLOGIA LGBT A WOLNOŚĆ NAUKI

OPINIE

66 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SOŚNIERZEM
UKŁAD ZAMKNIĘTY
Zachowujemy się trochę tak jak ściągający na klasówkach

69 PRZEMYSŁAW STACIWA
WOLNOŚĆ POD RESPIRATOREM

72 JACEK WŁADYSŁAW BARTYZEL, EWA ROWIŃSKA
KUŹNIA ELIT MIĘDZYMORZA

HISTORIA

74 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
JEDWABNE: TAJNE ARCHIWUM
Odtajnione dokumenty ze śledztwa

78 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PIĘKNY UMYSŁ ZE LWOWA

ŚWIAT

80 KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI
KONIEC NAIWNOŚCI
Wielka Brytania kontra Chiny

82 PIOTR WŁOCZYK
MAAS, CZYLI ZAKAZ

EKONOMIA

86 ROBERT KURASZKIEWICZ
ROPA ODPŁYWA
Zmiana geopolityki surowcowej

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
JAK CIĘ WIDZĄ
Milioner w dziurawych portkach

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z PROF. EWĄ MARCINOWSKĄ-SUCHOWIERSKĄ
CHOROBA CZĘSTSZA NIŻ RAK
Osteoporoza

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (77), PRZYBYLSKI (84), GABRYEL, WARZECHA (90), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl d3eaad21cf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **National Gallery of Art**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy i e-maile. Przypominamy, aby korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Nowe szaty aborcji", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 23/2021

Dziękuję za uczciwy i rzeczowy artykuł Pana Rafała A. Ziemkiewicza nt. aborcji, opublikowany w najnowszym numerze tygodnika. Za nieemocjonalny styl pisania na tak ważny społecznie temat oraz zgodną z prawdą treść artykułu – bardzo dziękuję.

Z poważaniem i uznaniem
Katarzyna Waszkiewicz

„Człowiek człowiekowi rottweilerem", Małgorzata Wołczyk, „DRz" 24/2021

W 24. numerze tygodnika w felietonie pani Małgorzaty Wołczyk pojawił się dość często spotykany błąd językowy, tzn. pani redaktor pisze o człowieku jako rasie – tak wynika z kontekstu, bo wątpię, by „moja rasa" dotyczyła rasy białej. Prawidłowo powinno być „gatunek", bo człowiek jest gatunkiem dzielącym się na rasę białą, żółtą itd. Co może być odebrane, że to rasa biała morduje na skalę przemysłową, bo sądząc po zdjęciu pani redaktor, należy chyba do rasy białej… Chyba że nordyckiej, wtedy rozumiem kontekst…

Pozdrawiam
Piotr Chlewinski

Od autorki

Dziękuję Panu za zwrócenie uwagi. Oczywiście człowiek jako „gatunek" ma wiele na sumieniu, a nie tylko człowiek rasy białej. I to właśnie podkreślałam, pisząc o okrucieństwie ludów prekolumbijskich. Obiecuję, że na drugi raz, rozmawiając z psem o ludzkim okrucieństwie, użyję terminów bardziej precyzyjnych. Serdecznie pozdrawiam!

Małgorzata Wołczyk

Turów. Natychmiast?

Czy kluczem do rozwiązania kwestii Turowa nie jest przypadkiem interpretacja słowa „natychmiast"? Natychmiast to pani sędzia Rosario Silva de Lapuerta może się podrapać za uchem. Ale na przykład swojego laptopa już tak beztrosko nie wyłączy – najpierw pozamyka otwarte programy i aplikacje, dopiero kliknie „zamknij". A przypuśćmy, że pędzi swoim porsche szosą z prędkością 120 km/h. Jak się zachowa na sygnał: „Zatrzymaj się natychmiast!"? Z pewnością najpierw rozejrzy się za miejscem, gdzie będzie mogła bezpiecznie stanąć. Potem upewni się, że jej manewr nie zagrozi innym uczestnikom ruchu. Zapewne zacznie sygnalizować zamiar zatrzymania się. I dopiero wtedy będzie naciskać hamulec i powoli zjeżdżać na pobocze. Podobna procedura musi być zachowana przy ewentualnym zatrzymaniu turoszowskiej kopalni i elektrowni, tylko w czasie zwielokrotnionym skalą obiektów i problemów (także środowiskowych). Oceniam, że mogłoby to zająć 15–20 lat, a wtedy kopalnia zapewne zbliżałaby się do kresu swoich dni. W każdym razie słowo „natychmiast" powinno zostać zinterpretowane przez poważnych ekspertów.

Adam Zubek,
Warszawa

eprasa.pl d3eaad21cf

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Partyzanci po 1947 r.

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Jawnie sfałszowane wybory w 1947 r. zakończyły pewien etap. Było już jasne, że kartką wyborczą nic się nie zmieni, a Zachód w niczym nie pomoże. W tej sytuacji władze postanowiły wykorzystać nastrój przygnębienia i 22 lutego 1947 r. przegłosowały w Sejmie kolejną amnestię. Miała ona jedną pozytywną stronę. Zostało zwolnionych wiele tysięcy dotychczas aresztowanych niepodległościowców. Ale jednocześnie to nowe kuszenie podcięło nogi leśnemu ruchowi powstańczemu.

Historyk Stanisław Poleszak ocenia, że po tej ostatniej amnestii w oddziałach leśnych pozostało nie więcej niż 2 tys. osób. Sam UB podawał jeszcze mniejszą liczbę, twierdząc, że pozostało ok. 250 partyzantów tworzących ok. 52 zbrojnych grup. Tak jak w czasie amnestii 1945 r. ci, którzy zachęcali do korzystania z niej, wskazywali na obowiązek podjęcia „normalnego życia", tak teraz używano argumentu: „To ostatnia szansa na ratunek – wszystko już stracone". […] Dwie kolejne amnestie z lat 1945 i 1947 zlikwidowały leśny ruch oporu jako masowe zjawisko. Pozostali najbardziej zdeterminowani i odważni. […]

Jedno jest pewne – po 1947 r. żaden z oddziałów nie byłby w stanie działać, gdyby nie bohaterscy mieszkańcy wsi, którzy ukrywali ich na kwaterach. Tak jak głęboko szanujemy tych z Polaków, którzy w czasie wojny ukrywali Żydów, tak nieco zapomnianym bohaterstwem lat 1944–1963 jest udzielanie schronienia żołnierzom wyklętym. Za przechowywanie „leśnego" można było dostać kulę w łeb, trafić na długie lata do więzienia, a w wypadku wybuchu furii ubeków być świadkiem spalenia zagrody, a nawet wsi.

Co myśleli dowódcy oddziałów? Na pewno chwytali się każdej pogłoski o zbliżaniu się trzeciej wojny światowej. Dziś wiemy, że te rachuby nie były tak absurdalne, jak próbowały to prezentować po wojnie komunistyczne filmy. Oficerom nie mieściło się w głowie, że skoro Amerykanie mają monopol na broń atomową, to nie zawahają się jej użyć.

Arcybiskup Józef Michalik (rocznik 1941) pamięta dobrze atmosferę niepewności w jego rodzinnym Zambrowie, miasteczku, wokół którego działały liczne oddziały leśne: „W domu niejednokrotnie mówiono o partyzantach. A to, że jakiś posterunek milicjanci zdobyli albo że wcześniej napadli jakichś sąsiadów. A to, że zatrzymali autobus na trasie z Łomży do Kolna i wyciągnęli z niego kogoś, kto donosił władzy. Przy niektórych akcjach pojawiała się niepewność. Czy to byli niepodległościowcy, czy jedna z band rabunkowych? Zambrów był jakby wyspą w morzu terenów, na których działało wiele najprzeróżniejszych grup. A mieszkańcy miasta, nieufni wobec oficjalnych wersji, milczeli i mogli tylko się domyślać, kto jest kim". ©℗

Skandal na uniwersytecie

Minister edukacji i nauki zareagował w sprawie dotyczącej ankiety przeprowadzonej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przemysław Czarnek wysłał w tej sprawie pismo do władz uczelni, w którym domaga się wyjaśnień. Działania UJ publicznie nazwał „prowokacją".

Chodzi o ankietę przeprowadzaną wśród studentów i doktorantów uczelni. Miała na celu zbadanie poziomu bezpieczeństwa i równego traktowania. Jedno z pytań dotyczyło płci. Ankietowani mogli wybrać z kilku opcji: mężczyzna, kobieta, transkobieta, transmężczyzna, osoba niebinarna. Mogli też odmówić odpowiedzi na to pytanie.

Sprawę ankiety wcześniej w mediach społecznościowych skomentowała Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty. „Szok! Uniwersytet Jagielloński zamienia się w agencję towarzyską!" – napisała na Twitterze. I dodawała: „Pierwsza polska wyższa uczelnia, z historią od 1364 r. , stosuje segregację studentów po neomarksistowsku". ©℗ ***(luz)***

O LGBT NA POLSKICH UCZELNIACH CZYTAJ W DODATKU SPECJALNYM NA STR. 49

SENAT NIE ZGODZIŁ SIĘ NA STAROŃ JAKO RPO

Po raz kolejny nie udało się politykom wyłonić następcy Adama Bodnara. Tym razem kandydatką do objęcia urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich była niezależna senator Lidia Staroń.

Staroń, zgłoszona jako kandydatka przez PiS, została zaakceptowana przez Sejm. W ubiegły piątek prezentowała się w Senacie. Jej koledzy zasypali ją gradem pytań. Staroń albo nie odpowiadała wprost, albo uznawała pytania za „polityczne".

Ostatecznie jej kandydatura przepadła w głosowaniu. Za wyborem Staroń na RPO zagłosowało 45 senatorów, przeciw było 51, a trzy osoby wstrzymały się od głosu. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ostatnia barykada

Na środę 23 czerwca „Gazeta Wyborcza" zwołuje całostronicowymi ogłoszeniami zwolenników swojej linii redakcyjnej na wiec on-line, oficjalnie nazwany „walnym otwartym zebraniem Czytelników i zespołu Wyborczej". Nie ma w niej porządku dziennego, ale jest jednoznaczna zapowiedź, że chodzi o obronę „fundamentalnej sprawy niezależności redakcyjnej". Zagrożeniem dla niej niewątpliwie ma być świętokradczy plan zarządu spółki Agora, by połączyć redakcje „Gazety Wyborczej" i portali wyborcza.pl oraz gazeta.pl – co dedukuję z faktu, że rada naczelnych „Gazety Wyborczej" wielokrotnie przeciwko temu planowi protestowała, m.in. w liście otwartym do zarządu spółki, na który zresztą zarząd odpowiedział swoim listem otwartym, odrzucającym pretensje naczelnych i zapowiadającym, że restrukturyzację przeprowadzi.

Do wzniesienia głośnych okrzyków w obronie niezależności Michnika i Jarosława Kurskiego oraz wezwania w sukurs „międzynarodowych organizacji dziennikarskich", Parlamentu Europejskiego, ONZ i Joe Bidena brakuje tylko jednej informacji: kiedy spółkę Agora wykupił Orlen? Bo chyba nie jest możliwe, że pod pozorem motywowanej biznesowo restrukturyzacji chce zniszczyć niezależność gazety, której „nie jest wszystko jedno", ta sama Agora, co dotąd, uratowana przed kilku laty od plajty pieniędzmi George'a Sorosa?

Poważnie mówiąc, wydaje się, że istota całej afery tkwi w statucie spółki, który zapewnia nieusuwalność ze stanowiska redaktora naczelnego Adamowi Michnikowi. Ale ze stanowiska naczelnego gazety – a nie wspólnej redakcji gazety i portali internetowych. A bez zmiany naczelnego, co widzi oczywiście każdy, media Agory nie będą w stanie wygenerować żadnych zysków. Oczywiście dla obecnego zespołu „Wyborczej" zysk jest czymś żałosnym i godnym pogardy – nie czas żałować zysków, gdy trzeba zwalczać PiS! Jednak menedżerom spółki najwyraźniej nie jest wszystko jedno, czy wypracują jakieś premie, czy po raz kolejny będą musieli złożyć swe oczekiwania na ołtarzu sekciarskiego obłędu „Adama" i wybranych przez niego ludzi.

Sprawa zapowiada się smakowicie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nie wolno głośno mówić?

Mustafa Mond, zarządca Nowego Wspaniałego Świata w powieści Aldousa Huxleya, tłumaczy, że w nowoczesnym społeczeństwie („jednej z licznych rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło") religii ludzie już nie potrzebują, bo mogą być niezależni od Boga. Skoro bowiem mają młodość i „powodzenie aż do kresu", skoro nie doświadczają żadnych strat, które kiedyś tylko nagroda wieczna mogła kompensować, skoro młodzieńcze pragnienia nie wygasają, a pociechę zastępują używki – to „uczucia religijne są zbędne". Akcja powieści Huxleya toczy się dopiero w XXVI w., tymczasem początki ambitnych projektów bywają najtrudniejsze.

W czasie pandemii przez świat katolicki przetoczyła się (oczywiście w pandemicznym, zwolnionym tempie) teologiczna dyskusja, czy zarazę należy traktować jako karę za próbę ziszczenia marzeń o wspaniałym świecie, w którym „uczucia religijne stały się zbędne". „Nie chcę powiedzieć, że jest to jakiś rodzaj Bożej kary" – enigmatycznie napisał papież Franciszek w art. 34 „Fratelli tutti", co zabrzmiało jak „nie mówię nie" i bardziej zawiesiło problem, niż go rozwiązało. Tym bardziej wielu ludzi zastanawiało się, dlaczego – skoro dramat ma być tak wielki – tak mało słyszymy wezwań do nawrócenia? Bo nawet jeśli „nawrócenie ekologiczne" zbawi widzialny świat, to nie znaczy, że wystarczy do zbawienia dusz – naszych i naszych bliźnich. Ale nawet rozważania o karze dotyczyły w gruncie rzeczy oceny świata doczesnego.

Najprostsza, najoczywistsza kwestia pozostała tabu. Dlaczego, skoro zagrożenie życia wzrosło, tak mało mówimy o przygotowaniu do dobrej śmierci? Katolicyzm całe życie uważa za przygotowanie do Przejścia, Sądu i Wieczności. Ten najważniejszy fakt należałoby reflektować, a nie cenzurować. Starożytni myślenie o śmierci uważali za początek filozofii. A dziś myślenie o niej to również miara stopnia, w jakim nasza kultura jest jeszcze chrześcijańska. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W obronie honoru

Urażony został honor klanu Abbasów, pakistańskich wieśniaków, którzy osiedlili się w Novellarze na północy Włoch. 17-letnia Saman poznała swego trzy lata starszego rodaka. Zostali parą. W mediach społecznościowych Saman podpisywała się „włoska dziewczyna", a sądząc po zalotnych zdjęciach z rozpuszczonymi włosami i ostrym makijażem, tak właśnie chciała żyć. Jak Włoszka.

Ale rodzice mieli inne plany. Zaaranżowali małżeństwo Saman z nieznanym jej mężczyzną w Pakistanie. Dziewczyna poszła na policję. Umieszczono ją w domu opieki nad prześladowanymi kobietami. Gdy wróciła po swoje rzeczy, ślad po niej zaginął.

Ze śledztwa i z zeznań nieletniego brata wynika, że dziewczynę na prośbę rodziców zamordował wuj wraz z dwoma kuzynami. Poszukiwania ciała trwają. Mord i ucieczka z miejsca zbrodni były świetnie zaplanowane. Następnego dnia rodzice już byli w Pakistanie, a po wuju ślad zaginął.

Horrendum wstrząsnęło Italią. I wpędziło w ogromne kłopoty postępowców i wyznawców kultu św. Migranta. Świetnie wytresowani przez żandarmów poprawności politycznej doskonale wiedzą, że o migrantach i migracji można mówić tylko dobrze. Zdają sobie sprawę, że pod żadnym pozorem nie wolno krytykować kultury i religii, które przybysze przywlekli ze sobą z Afryki czy Azji. Więc we włoskich mediach klepią wyuczone formułki, że migracja to jedyne panaceum na problemy włoskiej demografii i gospodarki, a przybysze ubogacają naszą kulturę, dając jej nowe, ciekawe impulsy. Jeśli ktoś się z tym nie zgadza, to kapturowe sądy zideologizowanych idiotów stawiają go pod pręgierzem za rasizm i islamofobię.

Cóż więc zdaniem heroldów postępu stało się w Novellarze? Jak tłumaczą, tragedia była emanacją panującej w Italii kultury macho i mizoginii, a wina spada na centralne i lokalne władze włoskie za karygodne zaniedbania polityki i praktyki integracyjnej. Wtóruje im Zrzeszenie Włoskich Wspólnot Islamskich. Powiada, że nie ma o co się spierać, bo przecież Włosi też mordują swoje żony i dzieci. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Krytyka dobrego wychowania

Twitter schodzi na koty – nie cierpię kotów jak Alf, starsi to Alfa pamiętają, więc młodzież niekojarząca niech dziadka spyta. Czajka pomyj wylała się na Kukiza Pawła za dobre wychowanie, tak, za dobre wychowanie właśnie. Co się z ludźmi dzieje? Za czasów mojej starości całkiem było inaczej, był jednak sawuar, ogład i Wars. Podobno Wars przetrwał. Ale co z resztą? O tempora, o Twitter. Powiedział po prostu Paweł, gdyż jest szczery, na początku tygodnia, że zagłosował na Staroń Lidię, aby ona piastowała Rzecznika Praw Obywatelskich, ale nie żeby piastowała Bodnara, bo przecież Bodnar to sobie radzi, jak radzi – to inna sprawa, ale za dużo w tym zdaniu jest dywagacji i to zdanie niepotrzebnie się przez to przeciąga (!), tylko że samodzielnie i że on Kukiz tak zagłosował, bo sobie prezes Kaczyński Jarosław życzył. Co w tym złego? Że ktoś komuś po prostu robi przyjemność i przysługę? Aby tak więcej osób postępowało, to przecież świat polskiej sceny politycznej byłby mniej awanturujący się. Niemniej Pawła zaraz potępili, że zdrajca i że sprzedawczyk, i jeszcze gorsze słowa publikowano. Niesprawiedliwie, sam Paweł przecież mówił wyraźnie, że zrobi co najmniej kilkukrotnie, jak sobie prezes życzy, za to on, Paweł, życzyłby sobie, żeby PiS zrobił w paru miejscach przy głosowaniach tak, jak sobie Paweł życzy. Co złego w uprzejmości? Bardzo się Pawłowi dostało za uprzejmość, ale za dobrym wychowaniem człowiek przyzwoity zawsze powinien się opowiedzieć! Więc ja nie wiem, co robić.

Coś o sporcie powinienem napisać, ale o polskiej reprezentacji nie chcę z powodów oczywistych. Po co takie brzydkie wyrazy drukować? Wielką karierę światową zrobił na TT Ronaldo z powodu swojej konferencji prasowej. Na króciutkim filmiku odsuwa z niesmakiem stojące przed nim butelki coca-coli,, mówiąc: „Pijcie wodę!". Coca-Cola jest bardzo widoczna na Euro 2020, bo za to zapłaciła. Pytanie o to, czy jest zdrowa? Jeden z najlepszych piłkarzy świata chyba doskonale zna się na tym, co pić i jak się odżywiać, a czego w diecie unikać. Oprócz lawiny komentarzy w generalnej siedzibie ulepkowatego napoju po tym występie gwiazdy musiały się zapalić wszystkie czerwone lampki i zawyć wszystkie syreny. Z uśmiechem zrozumienia czytałem pod filmikiem Ronaldo wpisy, że musiał dostać pieniądze od konkurencji i et cetera. Nie musiał, nie on. On nie musi udawać dobrego wychowania.

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl d3eaad21cf

WYŻSZY STATUS BOŻENKI

Nie umilkły jeszcze echa zamieszania, jakie wywołała Agnieszka Kaczorowska, czyli Bożenka z „Klanu", swoimi wynurzeniami na temat tego, że generalnie nie lubi brzydoty i epatowania nią, a celebrytka już zdążyła udzielić wywiadu, w którym rozwija swoje refleksje dotyczące tego tematu. Trochę przeprasza, a trochę nie, generalnie nie wiadomo. Ale zwraca się też do tych, którzy poczuli się urażeni. – Jeśli ktoś poczuł się urażony, te słowa wzbudziły w nim złe emocje, to może warto, żeby zastanowił się dlaczego. Nie napisałam: „Hej, jesteś brzydka". Zapytałam, dlaczego stojąc przed lustrem, niektóre kobiety wolą mówić do siebie „jestem brzydka" zamiast „jestem piękna" – mówi Kaczorowska. – Rozumiem, że każdy jest w innej sytuacji życiowej. Natomiast ja również nie dostałam niczego w prezencie czy spadku. Pytanie, czy osoby, które mają wyższy status majątkowy lub jakikolwiek inny, mają równać w dół? Mają robić tak, żeby wszyscy dookoła poczuli się dobrze? Czy może mogę powiedzieć tym mniej uprzywilejowanym: „Hej, ty też możesz tyle zarabiać i tak żyć" – radzi celebrytka. Niewdzięcznicy z tych mniej uprzywilejowanych. Nie potrafią docenić, ile dla nich robi Bożenka. I jeszcze hejtują zamiast dziękować!

MY, UPRZYWILEJOWANI

Anna Mucha postanowiła pochwalić swoją koleżankę, z którą gra ostatnio w serialu „M jak miłość", Weronikę Rosati. Mucha podziwia Weronikę za karierę, jaką ta robi za oceanem. Opowiedziała o tym na swoim Instagramie, a wszystko – jak relacjonuje portal Pudelek – przez artykuł w jednej z gazet, gdzie napisano, że najnowszy film, w którym zagrała Rosati, oddala ją od „spełnienia snu o hollywoodzkiej karierze". – Może trudno w to uwierzyć, ale my, aktorzy, nie zawsze mamy wpływ na fabułę, montaż, scenariusz, grę innych, zdjęcia. To, że w ogóle ma agenta i gra w USA, jest świadectwem budowania kariery (zresztą od lat bardzo uparcie). Nie wiemy, co wpłynie in plus czy in minus na „spełnienie snu o karierze", ale wspaniałe jest to, że Weronika gra i traktowana jest na równi, a nie jak sprzątaczka z Europy Wschodniej – wypunktowuje Mucha. Coś czujemy, że świetnie dogadałaby się z Bożenką z „Klanu". Jak uprzywilejowana z uprzywilejowaną.

FOT. PAWEŁ GROMADA

UGRYŹĆ KEBABA

Natalię Siwiec fanki zapytały na Instagramie o jej dietę. Celebrytka oczywiście odpowiedziała, że żadnej nie stosuje i je, kiedy chce, ale najczęściej są to dwa posiłki dziennie plus przekąski. – W idealnym świecie wychodzę na dwa posiłki dziennie. Późne śniadanie i obiadokolacja. Wtedy czuję się najlepiej. Pomiędzy jem jakieś przekąski. Nie odmawiam sobie jednak, jak mam ochotę zjeść coś słodkiego, i nie mam świra na punkcie przestrzegania diety – stwierdziła Siwiec. A na pytanie o to, czy miewa dni, w których cały czas jest głodna, i jak sobie z tym radzi, odpowiedziała, że wtedy „je jak szalona". – Słodkie na przemian ze słonym. I nawet czasem ugryzę kebaba. Na moje szczęście mam takie dni bardzo rzadko. Przez to, że kilka lat zmieniałam dietę na zdrowszą, najczęściej sięgam jednak po zdrowe jedzenie – dodała na koniec. Ugryzienie kebaba brzmi w ustach Siwiec co najmniej jak skok na bungee. Czyste szaleństwo!

CELEBRYTKA ORKIESTRA

Celebrytka Julia Wieniawa przebywa na kolejnych wakacjach, tym razem na włoskiej wyspie Capri. Jednak nawet tam śledzi wydarzenia z Polski, także te sportowe. I obejrzawszy mecz polskiej reprezentacji

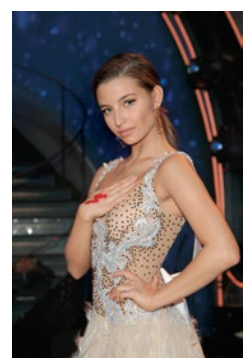

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

z drużyną Słowacji, oburzyła się, że polskich piłkarzy spotkała po przegranej taka fala krytyki. – Jakby to było żyć w kraju, gdzie normą jest, że wspiera się swoją drużynę nawet wtedy, kiedy nie odnosi sukcesów? – pyta celebrytka. Ależ udała nam się ta Wieniawa! I w filmie zagra, i selfie zrobi, i na polityce się zna, a teraz okazuje się jeszcze, że i na futbolu! Konia z rzędem temu, kto znajdzie cokolwiek, na czym się Julka nie zna! ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, a czy wy już wrzuciliście do social mediów zdjęcia, jak wcinacie truskawki przygotowane na sto różnych sposobów? Pamiętajcie o tym, bo to niezwykle ważna sezonowa moda – obok szparagów, a już niedługo czereśni.

W ogóle wygląda na to, iż aby skutecznie prowadzić profile na insta, należy wyposażyć się w jakiś kalendarz rolniczy, iżby nie przegapić, kiedy na żółto kwitnie rzepak, kiedy kupić truskawki, kiedy szparagi, a kiedy zrobić sesję w żółtych jesiennych liściach.

Of kors należy być ostrożnym i nie dać się porwać emocjom, bo inaczej, posiłkując się takim kalendarzem, można skończyć na sesji zdjęciowej w czasie wykopków albo podczas kiszenia kapusty, a to już nie będzie wyglądać dobrze na waszych profilach.

Cristiano Ronaldo, portugalski piłkarz, podczas konferencji prasowej odstawił stojące przed nim butelki z coca-colą i powiedział do dziennikarzy, że należy pić wodę. W efekcie akcje Coca-Coli spadły, a koncern odnotował stratę w wysokości 4 mld dol.

Ponieważ – jak nas uczą w korpo – nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko wyzwania, deadline'y i ewentualnie zwolnienia, zastanawiamy się nad tym, czy Cristiano Ronaldo nie zechciałby pomóc w obronie demokracji w Polsce.

Gdyby na przykład na kolejnej konferencji wziął do rąk konstytucję i powiedział: „Czytajcie to" albo nawet powtórzył performens z colą, ale w zamian pokazał logo z błyskawicą i nawoływał do przestrzegania praw waginoosób?

Trzymajcie kciuki, a my szykujemy briefa!

Jeszcze w temacie Euro 2020. Piszemy te słowa, znając wynik meczu Polski ze Słowacją – uważamy to za miły gest wobec mniej licznego narodu, posiadającego piłkarzy grających w słabszych klubach, że reprezentacja tego kraju z nimi przegrała.

Nie znamy jeszcze wyniku meczu z Hiszpanią i nie mamy przekonania, że zechcemy go poznać.

Nie zrozumcie nas źle, nie chodzi o żadne uczucia patriotyczne czy coś xD, ale o to, że jak przegramy wysoko, to Europa będzie miała z nas bekę, a nie lubimy, kiedy Europa ma z nas bekę.

Jeśli zaś wygramy, to... nie no, bez przesady xD

W każdym razie chcemy też zauważyć, że Lewandowski u Niemców to się popisuje jak typowy Polak za granicą, ale u siebie, w reprezentacji kraju, to już taki mądry nie jest. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Spasiba

Michał, jak ja mam włączyć to dwuskładnikowe uwierzytelnianie? Nic z tego nie rozumiem!
Jacek, ty myślisz, że ja jestem mądrzejszy? Czekaj, tu jest taka aplikacja.
Jeśli się chcesz zalogować, to musisz kliknąć...

Tutaj?
Nie, tego nie klikaj! To jest jakiś banner reklamowy majtek!

Ale nawet całkiem fajne. Zobacz te, w krasnoludki...
Dobra, skup się. Tu klikasz i wtedy ci się pokaże taki kod, który trzeba skopiować i wpisać... Nie, moment, coś nie zadziałało. Co to jest?!

Pokaż... O, tu piszą, że wygrałeś. „Gratulujemy! Zostałeś wylosowany do nagrody specjalnej, którą jest kolacja z Edytą Górniak. Potwierdź, naciskając ten przycisk. Spasiba".
No jeszcze tego brakowało... Co ty wyprawiasz?!

Przepraszam, ale nacisnąłem, jak przecież prosili.
Co nacisnąłeś?!

Przycisk z napisem „da". Niedobrze zrobiłem coś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ta władza w szkodzeniu Polsce i Polakom doskonale sobie radzi nawet bez pomocy Rosji".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl d3eaad21cf

Na początek breaking news. Tak, to prawda, szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński odejdzie z rządu. Ale nie tak szybko. Podobno pod koniec roku. Zamierza bowiem zdecydowanie więcej czasu poświęcić przygotowaniu partii do wyborów parlamentarnych. Ale nie ekscytujcie się przedwcześnie: do wyborów parlamentarnych w roku 2023.

Z frontu gender. Na spotkaniu klubu PiS w Przysusze europosłanka Anka Zalewska domagała się większej obecności mocnych kobiet w polityce. Na co szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński zaczął wyliczać, ile mocnych kobiet widzi w rządzie, europarlamencie i w ogóle. Wszystkich nie dał rady wymienić, więc te niewymienione czują się urażone. Te wymienione też się czują urażone, bo uważają, że wymieniano je w niewłaściwej kolejności.

Przypomnijmy: mobilizacyjne spotkanie w Przysusze było spotkaniem całego Klubu Parlamentarnego, a nie tylko posłów PiS. Przyjechały więc także przystawki. Ziobro się spóźnił, ale siedział do końca. Gowin się nie spóźnił, ale bardzo szybko wyjechał.

À propos silnych kobiet w polityce: potwierdzamy, będzie nowa pani minister. A za kogo? A za Michała Kurtykę, ministra klimatu i środowiska. A kiedy? A w lipcu. A dokładniej? No, już po kongresie PiS.

À propos kongresu PiS – odbędzie się na pewno w Warszawie, choć niedawno mówiono, że może być w Katowicach. Jednodniowy, klasyczny, bez onlajnu. Czyli tak, jak chciał Jarosław Kaczyński SWP.

W sumie słyszeliśmy też, że szykuje się powrót do rządu Jadwigi Emilewicz, ale nie jesteśmy pewni, jak szybko. W każdym razie wiewiórki opowiadają, że kwarantanna Jadwigi, zwanej na szczytach Nowogrodzkiej „naszą Emilką", powoli dobiega końca.

Jeszcze o personaliach. Nowym szefem służby zagranicznej ma zostać kończący właśnie misję ambasadora w Londynie Arkady Rzegocki. Może wyłuszczymy, czym jest ta funkcja, nieznana w innych resortach. Zgodnie z nowelizacją ustawy szef służby zagranicznej będzie panem i władcą. Czyli głównym kadrowym, a kadry decydują o wszystkim. Nominacja jest zaskoczeniem, gdyż na tę funkcję bardzo liczyła inna frakcja w MSW. A konkretnie frakcja utożsamiana z Antonim. Tak, z tym Antonim.

Wracając do relacji PiS–przystawki. Jak cnotę stracić, a rubelka nie zyskać – uczy Jarosław Gowin. Oto szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński spotkał się osobiście z posłami Porozumienia, przekonywał, namawiał, prosił o wsparcie Lidii Staroń na RPO. Uczestnicy spotkania demonstracyjnie go potem w Sejmie zignorowali, tylko po to, żeby odkryć, że naczelnik i bez nich dopiął swego. Kabaret, wiemy, różnica taka, że w kabarecie performerzy są chociaż świadomi tego, w czym uczestniczą.

W związku z powyższym, ale nie tylko, wiewiórki opowiadają, że szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński chciałby już jednak zakończyć ten trudny związek z Długim Jarosławem. Decyzje zapadną po dwóch kongresach: PiS oraz partii Bielana, czyli Partii Republikańskiej.

My w sprawie cyberbezpieczeństwa. W ramach ujawnionych korespondencji premiera Morawieckiego pojawiło się nazwisko jednego z panów G. Mateusz poprosił o potwierdzenie informacji podawanych przez Gmyza. I to miało niby być obraźliwe dla Gmyza. Tłumaczymy zatem świętą zasadę dziennikarstwa, ale również służb specjalnych całego świata – jedno źródło to żadne źródło. Nawet tak wiarygodne jak jeden z Panów G.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Swoją drogą jeden ze znajomych panów G. był tym, który w 2009 r. osobiście zakładał Mateuszowi skrzynkę na Gmailu. Nie pytajcie nas, jaki jest login oraz hasło. Ani czy było używane dwustopniowe uwierzytelnianie. Nie możemy, a właściwie nie chcemy tego zdradzać.

Przy okazji wycieku e-maili okazało się, że są ministrowie, którzy nie tylko nie używają żadnego prywatnego e-maila, lecz także żadnego e-maila w ogóle. Mają co prawda służbowe adresy w domenie „gov", lecz nigdy nie zajrzeli do skrzynki. Oczywiście są w skrajnej mniejszości.

Co mogło być gorszego od oglądania meczu Polska–Słowacja w telewizji? Oglądanie go w telewizji na Słowacji. To właśnie przydarzyło się prezydentowi Andrzejowi Sebastianowi oraz jego giermkowi od bezpieczeństwa narodowego, Pawłowi Solochowi. Tak się bowiem złożyło, że wprost ze szczytu NATO w Brukseli polecieli na konferencję GLOBSEC w Bratysławie. No i głupia sprawa, w spokojnym oglądaniu meczu przeszkadzały ryki radości miejscowych, dobiegające z zewnątrz.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Tusk i Budka też oglądali mecz. Razem. Ale to już nie to samo. Ech, kiedyś Miro Drzewiecki przynosił na transmisje dobre winka i cygara, Grzesiek Schetyna sypał rubasznymi żartami, a rano kaca można było rozbiegać, haratając w gałę. Dziś bida. Nie tylko na stole. Widzieliście ostatnio Tuska? Toż to żaden biały koń, tylko zwykła nasza szkapa. Precyzując: ich szkapa.

Draka w europarlamencie. A dokładnie – epidemia. Nie chodzi o koronawirusa, lecz jakieś paskudztwo, które zalęgło się w tamtejszych dystrybutorach z wodą. Paskudztwo wywołało epidemię bardzo poważnych dolegliwości. Bóle wszelakie, wymioty, a przede wszystkim inny objaw, który sprawia, że w pierwszym słowie tej notki należy zamienić literę „d" na inną. Wiecie jaką. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

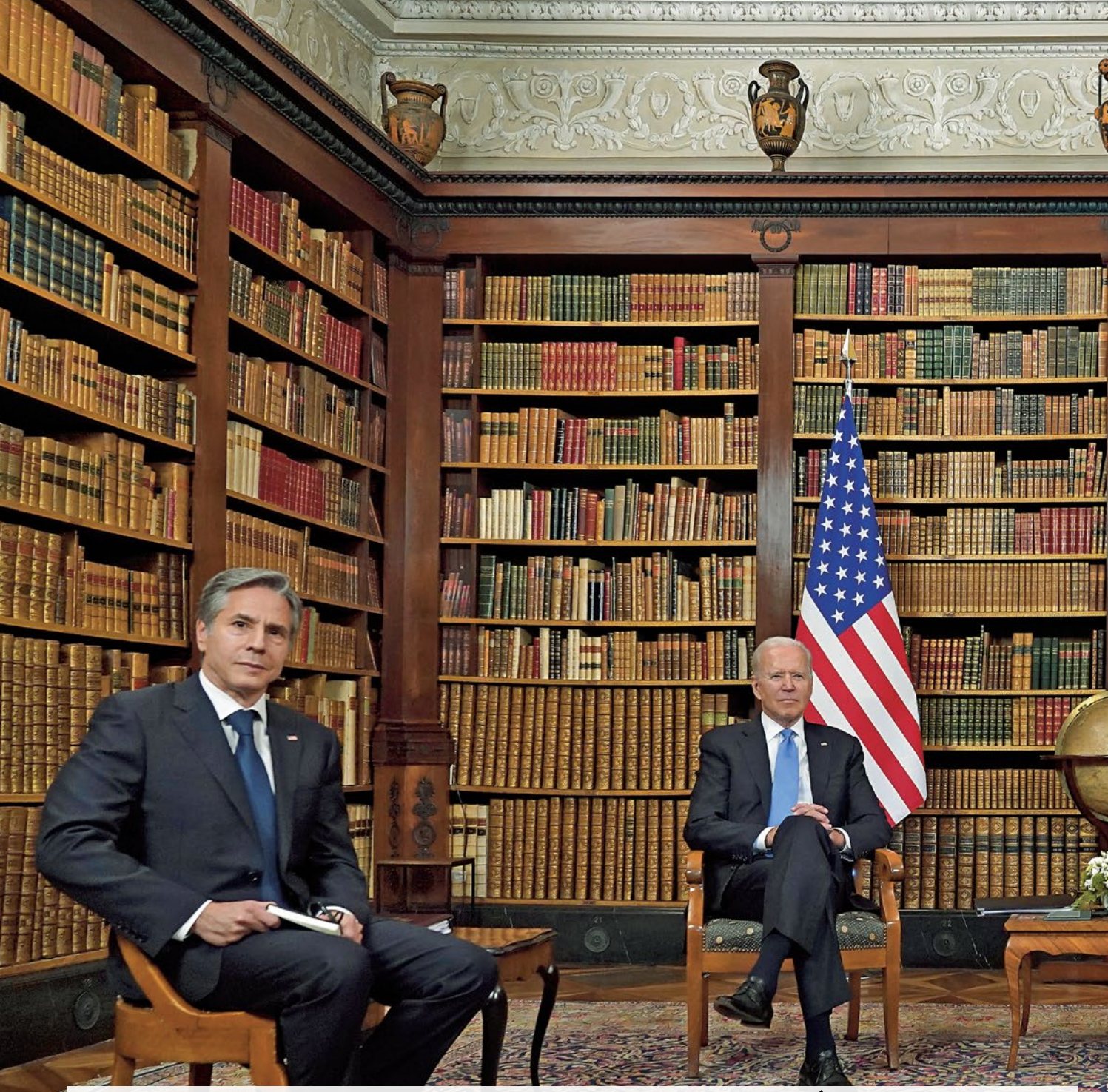

SZCZYT PUTIN–BIDEN. PRZEŁOMU BRAK, ALE KREML GÓRĄ

Ambasador Rosji w Waszyngtonie i ambasador USA w Moskwie wrócą do swoich placówek. To, obok zapowiedzi dialogu w sferze bezpieczeństwa, właściwie jedyny efekt szczytu przywódców obu państw, do którego doszło 16 czerwca w Genewie. Joe Biden po raz pierwszy jako prezydent Stanów Zjednoczonych spotkał się z Władimirem Putinem. Na początku swojej kadencji nazwał go „zabójcą" i zapowiadał twardą politykę wobec Kremla. Niedawno zawiesił sankcje nałożone na spółki budujące Nord Stream 2.

Z propozycją spotkania wyszedł Biden w odpowiedzi na zagrożenie inwazją rosyjską na Ukrainie. Inicjatywa Waszyngtonu została zinterpretowana w Moskwie jako objaw słabości USA z jednej i międzynarodowego znaczenia Rosji z drugiej strony. Putin już przed szczytem w mocnym wywiadzie dla amerykańskiej telewizji oskarżył USA o hipokryzję w kwestii praw człowieka i zasugerował, że NATO powinno zostać rozwiązane. Szczyt nie przyniósł ustępstw ze strony Rosji, nawet w sferze retoryki. Po zakończeniu rozmów przywódcy przeprowadzili osobne konferencje prasowe. Biden zadeklarował poparcie dla integralności Ukrainy, Putin zaś dał do zrozumienia, że „nie ma tematu" wejścia tego kraju do NATO, a jedynym wyjściem z kryzysu w Donbasie są porozumienia mińskie. Podtrzymał też swoje zdanie na temat Nawalnego. Stwierdził również, że Biden telefonicznie wytłumaczył się przed nim z nazwania go „zabójcą" – wyjaśnienia były „zadowalające".

Szczyt pokazał siłę i znaczenie Putina na arenie międzynarodowej. Władca Kremla z „zabójcy" awansował na niebezpiecznego, ale poważnego partnera do rozmów ze światowymi liderami. Partnera, z którym warto siadać do stołu i pomimo rozbieżności, wzajemnej nieufności prowadzić interesy, nawet jeśli godzą one w inne państwa (vide: Nord Stream 2). Dla Polski i regionu nie jest to dobra wiadomość. ***(mp)*** © ℗

FOT. PATRICK SEMANSKY/AP/EAST NEWS

eprasa.pl d3eaad21ci

eprasa.phd3eaad21cf

Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem
rozmawia Krzysztof Masłoń

Polskość znienawidzona

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl d3eaad21cf

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Redefiniowanie polskości postępuje w zawrotnym tempie. W ślad za byłym premierem i niedoszłym prezydentem, dla którego „polskość to nienormalność", także naukowcy, jak choćby antropolog Kacper Pobłocki w „Chamstwie", ronią łzy nad naszą ojczyzną-pańszczyzną, a Adam Leszczyński, historyk i socjolog, swoją „Ludową historię Polski" przedstawia jako dzieje wyzysku i oporu. Oczywiście wyzysku chłopów, ciemiężonych, poniżanych, bitych przez warstwę krwiożerczych panów – czytaj: szlachtę. Wygląda na to, że wszystkie podręczniki historii, no może poza stalinowskimi, oddać trzeba będzie na śmietnik. Pan profesor tymczasem pracuje nad następnymi tomami „Dziejów Polski", utrzymanymi w zgoła odmiennej poetyce. Nie szkoda wysiłku?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Najpierw trzeba powiedzieć, skąd wzięły się te pomysły redefinicji polskości, w takim właśnie duchu. Otóż nie da się zbudować wspólnoty wokół tego, co nas poniża, ale wokół nienawiści do innych, do wspólnoty, którą chcemy zniszczyć – owszem, można stworzyć bardzo silną identyfikację grupową. Mechanizm ten znakomicie opisał Dostojewski w „Biesach". Zniszczyć jedną historyczną wspólnotę, by skonstruować inną – to sprawa nienowa. I z jej przykładem mamy właśnie do czynienia. Sięgnięto teraz do starego zasobu nienawiści klasowej, nawiązującej do myśli mistrza z Trewiru (choć nawet Marks nie był tu pierwszy). Teraz, po liftingu, zjawisko to usiłuje zmienić naszą historię w duchu Black Lives Matter czy Projektu 1619, zupełnego przemodelowania myśli o Stanach Zjednoczonych i ich historii jako wyłącznie dziejów wyzysku czarnych niewolników. W Ameryce na klasowość nakładają się rasizm i genderyzm – i mamy trzy w jednym. W polskiej odmianie tego zjawiska nie znajdujemy niczego oryginalnego, a próba przeniesienia ideologii nienawiści na nasz grunt prowadzi do ryzykownych paradoksów. Na przykład przedstawianie chłopów pańszczyźnianych w Polsce jako Murzynów jest historycznie chybione, co zresztą widać w „Ludowej historii Polski" prof. Adama Leszczyńskiego, spośród wielu podobnych książek najlepiej udającej pracę historyczną, bo przynajmniej co jakiś czas nawiązuje do literatury historycznej i do faktów. Ale jednak nawet ten autor ma kłopot, bo jakoś na przestrzeni dziejów nie dostrzegamy tylu buntów chłopskich, powstań i rebelii, ile powinno być – skoro było tysiąc lat ucisku. Są wydarzenia lat 1031–1038, przy czym nie wiemy, czy to, co się działo wtedy, to „ludowe powstanie" czy może „reakcja pogańska". Potem mamy dopiero powstanie Chmielnickiego, które też nie wiadomo, czy interpretować bardziej jako społeczny bunt czy ruch narodowy (kozacki/ukraiński). Z kolei kłopot z kontynuującą tę tradycję koliszczyzną, która sparaliżowała konfederację barską, polega na tym, że sam Karol Marks, twórca ideologii klasowej nienawiści, identyfikował ją jako carską intrygę i wyraz ekspansywnej polityki Katarzyny II. I dopiero w końcu mamy „porządny" odruch klasowej nienawiści – rabację galicyjską w 1846 r. Trochę tego jednak mało.

Jakoś omijały nas wojny chłopskie...

A przecież miały one miejsce w Rosji, Niemczech, na Węgrzech, we Francji i w Hiszpanii. Nie pisze prof. Leszczyński o masowych ucieczkach chłopów rosyjskich w końcu XVII i w XVIII w., nie gdzie indziej jak do Rzeczypospolitej, do tych „straszliwych polskich magnatów". Oczywiście los chłopski nie był lekki, ale sytuacja polskiego chłopa na pewno nie była najgorsza na kontynencie europejskim. Bo i skąd by się wzięło masowe osadnictwo chłopów holenderskich czy w ogóle zachodnioeuropejskich, tworzących silne gospodarstwa, m.in. na Pomorzu, w XVI, XVII w.? Nikt ich tutaj przymusowo nie ściągał, to nie byli niewolnicy – jak ci skuci kajdanami przywiezieni z Afryki do Ameryki. Byli ludźmi wolnymi, którzy jechali do Rzeczypospolitej po lepszy los. Wiem, że nie można w ten sposób uogólniać doli chłopa na naszych ziemiach, bo nie była to sielanka, wyzysk miał miejsce, tyle że oceniając jego stopień, trzeba rzucić całe zjawisko na podobne tło w innych krajach i dopiero na tym tle można analizować sytuację chłopa w Polsce. I zrobili to, dość dawno temu, specjaliści zajmujący się historią chłopów polskich, tacy jak profesorowie Jerzy Topolski z Poznania czy Andrzej Wyczański z Warszawy.

Chciałbym również zwrócić uwagę na pracę, którą wprawdzie prof. Leszczyński wymienia w bibliografii, jednak nie cytuje jej ani razu, a jest niesłychanie ciekawa. Chodzi mi o „Homo movens. Mobilność chłopów w mikroregionie krakowskim w XVI–XVIII wieku" Mateusza Wyżgi, gdzie, dokonując drobiazgowej analizy źródeł, autor wykazał, jakim mitem jest powszechnie powtarzany slogan o przywiązaniu chłopa do ziemi. Sytuacja chłopów pogorszyła się niewątpliwie dopiero w połowie XVII w. pod wpływem czynników zewnętrznych, czyli najazdów moskiewskich, szwedzkich i siedmiogrodzkich, tzw. potopu. Dramatycznie załamał się wtedy poziom życia nie tylko chłopów, lecz także szlachty w całej jej masie, z wyjątkiem naprawdę nielicznych najbogatszych magnatów. Ale żeby tę sytuację ocenić, trzeba by przyznać, że niekiedy zło przychodzi z zewnątrz, z zewnętrznej agresji na nasz dom, który jednak w tym sensie był wspólny – dla szlachty i chłopów. I że to nie wspólnota polska wytwarzała jakiś szczególny rodzaj zła, że życie w Rzeczypospolitej wcale nie równało się tylko niewoli i wyzyskowi. Swoją drogą, z jakichś powodów w tym samym XVII w. powstało korzystające ze stereotypu powiedzenie, że Polska jest rajem dla Żydów i piekłem dla chłopów. To jednak tylko (i aż) stereotyp.

Adam Leszczyński stawia zarzut, że lud w pańskiej syntezie historii Polski „pojawia się sporadycznie i stanowi przede wszystkim tło wydarzeń, podobne jak zagadnienia gospodarcze. »Dzieje Polski« to dzieje katolickiej (przede wszystkim) elity kraju, prowadzącej naród polski poprzez dzieje". Osobiście nie tęsknię wcale za historią gospodarczą, zwłaszcza tą z dawnych wieków, bo swego czasu wykłady o trójpolówce skutecznie zniechęciły mnie do nauki historii, podobnie jak wymazywanie wszelkich informacji, a pozytywnych już szczególnie, o wpływie Kościoła katolickiego na bieg wydarzeń nad Wisłą. Ale czy rzeczywiście nie poświęcił pan masom ludowym, że tak się wyrażę, należytej uwagi?

Historia Polski rozumiana jest przeze mnie jako historia pewnej wspólnoty, tworzącej się poprzez wieki i u swego zarania zbiegającej się z okrzepnięciem państwa Piastów, gdy w 1000 r. po raz pierwszy pojawia się słowo „Polonia" (w spisywanym w Rzymie żywocie św. Wojciecha) i zaczyna ono coś znaczyć. Na początki polskości, jej kulturowego określenia, wywarła największy wpływ niewielka garstka ludzi: drużyna księcia i ludzie oświeceni, budujący pamięć wspólnoty, czyli najczęściej księża, prowadzący kancelarię książęcą, zapisujący roczniki i kroniki „sławnego Królestwa Polskiego". Stopniowo wytwarzało się w tej historii pojęcie wspólnoty szerszej, w której chłopi – w pewnych sytuacjach – czują się jednak, jak już powiedziałem, mieszkańcami jednej ojczyzny, kraju, miejsca – razem z rycerstwem. Tak działo się właśnie w sytuacji najazdów zewnętrznych. Na sygnały tego zjawiska zwrócił uwagę prof. Karol Modzelew-

eprasa.pl d3eaad21cf

ski, najwybitniejszy historyk chłopów epoki wczesnopiastowskiej. Ludzie się łączą przeciw obcym, tym, którzy mówią w nieznanym języku i wkraczają w nasze granice ze złymi zamiarami. Niech sobie to brzmi jak herezja, ale taki jest naturalny instynkt antropologiczny, który i w naszych dziejach miał swoje znaczenie. Kiedy słyszymy wokół siebie ludzi, których nie rozumiemy, którzy włamują się do naszego domu, zajmują nasze zbiory, gwałcą kobiety – to jednoczymy się i stawiamy opór najeźdźcy…

Głównym przedmiotem moich „Dziejów Polski" jest polskość, jej rozumienie i budowanie przez ludzi, którzy do niej dorastają: do kulturowego ideału polskości rozwijającego się od X w., a zaszczepionego przez chrześcijaństwo. I to nie moja wina, że w tych czterech tomach „Dziejów Polski", które się ukazały, dopiero w tomie czwartym pojawia się jakaś kontrpropozycja dla katolickości, bo wcześniej nie było na tych ziemiach chrześcijaństwa w innej postaci. Pogląd, że pierwsze tutaj było prawosławie, wspierany przez cara Mikołaja I i jego propagandystów, został już dawno w historiografii zarzucony. Chrześcijaństwo przez 500 lat istniało tu wyłącznie w wersji katolickiej. Nie było protestantyzmu, o którym piszę bynajmniej nie w czarnych barwach, przez pryzmat mojej katolickiej tożsamości religijnej, tylko podkreślając ogromne zasługi kalwińskiej szlachty dla rozwoju kultury i języka polskiego. Tak jak w tej chwili przeze mnie pisanym tomie piątym nie utożsamiam prawosławia Rzeczypospolitej z moskiewską agenturą, ponieważ między XV a XVII w. nic takiego nie istniało. Później, rzeczywiście, carska dyplomacja, propaganda i to, co nazywamy dzisiaj służbami specjalnymi, manipulowały prawosławiem do swoich celów. Ale w wojnach Batorego z Moskwą najbardziej zasłużyli się dowódcy prawosławni, jak książę Konstanty Ostrogski, Janusz Zbaraski czy Filon Kmita, nie gorsi wyznawcy prawosławia od Iwana Groźnego, tyle że broniący polskiego domu przed wrogami. Dzisiaj pewnie broniliby go przed tymi, którzy w Rzeczypospolitej wskazywaliby tylko zło i ucisk mniejszości przez katolików.

Charakterystyczne, że tym badaczom dziejów, którzy akcentują ekspansywność niemiecką, stawia się natychmiast zarzut endeckości. Pan też, jakkolwiek śmiesznie to brzmi w kontekście pańskich prac o Rosji, spotkał się z nim.

Ten zarzut jest świadomie nieuczciwy albo wynika z nieuctwa. Kiedy np. przytaczam, jak czeski kronikarz Kosmas z Pragi odkrywa specyficzną cechę narodową i pisze o „przyrodzonej pysze niemieckiej", jest to odwołanie się do źródła, a nie wyraz endeckiej fobii. Staram się, rzeczywiście, walczyć, nie ja jeden zresztą, z niezwykle prymitywnym uproszczeniem, wywodzącym się ze szkoły Ernesta Gellnera i Benedicta Andersona, w myśl którego naród jest wytworem modernizmu, nowoczesności, pewnych wymogów cywilizacyjno-ekonomicznych, które wykorzystuje ideologia nacjonalizmu. W myśl tej dominującej dziś powszechnie „szkoły" możemy o narodzie i świadomości narodowej mówić dopiero od wieku XIX. Ten tępy gellnero-andersonizm kategorycznie odrzucali m.in. np. Roman Szporluk czy prof. Andrzej Walicki – w swoich pracach naukowych, na pewno ważniejszych od jego publicystyki na tematy PRL. Kapitalną historię rozwoju niemieckiej myśli narodowej w późnych wiekach średnich napisał szwajcarski historyk Caspar Hirschi, angielskiej – Adrian Hastings. Niewątpliwie narody powstają w różnym czasie i rozwijają się w bardzo różnym tempie, niektóre dopiero w wieku XIX czy XX, jak choćby Belgowie, bo tego narodu przed 1830 r. nie było, ale z drugiej strony mamy Żydów czy Ormian, których dzieje liczymy w tysiącach lat. A są narody mające niemal dokładnie tysiącletnią historię i do nich należą Polacy, Czesi czy Węgrzy.

Dekonstrukcja polskości opiera się na strasznym redukcjonizmie historycznym, przynosi też niszczące skutki dla naszej wspólnoty

W wieku XVIII w żadnym innym kraju europejskim na wschód od Francji – i mówię to z pełną świadomością, a więc wykluczając również Niemców – nie odbywała się tak masowa debata na tematy polityczne, debata w języku narodowym, w drukach ulotnych i w czasopismach, jak w Polsce. W okresie Sejmu Wielkiego brało w niej udział ok. 200 tys. ludzi. W Rosji Katarzyny II ukazywało się wtedy, rok w rok, dwa razy mniej książek niż w Rzeczypospolitej, a stosunek ludności obu krajów wynosił pięć do jednego, oczywiście na korzyść Rosji. Tymczasem to Katarzyna II uchodzi na Zachodzie za niezwykle światłą władczynię, pionierkę oświecenia i kultury, a Polskę postrzega się jako ciemnogród… Czyli setki tysięcy ludzi uczestniczą w „wyobrażonej wspólnocie", którą nazywają Polską (tak to określa Konstytucja 3 maja, w której – dodajmy – znika niemal całkowicie termin „Rzeczpospolita"). To właśnie fakt, że polski naród już przed wiekiem XIX stworzył tak bogatą w tradycję myślową, symbole kulturowe i emocje wspólnotę, sprawił, że przetrwał i rozwinął się w wieku rozbiorów, także jeśli chodzi o warstwę chłopską. W naszej wspólnocie narodowej niezwykle znaczące są takie postacie, jak Jan Matejko, Aleksander Brückner, ojciec Fryderyka Chopina Mikołaj czy Wincenty Pol, przybysze z Czech, Moraw, Niemiec, którzy poprzez wybór polskości potwierdzali jej siłę i atrakcyjność. Ona nie wzięła się znikąd – tylko z rozwoju historycznego, którego wczesne etapy śledzę w pierwszych tomach „Dziejów Polski". To mnie interesuje, a nie wydumana dekonstrukcja polskości, która nie tylko opiera się na strasznym redukcjonizmie historycznym (tylko ucisk!), lecz także przynosi niszczące skutki dla naszej wspólnoty tu i teraz, w wieku XXI.

Niedawny artykuł w miesięczniku „WPiS" kończy pan profesor przypomnieniem wybitnego literaturoznawcy, Stanisława Pigonia, człowieka z ludu właśnie, który sto lat temu przestrzegał: „Dziś może więcej niż kiedykolwiek żyjemy w obowiązku, w ciągłym pogotowiu […]. Poprzez wszystkie dziedziny życia, przez naukę, literaturę, sztukę, przez politykę, wychodźstwo, handel idzie ku nam wrogi, mocny ciąg łapczywej obczyzny i wypiera nasze rodzime pierwiastki, walory. Dokonywa się z wolna najstraszniejsze wywłaszczanie z ducha, wytracanie niepodległości wewnętrznej". Niepokojąco aktualnie brzmią te słowa.

Stanisław Pigoń, ten chłop z Komborni koło Pilzna, jak setki tysięcy chłopów z jego pokolenia wybrał polskość i tej polskości bronił, także czynnie, w wojnie z bolszewikami. Był to wybór Polski przez kulturę, polskości jako awansu

eprasa.pl d3eaad21cf

kulturowego i społecznego. To jest to doświadczenie, przekazane mi również przez mojego ojca, inżyniera w Hucie Lenina, którego dziadek był jeszcze chłopem pańszczyźnianym. Rodzina pochodziła z Podkarpacia, dokładnie spod Rzeszowa. Dlatego dla mnie kwestie chłopskie są ważne, traktuję je bardzo osobiście. I dlatego wiem, że doświadczenie Stanisława Pigonia nie jest jednostkowym przykładem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale tych wszystkich chłopów, którzy do polskości dorośli i z dumą do niej przylgnęli. I obronili ją, przynajmniej dwukrotnie: w roku 1920 i w czasie drugiej wojny światowej, i po niej, gdy po odcięciu przez Niemców i Sowietów głów polskim elitom to także m.in. chłopscy synowie i córki odtworzyli te elity (a nie tylko zasilali, zgodnie ze stereotypem, kadry ORMO czy PZPR), wbrew komunistom doprowadzając do zbudowania Solidarności: przecież większość robotników Sierpnia '80 pochodziła ze wsi… Dziś my, potomkowie chłopów, cieszymy się, że możemy współuczestniczyć w kulturze, którą niegdyś tworzyli Kochanowski, Rej, Radziwiłł „Sierotka" czy Wacław Potocki, że na naszą skromną skalę bierzemy w niej udział i przekazujemy ją następnym pokoleniom. To jest najszczytniejsze zadanie, które mamy do zrealizowania tu, na ziemi.

Przez lata osiedlali się u nas przybysze z różnych krajów i bynajmniej nie tylko Żydzi, bo choćby w podwarszawskiej wiosce, w której od kilkunastu lat mieszkam, zachowały się jeszcze groby tych „Olędrów", których pan wspominał. Ale w takim razie co takiego się stało, że nagle w Galicji, w powiecie tarnowskim, wybuchł w 1846 r., i to tak krwawy, bunt Jakuba Szeli?

Przede wszystkim postawiłbym pytanie: Dlaczego właśnie tam i tylko tam? Czyżby w Kongresówce żyło się dużo lepiej niż w Galicji? Tam też pańszczyzna nie była jeszcze zniesiona. A w końcu dlaczego nie napadano na dwory we wschodniej Galicji, tylko w powiatach tarnowskim i jasielskim? Dopiero wejście na poziom mikrohistorii pozwala pokusić się o odpowiedź na te kwestie. I dzięki temu można wyjść poza toporny stereotyp chłopskiego wyzysku i odwetu, wziąć pod uwagę, obok pretensji do „polskiego pana" i wiary w „dobrego cesarza" w Wiedniu, także bezpośrednią przyczynę: katastrofę naturalną, która dotknęła w latach 1844–1845 dokładnie ten rejon, gdzie doszło do rebelii. Powódź zalała wtedy ponad 500 miejscowości zamieszkiwanych przez 300 tys. ludzi. Utracili oni dorobek kilku pokoleń i nawet austriackie władze udzieliły powodzianom pomocy, choć była to, rzecz jasna, kropla w morzu potrzeb. Co w takiej sytuacji robił zwykle chłop? Topił smutek w gorzałce. Tymczasem kilka miesięcy po powodzi dotarł do Galicji ruch trzeźwościowy. To był ruch zapoczątkowany w Stanach Zjednoczonych, który na ziemiach polskich pojawił się z kolejną falą, po stoczeniu walki z alkoholem w Szkocji i Irlandii, a potem już na kontynencie europejskim. Jakie były jego skutki? Ruch ten, zainicjowany przez Kościół katolicki, istotnie zatrwożony problemem alkoholizmu, największy sukces odniósł właśnie na terenach dotkniętych klęską żywiołową. W ciągu kilku miesięcy blisko pół miliona ludzi w diecezji tarnowskiej ślubowało przed ołtarzem całkowitą, dożywotnią abstynencję, a 300 tys. ograniczenie spożycia alkoholu. Dla porównania: w sąsiedniej diecezji przemyskiej uczyniło tak 150 tys. ludzi, czyli znacznie mniej. W tej sytuacji na stały i narastający konflikt społeczny nałożyły się dramatyczne zubożenie mieszkańców oraz masowe napięcie setek tysięcy chłopów z dnia na dzień pozbawionych jedynego znanego im, jak dziś byśmy powiedzieli, antydepresantu.

Kto na tym odprzysięganiu się od picia wódki przez chłopów najbardziej stracił? Karczmarze żydowscy, którzy utracili zarobki, jak również część szlachty, która te karczmy im dzierżawiła. Karczmarzy, bardzo aktywnie występujących przeciwko ruchowi trzeźwościowemu, można nawet zrozumieć, bo stanęli na krawędzi bankructwa. I tu mamy do czynienia ze zjawiskiem negującym tezy, na których opiera się współczesna szkoła historyków polskiego antysemityzmu, przypisująca polskim chłopom krwiożerczy instynkt mordowania Żydów, kiedy tylko jest okazja. Jak to pogodzić z tym, że w rabacji galicyjskiej na minimum 1,3 tys. (w rzeczywistości zapewne ok. 2 tys.) ofiar śmierć poniosło dwóch Żydów, w tym jeden atakując wraz z chłopami dwór, a drugi w obronie szlacheckiego folwarku? Choć na tarnowskiej wsi Żydów było przecież nie jeden promil, tylko kilka procent. Dlaczego nie doszło przy okazji ówczesnej masakry do „krwawego teatru polskiego antysemityzmu"? Odpowiedzi trzeba szukać w historii społecznej, gospodarczej, politycznej – nie tylko w stereotypach i fantazmatach, które pracowicie budują niektórzy badacze, z góry wiedzący, że wszystkiemu zawsze winne są polskość i katolicyzm.

Mitem okazała się wersja, jakoby władze austriackie płaciły chłopom za zamordowanych szlachciców…

Nieprawdą było, jakoby szef administracji austriackiej w Tarnowie, Joseph Breinl, umówił się z Szelą, że będzie płacił 5 talarów za żywego, a 10 za zmarłego polskiego powstańca. Niemniej jednak urzędnicy Breinla dawali chłopom jakieś drobne sumy, a przede wszystkim nie ścigali sprawców zbrodni. Tu warto zauważyć, że do podobnych wydarzeń nie doszło w Rzeczypospolitej Krakowskiej, która zresztą w tym samym 1846 r. przestała istnieć po wcieleniu do Austrii. Czyli nawet ograniczona obszarowo ta namiastka polskiej państwowości osłabiła skutek rzeczywistego antagonizmu społecznego na linii dwór–wieś. W Rzeczypospolitej Krakowskiej chłopi zostali wcześniej uwolnieni od pańszczyzny i oczynszowani. Dziad z „Wesela" Wyspiańskiego, przychodzący do bronowickiej chaty, jest chłopem z powiatu tarnowskiego, nie spod Krakowa.

Pytam o Jakuba Szelę nieprzypadkowo. Oczywiście Adam Leszczyński wybiela go, jak tylko może, ale bohatera robi z niego też ni z tego, ni z owego wyróżniony nagrodą Nike Radek Rak w swojej mitotwórczej powieści „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli". Kłania się tu historia naszej literatury, tak bardzo sprzęgnięta z wydarzeniami politycznymi, bo przecież tę samą postać idealizował przed niemal wiekiem komunista Bruno Jasieński w „Słowie o Jakubie Szeli". Jeszcze trochę i wyrzucimy z listy lektur „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, a w to miejsce wstawimy „Baśń o wężowym sercu…" czy wywodzącą się z tego samego, rzekomo ludowego, pnia naszej historii „Królewskiego syna" Wandy Wasilewskiej, opowiadającego o innym buntowniku, którym był – już w XVII w. – Aleksander Kostka-Napierski. A historii młodzież uczyć się będzie na przemian z książek Leszczyńskiego i podręczników ściśle realizujących wytyczne osławionej Żanny Kormanowej, która 70 lat temu grzmiała: „Historia nieoparta o metodologię marksistowską […] jest naukowo bezpłodna, nie jest nauką w pełnym tego słowa znaczeniu".

To już przerobiliśmy: marksizm, rozumiany jako pewnego rodzaju klucz ideologiczny do „odczarowania" rzeczywistości, a to jest chyba najważniejsza jego funkcja,

eprasa.pl d3eaad21cf

może okazać się w końcu jałowym narzędziem, zarówno jeśli chodzi o poznawanie dziejów społecznych, jak i gospodarczych. Dysponujemy dziś zupełnie nowymi narzędziami, zachęcam np. do sięgnięcia po prace białostockiego ośrodka naukowego, których wyniki w wielu punktach korygują obraz stworzony przez marksistowską ideologię. Spójrzmy też na nową falę badań nad historią rodziny i kobiety, niepodporządkowaną kliszom gender. Każdy rzetelny badacz musi dziś zauważyć ogromną rolę chrześcijaństwa, a także Kościoła katolickiego w zmianach relacji kobieta–mężczyzna, dowartościowujących tę pierwszą. W starożytnym Rzymie kobieta była praktycznie własnością mężczyzny, pana domu, pater familiae. To wpływ chrześcijaństwa, i to szczególnie w wersji katolickiej, nie protestanckiej, doprowadził do pojawienia się tzw. kobiecych wolnych rąk do pracy. Nasi neomarksiści są naprawdę zacofani w stosunku do współczesnych badań (zachodnich, a jakże!) nad narodzinami „girl power" i „human capital" w nowożytnej Europie oraz nad miejscem Polski w tej historii. Najnowsze studia takich autorów, jak Joerg Baten, Monica Campestrini czy Mateusz Szołtysek, idą zupełnie w poprzek ideologicznego schematu budowanego w sławionych przez „Gazetę Wyborczą" książkach, które rzekomo mają zdemistyfikować historię Polski. Jeśli ją demistyfikują, to w sposób prymitywny, naśladowczy wobec tego, co już było: za Wandy Wasilewskiej i Aleksandra Korniejczuka. Powieści Radosława Raka nie czytałem, to podobno rodzaj realizmu magicznego, więc się nie wypowiadam. Jasieński zaś i Wasilewska byli raczej ideologami niż pisarzami, choć pisać potrafili i nie zawsze nudzili. Ich mniej uzdolnieni kontynuatorzy rozwijają ten sam prostacki schemat, niemający nic wspólnego – co podkreślam z całą mocą – z nowymi ustaleniami naukowymi w historii społecznej i gospodarczej.

W PRL-owskiej szkole obowiązkowa była znajomość „Kordiana i chama" Leona Kruczkowskiego, obrazującego nieszczęsną dolę chłopa, którą zamęczali nas poloniści i historycy. Czy następne pokolenia Polaków mają być skazane na pochylanie się nad podobnymi lekturami, w istocie negującymi naszą historię i tradycję, z których mamy powody być dumni?

Tradycyjny marksizm ani nie jest najważniejszym, ani najgroźniejszym etapem procesu, o którym rozmawiamy. Niezależnie od tego, że staram się polemizować z tego rodzaju obrazem historii, uważam, że oczywiście można i warto badać historię społecznego ucisku chłopów w Polsce: byli oni bowiem grupą upośledzoną i co do tego nie ma wątpliwości. Na pewno jest to pole do rzetelnych studiów. Jednak z niepokojem patrzę, jak wojująca samonienawiść szuka kolejnych ofiar, marginalizowanych bądź uciskanych przez uprzywilejowanego białego mężczyznę, swojego głównego wroga. Następną grupą prześladowaną, ważniejszą nawet od chłopów pańszczyźnianych, są kobiety. I znów: zjawisko to powinno być badane i analizowane, jak długo badań nie zastępuje ideologia – w tym wypadku gender. „Emancypacja" idzie jednak dalej: trzecim wielkim obiektem prześladowanym przez białego mężczyznę, białego człowieka, a wreszcie przez człowieka w ogóle, jest natura. Poczynając od zwierząt i potężnego nurtu „animals studies", a skończywszy na przyrodzie nieożywionej. Nie zdziwię się, gdy zaczniemy zajmować się opresją kamyków. Jesteśmy już na progu tej fazy. Znowu trzeba powiedzieć, że zajmowanie się historią relacji człowieka z przyrodą daje szansę na poznanie nowych obszarów rzeczywistości – o ile nie przekształci się w ideologiczną karykaturę o twarzy podstarzałej szwedzkiej uczennicy, która robi groźne miny. I o ile nie będzie prowadziło do zniszczenia – i tu pada kluczowe słowo – naszej, europejskiej kultury. To jest coś najcenniejszego, co zbudował „biały człowiek" i co także zbudowała Polska w swoich dziejach. Otóż ostatecznie ofiarą dekonstrukcji polskości jest nie tylko nasza wspólnota polityczna, lecz także kultura wysoka, którą w całości trzeba byłoby unieważnić. Wszak w naszym przypadku od mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem poprzez Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja mamy ciąg panów, najpierw feudalnych, potem folwarcznych, żyjących z wyzysku chłopów i „marginalizujących" kobiety. Sienkiewicz, a nawet Gombrowicz czy Miłosz też urodzili się we dworze... Jeśli nawet docenimy, że Kochanowski uronił łzę nad swoją Urszulką, to przecież możemy założyć, że z pewnością był strasznym męskim szowinistą. A Rej na pewno źle traktował bydło. Idąc dalej w tym kierunku, ideolodzy samonienawiści odwracają znaczenie kolejnych słów czy wręcz zakazują używania tych, które tworzą podstawowe dzieła naszego kanonu kulturowego. Można zawsze zapytać, co z poezji miała niepiśmienna kobieta w wieku XVI? Namacalnym przykładem, do czego prowadzi takie myślenie, był apel pewnego młodszego pracownika Uniwersytetu Stanforda z wydziału zajmującego się starożytnością, żeby zdekonstruować, a właściwie zlikwidować studia nad historią antyczną, bo Arystoteles był zwolennikiem niewolnictwa i mizoginem, a opierał się na nim cały antyk. Należy więc tę kulturę zreinterpretować i wyrzucić wreszcie na śmietnik, razem z Platonem, Sofoklesem, Horacym i innymi „męskimi szowinistami". Na ten ruch ideologiczny musimy spojrzeć nie z trwogą, ale z realistyczną oceną jako na poważne zagrożenie naszej kultury. Jeśli dzisiaj słyszę i czytam teksty profesorek i profesorów wydziałów humanistycznych, broniących używania najbardziej rynsztokowego języka w dialogu publicznym i podkreślających prawo do tego rodzaju ekspresji („j…ć Polskę"), to mam wrażenie, że obserwuję marsz przeciwko kulturze, i nie tylko polskiej. Wraz z Kochanowskim, Mickiewiczem i Chopinem zostaną bowiem zniszczeni Wergiliusz, Molier czy Szekspir, któremu nie pomoże nawet przerobienie na modłę LGBT, bo pozostanie białym mężczyzną pochodzącym z serca światowego kolonializmu, czyli z Anglii. Jeśli zwycięży ta antykulturowa rewolucja, która idzie w tej chwili przez najbardziej postępowe uniwersytety amerykańskie i zachodnioeuropejskie, docierając (z wielką pomocą reformy premiera Gowina) do Polski, to dojdziemy do palenia wszystkich ważniejszych książek, które stworzyła cywilizacja „białego człowieka". A wtedy i dziadzio Marks się nie uchowa.

Ostatecznie ofiarą dekonstrukcji polskości jest nie tylko nasza wspólnota polityczna, lecz także kultura wysoka

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ERIC VIDAL/EU/EP

Z Witoldem Waszczykowskim, byłym ministrem spraw zagranicznych, europosłem PiS

rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Dzień przed spotkaniem z Putinem, na marginesie szczytu NATO, Andrzej Duda spotkał się jednak z Joe Bidenem. Amerykański prezydent potwierdził „zdecydowane zaangażowanie w obronę sojuszników na wschodniej flance, w tym Polski". Tyle że to była rozmowa kuluarowa...

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Nie podoba mi się narzekanie komentatorów w stylu: „Spotkał się, ale nie tak, jak powinien". Trzeba wiedzieć, jak wygląda tego typu szczyt, organizowany zawsze po wyborach w Stanach Zjednoczonych. Podobnie w maju 2017 r. z sojusznikami z NATO spotkał się Donald Trump. To normalne, że na marginesie szczytu, w jego kuluarach, czyli na korytarzu czy w wolnych pomieszczeniach, odbywają się nieoficjalne dwustronne rozmowy amerykańskiego prezydenta z przywódcami czy przedstawicielami państw sojuszniczych. Dobrze się stało, że Biden potwierdził swoje zobowiązania sojusznicze wobec nas. Ale poza tą retoryką pamiętajmy, że łączą nas wielomiliardowe kontrakty, ścisła współpraca geopolityczna i geostrategiczna, że nad Wisłą stacjonują tysiące żołnierzy US Army, a będzie ich jeszcze więcej, gdy zostanie u nas rozlokowane Wysunięte Dowództwo V Korpusu Sił Lądowych USA. Łączą nas kontrakty gazowe, zbrojeniowe, Trójmorze... Biden tego wszystkiego nie zepsuł. Dłużej rozmawiał z przywódcami państw bałtyckich, które są w dużo gorszym niż my położeniu, jeśli chodzi o zagrożenie agresją rosyjską. To oczywiste, że musiał też spotkać się z Erdoğanem czy pogratulować nowemu premierowi Izraela...

A jednak w porównaniu z tym, jakie mieliśmy relacje z Trumpem, stosunek Bidena do Polski jest niepokojący.

Byłby lepszy, gdybyśmy mieli tak nadzwyczajne relacje z USA jak Izrael. Wątpliwe jednak, czy Polska byłaby bardziej bezpieczna, mając takie położenie geopolityczne jak Izrael... To oczywiste, że zmiana władzy w Białym

eprasa.pl d3eaad21cf

Biden woli powstrzymywać Chiny niż Rosję

Domu była dla nas niekorzystna. Ale taki prezydent USA jak Donald Trump, o tak przyjaznym nastawieniu do Polski, tak zaangażowany w pozytywne relacje na linii Waszyngton–Warszawa, jeszcze przez wiele lat się nie powtórzy. Myśmy to zaangażowanie i tę przyjaźń wykorzystali do maksimum. Należy się z tego cieszyć, zamiast opowiadać banialuki, że postawiliśmy wszystko na jedną kartę...

Wielu komentatorów zauważa jednak, że nasze relacje z Donaldem Trumpem były zbyt spersonalizowane. Może musiały takie być. Ale można było też odnieść wrażenie, że Polska zwleka z uznaniem zwycięstwa Bidena, pierwsze gratulacje prezydenta Dudy były dość stonowane...

Jak pan wie, losy wyborów w USA długo się ważyły. Długo stawialiśmy na USA pod wodzą Trumpa, ale jeśli ktoś czyni z tego zarzut, to zapytam: A na kogo innego mieliśmy stawiać?! Jaka była alternatywa?! Gdzie były oferty innych państw, instytucji, równie poważne, co oferta Trumpa? Co nam zaproponowały Francja, Niemcy? Gdzie jest Trójkąt Weimarski? Z kolei Unia Europejska nie oferuje nam bezpieczeństwa, tylko bezwarunkowe poddanie się jej dyktatowi, wejście do strefy euro itd. Poza tym chybiony jest zarzut, że myśmy uczepili się samego Trumpa. Nasza dyplomacja współpracowała zarówno z demokratami, jak i z republikanami. Kiedy jako minister gościłem w Departamencie Stanu, szef mojego gabinetu politycznego Jan Parys szedł na lunch ze Zbigniewem Brzezińskim. A to przecież doradca prezydentów z Partii Demokratycznej! Po spotkaniu w Departamencie Stanu wyprawiałem w naszej ambasadzie lunch dla dyrektorów think tanków, spośród których wielu współpracowało z demokratami. W kwestii relacji polsko-amerykańskich radziłem się doświadczonych na tym polu, za to związanych z Partią Demokratyczną, Dana Frieda czy Iana Brzezinskiego.

Faktem jednak jest, że demokraci zazwyczaj wolą porozumienie z Rosją czy Niemcami niż stawianie na Polskę. Barack Obama słynny reset ogłosił 17 września 2009 r., gdy nad Wisłą rządziła lubiana na Zachodzie ekipa PO-PSL...

Z republikanami też nie jest łatwo – przecież to właśnie George Bush zajrzał w oczy Putina i dostrzegł w nim „bratnią duszę". Kolejni prezydenci USA po rozpadzie ZSRS, niezależnie od reprezentowanej opcji, konsekwentnie wierzyli w to, że jeśli Waszyngton zaprosi Moskwę do współpracy, to Rosja przyjmie zachodnie standardy demokratyczne. Obama przetestował reset i się sparzył – ostatecznie to jego administracja zadecydowała o rotacyjnej obecności wojsk NATO w Polsce.

Biden odwrotnie: najpierw nazwał Putina zabójcą, potem zaprosił do rozmów i zawiesił sankcje nałożone na konsorcjum budujące Nord Stream 2.

Myślę, że w pierwszych tygodniach prezydentury jego myślenie mogło być rzeczywiście antyrosyjskie. Później jednak, zapewne, dał się przekonać związanym z opcją demokratyczną think tankom, które od lat forsują potrzebę porozumienia z Rosją.

A może ustąpił Putinowi pod wpływem szantażu? Może chciał usiąść do rozmów w obawie, że w przeciwnym wypadku dojdzie do inwazji na Ukrainę?

To również. Nie wiem, czy Putin blefował, ale faktem jest, że dokonał ogromnej mobilizacji wojsk na granicy z Ukrainą. Państwa Zachodu prześcigały się w gestach pojednawczych wobec Moskwy, chcąc uniknąć eskalacji konfliktu. Trzeciego powodu porozumienia z Rosją szukałbym w Pekinie. Biden dał się przekonać, że największym zagrożeniem dla USA są Chiny. Waszyngton zamierza budować wspólny antychiński front z Niemcami i Rosją – stąd ustępstwa na rzecz tych dwóch państw.

W tym kontekście należy rozpatrywać cichą amerykańską zgodę na dokończenie gazociągu Nord Stream 2?

Tak. Biden zakłada, że dzięki takim gestom Rosjanie i Niemcy będą bardziej ulegli wobec USA. Dając im wolną rękę w sprawach Europy Środkowo-Wschodniej, liczy na to, że przeciągnie ich na swoją stronę przeciwko Chinom. To naiwne podejście. Rosjanom konflikt amerykańsko-chiński jest na rękę. Niemcy z kolei chcą zarabiać na współpracy gospodarczej z Pekinem.

Zbigniew Rau stwierdził, że o zdjęciu przez USA sankcji z konsorcjum budującego NS2 dowiedział się z mediów. „Sojusznicy amerykańscy nie znaleźli czasu na konsultacje z najbardziej narażonym na skutki tej decyzji regionem świata" – powiedział. To, że Amerykanie nie chcą z nami rozmawiać, chyba nie świadczy zbyt dobrze o sile i skuteczności polskiej dyplomacji.

Odkąd przestałem pełnić funkcję szefa MSZ, konsekwentnie powtarzam: nie będę recenzować poczynań swoich następców. Natomiast rzeczywiście, brak konsultacji na linii Waszyngton–Warszawa w tak ważnej dla nas sprawie to jest problem. Tyle że to problem wywołany przez Amerykanów, nie przez nas.

Może Biden ma zwyczajnie w głębokim poważaniu Polskę?

eprasa.pl d3eaad21cf

Nie w głębokim, bo jednak z prezydentem Dudą się spotkał i potwierdził gwarancje sojusznicze. Poza tym mówi pan o nieskuteczności naszej dyplomacji – a przecież Nord Stream 2 to problem nie tylko nasz, lecz także państw bałtyckich i Ukrainy. Czyżby cały nasz region był nieskuteczny?! Biden po prostu wybrał: ważniejsze jest dla niego powstrzymywanie Chin niż Rosji.

Jak znaczącą rolę w ochłodzeniu relacji z USA odgrywają różnice światopoglądowe?

Niestety, do władzy w Stanach doszła opcja lewicowo-liberalna, a nawet – biorąc pod uwagę poglądy Kamali Harris – neomarksistowska. Mam jednak nadzieję, że gdy Joe Biden przyjedzie do Polski, przekona się, że jesteśmy normalnym, demokratycznym krajem, w którym opozycji nie dzieje się żadna krzywda, zagwarantowany jest nieograniczony pluralizm medialny, a głosy o rzekomym łamaniu praworządności czy o autokratycznym ustroju to absurdalne fake newsy.

Tylko czy Biden będzie chciał się o tym przekonać? Jakoś Europie Zachodniej to wszystko polski rząd tłumaczy od kilku lat. Bezskutecznie. Może problemem jest zwyczajnie fakt, że nad Wisłą nie rządzi opcja lewicowo-liberalna, a jedyne, co PiS może zrobić, by poprawić relacje z Zachodem, to odejść?

Musimy zrobić wszystko, aby dotrzeć do Bidena z informacją o tym, co naprawdę się w Polsce dzieje. Natomiast, jeśli pomimo tego będzie się upierać przy swoim, będzie jasne, że mamy do czynienia z ideologicznym zacietrzewieniem, tak jak w przypadku stosunku do nas unijnych elit.

Spory kompetencyjnie o to, czy Europą powinny rządzić parlamenty krajowe czy europarlament, nazwał pan „grą o tron w UE". Polski rząd, prezentując konserwatywną opcję „Europy ojczyzn", chyba w tej grze przegrywa?

Na 705 europosłów z 500 nie ma o czym rozmawiać. Nie dociera do nich żaden argument rzeczowy. Oburzają się na „strefy wolne od LGBT" nawet po zapoznaniu się z dowodami świadczącymi, że te strefy to fake…

To może trzeba poszukać jakiegoś porozumienia?

To jest spór ideologiczny, a w sporze ideologicznym nie ma kompromisów. Nie musimy przegrać. Przegralibyśmy, gdyby lewicowo-liberalna większość w Parlamencie Europejskim doprowadziła do inwazji na Polskę. Oczywiście będzie nam trudno dopóty, dopóki na Zachodzie będzie dominować myślenie lewicowo-liberalne. Ale tak nie będzie zawsze. Jeszcze wahadło demokracji przechyli się na środek, a może i na prawo. Trzeba przetrwać tę ideologiczną wojnę, w której strona przeciwna nie bierze jeńców.

PiS ma stworzyć w Parlamencie Europejskim frakcję konserwatywną wraz z węgierskim Fideszem i włoską Ligą. Na ile realny i trwały to może być sojusz? Łączą was konserwatyzm i sprzeciw wobec dyktatu Brukseli, dzieli chociażby stosunek do Rosji.

Węgry mają z Rosją tylko dwa wspólne interesy do załatwienia. Po pierwsze – remont elektrowni atomowej, który mogą wykonać tylko Rosjanie, gdyż została ona zbudowana jeszcze przez sowieckich specjalistów. Po drugie – gaz. Moskwa jest na razie jedynym realnym dostarczycielem tego surowca dla Budapesztu. Jeśli uda się dokończyć Baltic Pipe i będziemy mogli zaproponować Węgrom gaz z rury norweskiej, a oni odmówią – to wtedy dopiero będzie można mówić o strategicznym sojuszu węgiersko-rosyjskim. Na razie najbardziej prorosyjskie są Niemcy. Świadomie, nie z przymusu czy braku alternatyw, wiążą się gospodarczo z Rosją. Wiadomo, że PiS, Fidesz i Liga nie zgadzają się we wszystkim, ale to samo dotyczy wszelkich sojuszy. Oczywiście chcielibyśmy, żeby współpraca partii przełożyła się na współpracę rządów. Będziemy próbować przeciągać na swoją stronę przywódców kolejnych państw – tak, aby niezależnie od nieprzychylnego nam składu Parlamentu Europejskiego zyskać możliwie największe wsparcie w ramach Rady Europejskiej, w której zasiadają przecież szefowie rządów. Dużym wyczynem byłoby zbliżenie z Włochami, które są bardzo silną gospodarką i znaczącym państwem UE.

Wydaje się, że PiS nieśmiało zaczyna prowadzić wielowektorową politykę zagraniczną. Co nam może dać otwarcie na Turcję i Chiny?

To nic nowego. Na Turcję byliśmy otwarci już dawno. Jeszcze będąc ministrem spraw zagranicznych, zorganizowałem spotkanie szefów dyplomacji Polski, Turcji i Rumunii, czyli trzech największych państw flanki wschodniej NATO. Wraz ze swoim rumuńskim odpowiednikiem gościłem w Ankarze niedługo po rzekomym zamachu stanu, do którego miało tam dojść w 2016 r. Z kolei format „16 + 1", zakładający współpracę gospodarczą państw Europy Środkowo-Wschodniej z Chinami, zainaugurowano jeszcze za rządów Tuska. Od dawna jesteśmy otwarci na Pekin, problem w tym, że Pekin tego otwarcia nie chce odwzajemnić. Chiny nie chcą u nas inwestować, chcą jedynie sprzedawać. Dziennikarze mają krótką pamięć. Proszę sobie przypomnieć, że swoją pierwszą wizytę w Azji zacząłem od Pekinu. Rau niczego nie otwiera, tylko kontynuuje nasze w miarę dobre relacje z Chinami.

Jednak wizyty prezydenta Dudy w Turcji i ministra Raua w Chinach miały miejsce akurat w momencie, gdy stało się wielce prawdopodobne, że Biden dogada się z Putinem. Może więc w ten sposób polska dyplomacja chce wzmocnić swoją pozycję wobec Waszyngtonu i szeroko rozumianego Zachodu, dając sygnał o treści: „Mamy alternatywę, więc lepiej nas szanujcie"?

W przypadku Chin może tak. Ale nie w przypadku Turcji, która przecież jest częścią Zachodu – ważnym członkiem NATO, kandydatem do Unii Europejskiej, który już rozpoczął formalne negocjacje na temat akcesji. Jest więc bliżej Zachodu niż chociażby Ukraina, której popieranie przez Polskę nie wzbudza większych kontrowersji. Turcja jest nam potrzebna jako silny sojusznik, zdolny do powstrzymywania imperializmu rosyjskiego. To element wzmocnionej współpracy regionalnej – zarówno w ramach NATO, jak i UE.

Budowa Baltic Pipe została zawieszona, tymczasem Nord Stream 2, za cichym przyzwoleniem Bidena, najpewniej powstanie. Czy Amerykanie stracą zainteresowanie naszym regionem? Czy takie projekty jak Trójmorze stoją pod znakiem zapytania?

Nie należy utożsamiać amerykańskiej polityki zagranicznej wyłącznie z Bidenem. W Stanach idea Trójmorza cieszy się poparciem ponad podziałami politycznymi. Nawet zazwyczaj nam niechętne think tanki, związane z obozem demokratów, zachęcają do inwestowania w Europę Środkową. Biden nie jest dla nas tak otwarty i przyjazny jak Trump, ale też nie jest tak niechętny, jakbyśmy mogli się tego spodziewać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Hakerzy uderzyli w rząd

Paweł Zdziarski

Według premiera wszystko wskazuje, że atak hakerski na skrzynki poczty elektronicznej najważniejszych osób w państwie to działania wschodnich służb. – To nowe oblicze współczesnej wojny – stwierdził Mateusz Morawiecki

Jedno z rosyjskich kont komunikatora Telegram zaczęło ujawniać wiadomości rzekomo mające pochodzić z prywatnej skrzynki e-mailowej szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michała Dworczyka.

Do tej pory opublikowano wiadomości dotyczące m.in. rzekomej wymiany zdań Dworczyka z premierem Mateuszem Morawieckim o tym, czy pomóc Niemcom z respiratorami, czy wysłać wojsko na ulice do pilnowania porządku podczas tzw. Strajku Kobiet po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, a także tego, jak ostro szef rządu powinien publicznie wypowiadać się o Nord Stream 2.

Minister Dworczyk wcześniej przyznał już, że doszło do ataku hakerskiego na konta jego i jego żony. Zawiadomił o tym służby. Zaznaczał, że w skrzynce e-mailowej, na którą się włamano, nie było informacji, które miały charakter niejawny, zastrzeżony czy ściśle tajny.

– W ostatnim czasie jesteśmy przedmiotem bezprecedensowego ataku cybernetycznego na Polskę, na polskie instytucje i użytkowników skrzynek internetowych – powiedział rzecznik rządu Piotr Müller w trakcie ubiegłotygodniowego briefingu. Tłumaczył również, że premier zwrócił się o zwołanie niejawnego posiedzenia izby, aby posłowie mogli zapoznać się z materiałami, które mają „charakter klauzulowany". Müller zwracał uwagę, że w ostatnich latach ofiarami ataków cybernetycznych było wiele krajów, m.in. Francja, Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone, i Polska nie jest wyjątkiem pod tym względem. – Natomiast skala tych ataków, które miały miejsce w ostatnim czasie, jest szeroka i w związku z tym premier uznał, że rząd musi bezpośrednio poinformować posłów o skali oraz zakresie tych ataków – przyznał rzecznik rządu.

Sytuację skrytykowała opozycja, która żąda zwołania sejmowych komisji. Zarzucała przy tym służbom specjalnym, że nie działają właściwie, a samemu Dworczykowi wykorzystywanie prywatnej skrzynki do załatwiania służbowych spraw.

Środowe niejawne posiedzenie Sejmu spowodowało lawinę komentarzy, przede wszystkim ze względu na słowa o planowanej inwazji Rosji na Polskę, które rzekomo miał wypowiedzieć Jarosław Kaczyński. Informację na ten temat przekazał Onet, jednak część polityków wskazuje na manipulację wypowiedzią wicepremiera.

– To, co jest cytowane w publikacjach na temat posiedzenia Sejmu, zostało poprzekręcane, momentami mocno, w sposób lekko złośliwy. Zachęcam do dużej ostrożności wobec takich przecieków – zapewniał w Polsat News Krzysztof Bosak z Konfederacji.

Sprawą ataku na skrzynkę szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów zajęły się polskie służby specjalne, m.in. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Elektroniczny atak na polskie władze to nie nowość. Cyberprzestrzeń od dawna jest miejscem walk informacyjnych.

CYBERWOJNY WCIĄŻ TRWAJĄ

Cyberataki pozwalają na ofensywy polegające na działaniach szpiegowskich i dezinformacyjnych na terenie danego kraju, przy oficjalnym utrzymywaniu stanu pokoju.

Zazwyczaj ma to ściśle zorganizowany charakter i odpowiednie struktury. Do tego typu działań operacyjnych tworzone są specjalne komórki COMPINT (Computer Intelligence – wywiad komputerowy) złożone z ekspertów w dziedzinie informatyki.

Po co prowadzi się cyberwojny? W grę wchodzą często ogromne interesy strategiczne państw. Można tu przypomnieć aferę z 2008 r., kiedy chińscy hakerzy związani z armią Państwa Środka włamali się do systemów informatycznych koncernu Lockheed Martin i wykradli plany myśliwca F-35. W tym samym roku rosyjscy hakerzy zaatakowali systemy informatyczne Pentagonu. Z kolei w ramach operacji amerykańskich i izraelskich służb wywiadowczych o kryptonimie Olympic Games sabotowano irański program wzbogacania uranu w Natanz – wprowadzono do kontrolera logicznego wirusa o nazwie Stuxnet.

Oprócz kradzieży tajemnic gospodarczych, ekonomicznych i technologicznych oraz działań dywersyjnych jednym z celów służb wywiadowczych operujących w cyberprzestrzeni stali się politycy, a konkretnie ich korespondencja elektroniczna oraz zawartość laptopów i smartfonów. Dowodem na to są informacje ujawnione przez Edwarda Snowdena, byłego pracownika CIA i kontraktora, który z ramienia prywatnych przedsiębiorstw działał na zlecenie NSA (National Security Agency). Ujawnił

eprasa.pl d3eaad21cf

on, że tajne służby USA szpiegowały instytucje Unii Europejskiej i ponad 30 czołowych polityków na świecie, w tym kanclerz Niemiec Angelę Merkel. Praktyka rozpracowywania polityków nie jest czymś nowym – afera Watergate w USA wydarzyła się w latach 70. ubiegłego wieku. Cyberprzestrzeń daje jednak znacznie większe pole manewru służbom wywiadowczym.

Korespondencja prowadzona przez najważniejsze osoby w państwie jest łakomym kąskiem dla hakerów. Skrzynki e-mail i technologie komunikacyjne, z których na co dzień korzystają politycy, to przedmiot zainteresowania służb wywiadowczych – mogą wykradać informacje, ale też szantażować, werbować lub umiejscawiać wokół takich osób agentów wpływu. Polityk, który pada ofiarą werbunku, często połączonego z szantażem, działa w interesach obcego mocarstwa. Niesie to ze sobą olbrzymie konsekwencje dla bezpieczeństwa i suwerenności reprezentowanego przez niego państwa. Dużym zagrożeniem jest również brak odpowiednich zabezpieczeń oraz zwyczajna nieuwaga, która pozwala służbom wywiadowczym na kradzież tajnych informacji o wartości strategicznej.

Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michał Dworczyk potwierdził, że hakerzy włamali się do poczty jego i jego żony FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

KTO POPEŁNIŁ BŁĄD?

Kwestią wychodzącą poza ramy cyberataków jest problem szwankującej osłony kontrwywiadowczej polskich polityków. Dowodem na to może być głośna seksafera „Czarnej Pantery" z posłem PiS Stanisławem Piętą. Dodatkowego znaczenia dodaje fakt, że polityk ten zasiadał w sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych. Jak się później okazało, skandal obyczajowy z konserwatywnym posłem w roli głównej nie był jedyną formą tej operacji. Zaangażowana w aferę Izabela Pek miała przez dłuższy czas szukać kontaktu z politykami Zjednoczonej Prawicy, wykorzystując kampanię wyborczą Andrzeja Dudy.

Do najpoważniejszych działań hakerów wymierzonych w bezpieczeństwo polskiego państwa należy cyberatak na infrastrukturę informatyczną MON, który trwał od 2009 do 2013 r. W jego wyniku kilkaset kont zostało zhakowanych. Należały one m.in. do pracowników Inspektoratu Uzbrojenia, pionu kadr, sekretariatu Ministra Obrony Narodowej i poszczególnych członków ścisłego kierownictwa resortu. Skradziono kilkaset tysięcy wiadomości. Była to poczta teoretycznie jawna, ale zawierała m.in. projekty stanowisk MON w obszarze międzynarodowym, notatki ze spotkań z partnerami, także z NATO, szczegóły zamówień i przetargów zbrojeniowych, sprawy kadrowe, notatki służbowe oraz projekty stanowisk.

Cyberataki są często zsynchronizowane z operacjami informacyjno-psychologicznymi. W tym przypadku nowoczesne technologie również niosą ze sobą ogromny potencjał. Wciąż rozwijają się możliwości infoagresji dokonującej się w cyberprzestrzeni. Należą do nich techniki dezinformacyjne, np. deepfake, czyli technika obróbki obrazu, polegająca na łączeniu obrazów twarzy ludzkich przy użyciu sztucznej inteligencji. Wspomniany wyżej COMPINT wykorzystywany jest do wsparcia wywiadu osobowego – HUMINT (Human Intelligence – wywiad osobowy). To tradycyjny wywiad z wykorzystaniem cybertechnik. Ta kombinacja klasycznego wywiadu osobowego i wywiadu cybernetycznego sprowadza się do tego, że infiltruje się daną organizację albo człowieka poprzez zainstalowanie złośliwego oprogramowania. Można tego dokonać również przy wykorzystaniu danych z cyberprzestrzeni, weryfikując w ten sposób prawdziwość informacji od źródła osobowego. Eksperci podkreślają, że powyższe metody cyberataków mogą stosować nie tylko agendy państwowe, czyli służby wywiadowcze danego kraju, lecz także podmioty gospodarcze, organizacje sięgające po terroryzm jako oręż w walce politycznej czy zorganizowane grupy przestępcze.

ROSYJSKIE SYMBOLE W METADANYCH

Mając świadomość szerszego kontekstu cyberkonfliktu, nie dziwi fakt,

eprasa.pl d3eaad21cf

że cyberatak wymierzony w ministra Michała Dworczyka budzi tak wielkie poruszenie. Wiąże się to z licznymi spekulacjami dotyczącymi tego, kto stoi za dokonaniem cyberataku. Wkrótce po włamaniu na skrzynkę e-mailową szefa KPRM znaleziono trop prowadzący na wschód od granic Polski. Białoruski portal Nexta opublikował informację, że w metadanych opublikowanych plików znalazły się rosyjskie symbole. „Biorąc pod uwagę kampanię dezinformacyjną zorganizowaną przez białoruską propagandę, porwanie samolotu z Ramanem Pratasiewiczem i nieudane próby handlu więźniami politycznymi z Zachodem, nie ma wątpliwości, że te operacje są również przygotowanym atakiem ze strony »Państwa Związkowego«" – czytamy we wpisie Nexty.

Część ekspertów zwraca jednak uwagę, że dowody mogą okazać się niewystarczające, aby twierdzić, iż ataku dokonano z inspiracji Kremla.

– Zawsze, kiedy mówimy o cyberataku, należy trzy razy się zastanowić, zanim przypisze się go konkretnej stronie, bo metadane dokumentów można zmienić i taka modyfikacja nie pozostawia śladów – powiedział w rozmowie z DoRzeczy.pl Marcin Maj, ekspert ds. cyberbezpieczeństwa z Niebezpiecznik.pl. – Teraz moglibyśmy przewrotnie zapytać, czy ktoś tych metadanych nie umieścił celowo, żeby wskazać na stronę rosyjską? Owszem, są powody, żeby tak sądzić, ale nie ma niezbitych dowodów, że to na pewno zrobili Rosjanie – zaznaczył.

Sylwia Gliwa z portalu CyberDefence24.pl apeluje, aby studzić emocje, „zarówno te polityczne, jak i medialne". Jak twierdzi, „zarówno nasze służby, jak i struktury państwowe powinny przystąpić do oceny sytuacji". – Warto mieć na uwadze, że jednym z celów tego działania miało być właśnie wywołanie takiego zamieszania oraz podgrzania atmosfery politycznej w kraju. Oczywiście powinniśmy skupić się na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie „Kto?", ale również na serię pytań: „W jakim celu?", „Dlaczego w tym czasie?", „Co chciano osiągnąć?" – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy".

UCZULIĆ NIE TYLKO POLITYKÓW

Ekspertka zwraca też uwagę, że kultura cyberbezpieczeństwa i świadomość użytkowników Internetu w Polsce stoją na bardzo niskim poziomie.

– Nie weźmie się ona znikąd, nie pojawi się zaraz po odbyciu się niejawnego posiedzenia Sejmu – wymaga ona wprowadzenia bardzo szerokiej i skrupulatnej edukacji. I tutaj nie ma wyjątku, muszą jej zostać poddani: nasi politycy, urzędnicy, osoby zarządzające kluczowymi instytucjami, operatorzy elementów infrastruktury krytycznej, a także my wszyscy – podkreśla Sylwia Gliwa.

Najwłaściwszą odpowiedzią na te ataki, zdaniem ekspertki CyberDefence24.pl, powinno być „uderzenie się w piersi". Ma ono polegać na przeprowadzeniu audytu, wykryciu wszystkich błędów i naprawieniu ich. – Przestańmy skupiać się tak mocno na winnych, a zacznijmy naprawiać własne niedoskonałości i zacznijmy dbać o swoje podwórko. Tego wymaga bezpieczeństwo naszego kraju – apeluje Gliwa.

Tomasz Formicki, ekspert ds. bezpieczeństwa informacyjnego, autor książki „Wywiad i kontrwywiad jako kluczowe komponenty walki informacyjnej", zwraca uwagę na niską świadomość bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni wśród polskich polityków i urzędników państwowych. – Jest to brak kultury ochrony informacji, które nie powinny być przekazywane powszechnie dostępnymi kanałami informatycznymi – mówi Formicki. – Ryba psuje się od głowy. Dlatego oprócz systematycznych szkoleń uświadamiających politykom oraz urzędnikom zagrożenia w cyberprzestrzeni należy również prowadzić edukację społeczeństwa w tym zakresie. Bardzo ważną rolę odgrywać powinien system szkolnictwa wyższego, który odpowiada za kształcenie specjalistów z zakresu szeroko rozumianej informatyki. Uzupełnieniem tego procesu powinna być powszechna edukacja prowadzona w ramach szkół podstawowych i średnich, jak również za pomocą kampanii informacyjnych ukierunkowanych na zwiększenie poziomu wiedzy społeczeństwa na temat zagrożeń w cyberprzestrzeni.

Zdaniem eksperta kolejnym etapem powinno być wdrożenie kompleksowego programu edukacji, „aby przeciętny Polak w stopniu podstawowym posiadał zdolność rozpoznania technik manipulacyjnych i propagandowych, które stosowane są w przestrzeni informacyjnej".

Specjaliści wskazują również na szerszy kontekst toczącej się przeciwko Zachodowi wojny nowej generacji, znajdującej się w „szarej strefie" pomiędzy konfliktem zbrojnym a stanem pokoju.

– Można dyskutować o tym, czy działa art. 5 NATO, dotyczący kolektywnej obrony. Widzę tutaj duży znak zapytania. Ten mechanizm zdecydowanie nie działa natomiast w szarej strefie poniżej spraw określonych art. 5. Każde państwo musi wypracować sposób obrony przed takimi atakami. Nie inaczej jest w sytuacji Polski – mówił w jednym z wywiadów dla portalu DoRzeczy.pl Jacek Bartosiak, ekspert ds. geopolityki, założyciel think tanku Strategy & Future.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

56,5 proc. głosów oddanych na Konrada Fijołka (na zdjęciu z żoną podczas wieczoru wyborczego) to dla PiS bolesna i prestiżowa porażka

FOT. MACIEJ GOCLON/FOTONEWS/FORUM

Terapia Rzeszowem

Rafał A. Ziemkiewicz

Skutkiem rojeń o „zjednoczeniu opozycji", które po „genialnym zwycięstwie wspólnego kandydata" w Rzeszowie upowszechniane są z nową energią, jest zużywanie energii opozycji na beznadziejne zjednoczeniowe kontredanse, zamiast na stworzenie alternatywnej wobec PiS propozycji politycznej

Żadnych wyników wyborów nie da się w sposób odpowiedzialny skomentować, zanim nie zostanie dokonana analiza tzw. przepływów elektoratu. Z przedterminowymi wyborami lokalnym w Rzeszowie jest tak samo. Dopóki nie wiemy, skąd się wzięło 56,5 proc. głosów oddanych na Konrada Fijołka i gdzie podziało się tych kilka procent, o które mniejszy był wspólny wynik kandydatki PiS Ewy Leniart oraz kandydata Solidarnej Polski Marcina Warchoła od wyniku Zjednoczonej Prawicy w wyborach parlamentarnych – dopóty nie wiemy, czy istotnie był to triumf opozycji czy może raczej triumf lokalności.

Nie ulega wątpliwości jedno: dla PiS jest to bolesna i prestiżowa porażka. Partia rządząca rzuciła do Rzeszowa wszystkie swoje siły, odwiedzali miasto i premier Morawiecki, i prezes Kaczyński, obiecywano, zapewniano o dobrodziejstwach Polskiego Ładu. I chyba właśnie dla Polskiego Ładu sygnał jest jak najgorszy. Jak pisaliśmy już wcześniej – ten program, który miał dać PiS „nową energię", porwać tłumy i pozwolić na powrót do dawnych wyników sondaży, ponad 40 proc., najwyraźniej nie zadziałał. I raczej nie dlatego, że nie jest dość promowany. Najwyraźniej zmęczenie PiS-em ma inne przyczyny niż utrata w czasie epidemii poczucia ekonomicznego bezpieczeństwa – obietnice kolejnych rządowych wydatków nie trafiają więc w te przyczyny. A może błędem była wpisana w nowy program próba wskazania wroga w „zbyt dobrze zarabiających", oskarżanie ich, że płacąc małe podatki, a „korzystając z tych samych dróg i szpitali", żyją na koszt społeczeństwa? Może w ten sposób niepotrzebnie PiS zrobił sobie wrogów z drobnych przedsiębiorców i w ogóle ludzi dorabiających się, którzy poczuli się zagrożeni? Takie wyjaśnienie zdaje się sugerować Jarosław Gowin w swym powyborczym wpisie w mediach społecznościowych, wpisie, przyznajmy, nieco dziwnym u polityka, który sam Polski Ład firmuje i nawet występował na konferencji, podczas której go ogłaszano.

MASAŻ DUSZ LEMINGÓW

Z punktu widzenia PiS najważniejsze jest ustalenie, co zrobiło tych kilka tysięcy

eprasa.pl d3eaad21cf

wyborców utraconych w stosunku do wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Raczej nie przerzucili poparcia na kandydata Konfederacji, bo wynik Grzegorza Brauna był niemal identyczny, jak wynik Krzysztofa Bosaka w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Mogli więc albo zostać w domu, albo poprzeć kandydata opozycji.

Ale właśnie – dla jakiej części z tych 45 tys. wyborców, którzy go poparli, Konrad Fijołek był „wspólnym kandydatem zjednoczonej opozycji" i autorem żenujących internetowych wpisów wzywających do „j...nia PiS", a dla jakiej – rzeszowskim samorządowcem, od lat działającym we władzach miasta i związanym z nim, który rywalizował z partyjnymi „spadochroniarzami"? To jest kluczowe pytanie i bez odpowiedzi na nie orzec nie można, czy prestiżowa porażka PiS była jednocześnie prestiżową wygraną PO i budowanej wokół niej opozycyjnej koalicji.

Jeżeli mamy do czynienia z tym pierwszym przypadkiem, to znaczy, że wśród wyborców Fijołka przeważali wyborcy kierujący się patriotyzmem lokalnym, to otrąbianie przez PO i jej akolitów „historycznego sukcesu" i „przełomu" jest, delikatnie mówiąc, mocno na wyrost. Pozostanie ono zresztą przesadą, nieznacznie tylko mniejszą, nawet jeżeli istotnie na zwycięstwo Fijołka decydujący wpływ miało wystawienie go jako „wspólnego kandydata opozycji" – POKO, Ruchu Hołowni, Lewicy i PSL. Bądź co bądź mówimy tu o małym wycinku polskiego elektoratu: 148 tys. uprawnionych do głosowania, z czego udział w wyborach wzięła nieco ponad połowa. I jakkolwiek uparcie powtarzają prezenterzy opozycyjnych mediów frazes o „odebraniu PiS Podkarpacia", to prawda jest taka, że politycznie Rzeszów zawsze od Podkarpacia jako całości odstawał, tradycyjnie głosując raczej na lewicę i lewicowych liberałów.

Skwapliwość, z jaką sfrustrowana ciągłymi klęskami „opozycja totalna" podchwyciła okazję do ogłoszenia triumfu, nie może oczywiście dziwić. Dusze „lemingów" bardziej niż kiedykolwiek potrzebują takiego masażu, oddechu nadziei i oczyszczenia. Nawet jeśli kolejna – która już? – obietnica „końca PiS" ma się znowu skończyć rozczarowaniem, to radość z pokonania go przynajmniej w jednym mieście pozwoli wrogom partii Kaczyńskiego „naładować akumulatory" na czas dalszej walki. Ale w poddaniu się tej radości kryje się pułapka i na dłuższą metę opozycja może na budowaniu wokół Rzeszowa legendy „historycznego przełomu" więcej stracić niż zyskać.

Legenda ta siłą rzeczy umacnia bowiem sposób myślenia, który jest istotną przyczyną politycznej impotencji anty-PiS: wiarę, że drogą do odzyskania władzy jest „zjednoczenie sił". Czyli, że jeśli tylko PO, Hołownia, Lewica i PSL wystawią wspólną listę, a najlepiej jeszcze dołączą do niej różne drobne ugrupowania, w rodzaju Strajku Kobiet, to w ten sposób odsunie się PiS od władzy.

BEZSENS SZEROKIEJ KOALICJI

Trudno uwierzyć, że dorośli w końcu i wykształceni ludzie, kierujący Platformą i ustalający przekaz opiniotwórczych mediów, gonią za tak oczywistymi fantasmagoriami – ale najwyraźniej nie są oni w stanie przyjąć do wiadomości oczywistych faktów. Po pierwsze tego, że taka wydumana konstrukcja „wszyscy przeciwko PiS" jest w ogóle niemożliwa. Listy wyborcze nie są z gumy, liczba „miejsc biorących" ograniczona i czym innym jest poparcie przez partie opozycyjne lokalnego kandydata w Rzeszowie, gdzie i tak nie miały swoich kandydatów partyjnych, a gdyby nawet miały, nie było widoków na ich zwycięstwo – a zupełnie czym innym zbudowanie wspólnej listy wyborczej do parlamentu. Zresztą doświadczenie Koalicji Europejskiej dowiodło, że uczestnicząc w zbyt szerokiej koalicji, partie tracą wyborców, odstraszonych ich wejściem w związek z siłami dla ich wyborców nieakceptowalnymi; w efekcie wynik takiej wspólnej listy jest znacznie niższy niż arytmetyczna suma wskazań na koalicyjne partie, mierzone każda z osobno. Egzotyczna koalicja od Lewicy do PSL miała w 2019 r. zmiażdżyć listę PiS, a z nią przegrała, przy czym najgorzej wyszło na niej właśnie PSL.

To ostatnie wyciągnęło oczywiste wnioski i twardo zapowiada, że drugi raz w podobną konstrukcję wmontować się nie da – będzie raczej szukało koalicjanta w Gowinie i starało się odciągnąć od PO środowiska niezadowolone z ogłoszonego przez Borysa Budkę programowego zwrotu w lewo. Z powodu tego zwrotu także lewica się do wspólnej z PO listy nie kwapi, zresztą od czasu głosowania nad Funduszem Odbudowy wzajemne pretensje coraz dalej ją od PO oddalają. Z kolei dla Szymona Hołowni, który całą swą popularność zawdzięcza temu, że nie jest Platformą, wystawienie z nią wspólnej listy byłoby samobójstwem. Zresztą PO nie ukrywa, że dopuszcza rozmowę o takiej liście wyłącznie z pozycji siły, bo „chwilowych" wyników sondaży po prostu nie przyjmuje ona do wiadomości i uparcie uważa się za „główną siłę opozycyjną".

Może więc uparte powtarzanie przez PO, że „cała opozycja musi się połączyć", jest tylko cyniczną grą i służyć ma oskarżeniu partnerów, że „nie chcą jedności" i wszystko przez nich? Jednak w sytuacji, gdy PO coraz bardziej traci pozycję głównej partii opozycyjnej na rzecz Hołowni, to gra bardzo niemądra, bo buduje raczej jego niż Platformę. A może tak silna jest w byłej partii rządzącej wiara w powrót Tuska i w to, że jeśli znowu stanie on na jej czele, to wszyscy poza PiS i Konfederacją będą musieli się podporządkować jego autorytetowi? W takim razie znowu mamy do czynienia z wielopiętrową polityczną fantasmagorią.

Jednak skutkiem tych rojeń o „zjednoczeniu opozycji", które po „genialnym zwycięstwie wspólnego kandydata" w Rzeszowie upowszechniane są z nową energią, jest zużywanie energii opozycji na beznadziejne zjednoczeniowe kontredanse zamiast na stworzenie atrakcyjnej dla wyborców, alternatywnej wobec PiS propozycji politycznej. A to jest doskonała wiadomość dla PiS.

MASKOWANY BRAK POMYSŁU

Tyle że na samej słabości opozycji PiS nie może jechać w nieskończoność. A na razie także rządzący wypierają rzeczywistość, wszystkie siły i dużo pieniędzy kierując na promowanie Polskiego Ładu („zrebrandingowanego" na akcję „Polska się liczy") i epatowanie wyborców uzyskanymi miliardami z Unii, identycznie, jak swego czasu epatował nimi Tusk – mimo że nie tylko wybory w Rzeszowie dowiodły, iż nic to rządzącym nie daje. A perspektywicznie stawianie w centrum programu Unii i jej darowizn, obwarowanych przecież zgodą na arbitralną „kontrolę praworządności", może wręcz nielicho zaszkodzić.

Emfatyczne okrzyki opozycji o „historycznym przełomie" wydają się więc maskowaniem kompletnego braku pomysłu, co robić dalej. Paradoksalnie, uspokajające pomrukiwaniem władzy „nic się nie stało" – również.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Koniec Tuska?

Tomasz Rowiński

Co jakiś czas Donald Tusk zapowiada, że przybędzie do krajowej polityki z odsieczą, by ratować opozycję. Czy z tych zapowiedzi w ogóle mogło coś wyjść? Od dawna jest to bardzo wątpliwe

Donald Tusk nie zdecydował się startować w ostatnich wyborach prezydenckich, chociaż w tamtym czasie nieustannie powtarzano mesjańską narrację o jego powrocie „na białym koniu" z Brukseli. Teraz, kiedy wyniki sondaży jego macierzystej partii, czyli Platformy Obywatelskiej, oraz jej sojuszników są coraz gorsze i ugrupowanie to osunęło się na trzecie miejsce za Polskę 2050 Szymona Hołowni, Tusk znów dał o sobie znać. – Jestem gotów zrobić wszystko, by Platforma nie przeszła do historii – zadeklarował były premier 4 czerwca w wywiadzie dla TVN24. – Najważniejsze jest odbudowanie synergii na opozycji. Żeby liderzy opozycji mieli więcej zrozumienia i czułości wobec siebie – dopowiadał niemal głosem papieża Franciszka, który także lubi się odwoływać do kategorii czułości. Jednocześnie na pojawiające się konkretne pomysły swojego ponownego wejścia do polskiej polityki (jak choćby możliwy start w wyborach do Senatu) były premier odpowiedział w zwykły dla siebie w ostatnich latach sposób: – Można takie ciekawe figury polityczne sobie wyobrażać, ale ja nie wiążę swoich planów, wizji, z tym, co zdarzy się w najbliższym czasie w Olsztynie, z Lidią Staroń i jej kandydowaniem na RPO. To nie są moje plany.

Trudno jednak określić, czy Donald Tusk w ogóle ma jakieś sprecyzowane plany polityczne. Zapewne ta zagadkowość w sprawie jego przyszłości jest mu zresztą na rękę. Buduje atmosferę, która mogłaby otaczać wybitnego męża stanu patrzącego dalej – ponad bieżący bieg spraw. Jeśli jednak zerknąć w przeszłość, w pisane niegdyś analizy drogi na polityczny szczyt, którą odbył Tusk, nie wynika z nich, by zwyciężał on wizjonerstwem. Raczej był niezwykle zdolnym – nomem omen, wkracza nam tu terminologia piłkarska tak bliska byłemu premierowi – rozgrywającym ludzkich ambicji. Rządził i dzielił, nieustannie się spotykał, rozmawiał, przekonywał, odsuwał, dowartościowywał.

MALEJĄCA STAWKA

Trudno jednak nie zauważyć, że stawka, o jaką może jeszcze grać Tusk, maleje coraz bardziej. To już nie szansa na prezydenturę, to zaledwie nieokreślona rola mentorska w partii, która być może właśnie zaczyna schodzić z areny polskiej historii. Bez nowego wysiłku, bez pracy politycznej jak za dawnych lat, którą mimo oskarżeń o lenistwo wykonywał, Tusk nie może już raczej liczyć na nic poważnego w krajowej grze. Jeszcze trochę, a może wręcz zacząć przypominać swoją karykaturę. Taką karykaturą samego siebie stał się Lech Wałęsa, gdy po latach prezydentury zaczął deklarować raz po raz powrót do polityki, zrobienie porządków i kończyło się to coraz większymi klęskami, aż wreszcie śmiesznością. Być może sam Tusk tego się właśnie obawia i odsuwa od siebie rzeczywistą konfrontację. Jednak tworząc kolejne iluzje własnego nowego zaangażowania, lada moment stanie się przedmiotem kpin.

Wydaje się, że dość trafnie sytuację Tuska ocenił w ostatnim czasie Robert Biedroń, europoseł lewicy, założyciel dopiero co rozwiązanej partii Wiosna. – Problem z Donaldem Tuskiem jest taki, że on ciągle wchodzi do tej gry i wejść nie chce albo nie może. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o lidera zjednoczonej opozycji, to w przypadku Donalda Tuska ten koń już dawno uciekł i już nigdy nie wróci. Stety czy niestety. To może pomóc na pewno Platformie Obywatelskiej, ale trzeba pamiętać, że Donald Tusk jest jednoznacznie kojarzony, jest obciążony też przeszłością – powiedział polityk dla TVN24.

Można mieć jednak wątpliwości, czy Tusk mógłby dziś pomóc komukolwiek, choćby i Koalicji Europejskiej. W roku 2015 wskazywano na premier Ewę Kopacz i prezydenta Bronisława Komorowskiego jako odpowiedzialnych za podwójną porażkę wyborczą partii – wtedy – rządzącej. O Tusku mówiono głównie w kontekście jego odejścia na stanowisko w Brukseli jako osłabieniu własnego obozu. Jeśli jednak sięgnąć do nieco głębszych pokładów krytyki, która pojawiała się także w obozie liberalnym, to ocena powyborczej sytuacji była nieco inna. Leszek Jażdżewski, związany z liberalno-antyklerykalnym pismem „Liberté!", znany z przemówienia, które poprzedziło wystąpienie Donalda Tuska 3 maja

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

2019 r. na Uniwersytecie Warszawskim i które wywołało wiele komentarzy, w roku 2015 na blogu tygodnika „Polityka" pisał: „PO nie stworzyła sensownej i wiarygodnej narracji – ani w ostatnich kilku kampaniach wyborczych, ani w ostatnich czterech latach rządów, dlaczego to ona zasługuje, żeby rządzić Polską. Nie musiała. PO bez przekonania szczyciła się przeprowadzeniem Polski przez kryzys i wzrostem gospodarczym". Dodawał także: „Prawdziwa społeczna legitymacja dla tej partii brała się z faktu, że partia ta nie była PiS i przed PiS Polskę skutecznie chroniła. To zwalniało z wszelkiej odpowiedzialności".

Zatem utarte w innym kontekście hasło „wina Tuska" wydaje się zdaniem Jażdżewskiego jak najbardziej na miejscu w kontekście porażki z roku 2015. To Tusk odpowiada za to, że nie pojawiła się w jego partii po 2011 r. żadna stymulująca koncepcja polityczna. To on odpowiada za utratę kontroli nad sceną polityczną. Przez lata PO rozgrywała PiS za pomocą politycznych emocji, aż w końcu okazało się, że sama nie może bez nich żyć również wtedy, gdy straciła inicjatywę. I ten stan trwa do dziś.

Nie wydaje się także, by Tusk był zdolny do sformułowania jeszcze jakiegoś programu politycznego. Bez wątpienia potrafił skonsumować lata pierwszej prosperity wynikające z pojawienia się owoców polskiego członkostwa w UE, ale jednocześnie druga kadencja jego rządów była czasem gwałtownego zużywania się jego wizerunku. „Jednak kluczowe okazało się według mnie co innego. Mianowicie fakt, że w odbiorze społecznym Platforma Obywatelska została utożsamiona, w znacznej mierze słusznie, z rządzącym Polską i coraz bardziej wyobcowanym establishmentem" – pisał Jażdżewski, zanim sam stał się „supportem" „prezydenta Europy" sondującego za jego pomocą grunt pod przeszczepienie do Polski integralnego zachodnioeuropejskiego liberalizmu – neolibertarialnego w sprawach ekonomicznych i wrogiego religii.

PRZEDSTAWICIEL MINIONEJ EPOKI

Może już wtedy, po przemówieniu w 2019 r., stało się jasne – według jakichś wewnętrznych sondaży – że społeczny odbiór „prezydenta Europy" nie jest tak entuzjastyczny, jak on sam tego by oczekiwał. Gdy w 2017 r. Tusk przyjechał do Warszawy pociągiem na przesłuchanie w prokuraturze, odniósł chyba inne wrażenie. Towarzyszyły mu – mogło się tak zdawać – tłumy. Być może było to złudzenie skali – nawet w kraju znużonym jego rządami znalazła się grupa nostalgicznych entuzjastów. Co więcej, były to czasy kolejnych protestów przeciwko działaniom PiS w sprawie sądów i poziom mobilizacji opozycyjnej był znaczny.

Dwa ostatnie sondaże z czerwca wskazują jednak raczej, że koniec Tuska jako aktywnego polityka zbliża się nieuchronne. A może już się dokonał, tylko jeszcze nie zostało to zakomunikowane. Już rok 2015, a więc ówczesna „zmiana klimatu" sprawiła, że wyborcy spojrzeli na niego jako na przedstawiciela minionej epoki. Dziś nie ma powodów, by to się odwróciło, nawet gdyby polityczny obrządek, który w ostatnich latach wytworzył PiS, również miał się zużyć. Okcydentalizm w Polsce stracił wiele liberalnego błękitu na rzecz socjaldemokratycznego różu i tęczowej rewolucji. Aż 42,5 proc. ankietowanych przez IBRiS w sondażu dla Radia Zet jest zdania, że Tusk nie pomoże Koalicji Obywatelskiej. Do tego aż 22,7 proc. odpowiedziało „nie wiem". Takie „nie wiem" oznacza, że Tusk w tej grupie osób nie budzi już żadnych politycznych emocji. Sondaż Instytutu Badań Pollster dla „Super Ekspresu" dał wynik nie lepszy, a może nawet gorszy. Aż 55 proc. pytanych odpowiedziało „nie" wobec pomysłu, by Tusk wrócił do polityki i stanął na czele opozycji, kolejne 13 proc. nie miało zdania w tej sprawie.

Czy to znaczy, że Tusk nie może wrócić do polityki? Że nie ma żadnej szansy czegoś w niej ugrać? Może wrócić i ma pewne szanse coś ugrać. Pytanie jest inne: Czy Tusk znajduje w polskiej polityce cele, które usprawiedliwiałyby w jego mniemaniu konieczność podjęcia nowego wysiłku? W tym przypadku odpowiedź na dziś wydaje się negatywna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Gra o

Kamila Baranowska

Rada programowa Polskiego Radia odrzuciła sprawozdanie spółki za poprzedni rok. Kryje się za tym polityczna rozgrywka, która dopiero się rozkręca

Komunikat z posiedzenia rady programowej jest lakoniczny. Mówi o tym, że rada programowa negatywnie oceniła sprawozdanie Polskiego Radia za 2020 r. „z realizacji misji publicznej oraz z wykorzystania wpływów z opłat abonamentowych, odsetek za zwłokę w ich uiszczaniu oraz kar za używanie niezarejestrowanych odbiorników na realizację misji publicznej". Na 13 członków rady tylko dwóch pozytywnie oceniło sprawozdanie, głosując za nim. Sześć osób było przeciwnego zdania, a pięć wstrzymało się od głosu. Jednym z wstrzymujących się był Marek Suski, poseł PiS, były minister w kancelarii premiera, a od lutego przewodniczący rady programowej Polskiego Radia. Co ciekawe, wcześniej – podczas posiedzenia rady – to właśnie Suski był jednym z tych, którzy najmocniej krytykowali obecne władze radia. Warto przy tym zauważyć, że formalnie Suski nie był za odrzuceniem sprawozdania, lecz wstrzymał się od głosu. Jak słyszymy, nie chciał być posądzony o brak lojalności wobec partii, która pośrednio odpowiada za ludzi, którzy dziś rządzą radiem.

Swoje słowa krytyki pod adresem władz radia powtórzył jednak publicznie, m.in. w rozmowie z branżowym portalem WirtualneMedia.

– W Polskim Radiu jest od dłuższego czasu kryzys. Jest bardzo duży spadek dochodów z reklam. Jest bardzo zła sytuacja w Trójce, wciąż nie ma dyrektora Programu 3. W ciągu roku trzykrotnie zmieniali się dyrektorzy. W Polskim Radiu nie dzieje się dobrze. Wyrazem jest mniejsza liczba programów. Radio nie radzi sobie ze znalezieniem pomysłu na Trójkę. Mamy katastrofalny spadek słuchalności. Pani prezes nie przedstawiła wizji wyjścia z tej sytuacji. Większość członków rady programowej albo się wstrzymała, albo była przeciw. Były tylko dwa głosy za przyjęciem tego sprawozdania – powiedział Suski. – Z niepokojem czekamy wciąż na przedstawienie ramówki Programu 3 Polskiego Radia. Trójka nie tylko nie ma dyrektora, lecz także nawet nie ma ramówki – tłumaczy Suski.

SUSKI VS CZABAŃSKI

To dość zaskakujące słowa w ustach prominentnego polityka PiS, bo przecież zarząd Polskiego Radia został wybrany przez Radę Mediów Narodowych, w której większość ma PiS i na której czele stoi Krzysztof Czabański, były poseł PiS i wiceminister kultury w rządzie Beaty Szydło. Nic dziwnego, że powstają rozmaite polityczne teorie co do intencji Suskiego.

Pierwsza z nich mówi, że za tak ostrą i wyrażaną publicznie krytyką stoi osobista niechęć Suskiego do Czabańskiego. A że rada programowa faktycznie niewiele może, to przynajmniej w taki sposób Suski może Czabańskiego pogrillować i napsuć mu trochę krwi. Krzysztof Czabański jest nie tylko przewodniczącym Rady Mediów Narodowych, czyli organu, który powołuje zarządy mediów publicznych, lecz także osobą, która ma na Polskie Radio bardzo duży, nieformalny wpływ, zwłaszcza gdy chodzi o personalia. Złośliwi twierdzą, że nic w Polskim Radiu nie dzieje się bez jego wiedzy oraz zgody i że to on de facto podejmuje wszystkie kluczowe decyzje.

– Radio ma swój zarząd, radę nadzorczą, radę programową, więc nawet gdybym się bardzo postarał i natężył, nie dałbym rady tym wszystkim sterować – ironizuje w rozmowie z „Do Rzeczy". Do zarzutów rady programowej nie chce się odnosić, tłumacząc, że Rada Mediów Narodowych nie jest ich właściwym adresatem. – Nie widziałem żadnej argumentacji, żadnego uzasadnienia krytycznej oceny rady programowej. Jeśli takie się pojawi, to odpowiedzieć na wszystkie uwagi powinien zarząd spółki, nie my, jako Rada – wyjaśnia.

Druga teoria tłumacząca, dlaczego Suski tak mocno atakuje zarząd radia, jest

eprasa.pl d3eaad21cf

radio

FOT. ADOBE STOCK

wariacją tej pierwszej i dotyczy ambicji samego polityka, który – według naszych rozmówców – chętnie widziałby się w roli szefa Rady Mediów Narodowych. Kadencja obecnej Rady kończy się w czerwcu przyszłego roku. – Suski wymyślił sobie, że lepiej nadawałby się na to stanowisko, ale na drodze stoi mu Czabański, który pewnie będzie chciał zostać na drugą kadencję. Plan jest taki, by teraz nieustannie grillować Czabańskiego. Gdy stanie się problemem dla partii, jego szanse na kolejną kadencję mocno się zmniejszą – relacjonuje jeden z naszych rozmówców, zastrzegając jednak, że Czabański ma bardzo dobre relacje z prezesem PiS, więc plan Suskiego jest dość karkołomny. Ale nie niemożliwy, co pośrednio przyznaje sam Czabański. – Kadencja Rady kończy się formalnie za rok, ale w polityce różne czynniki rozstrzygają, a Rada Mediów Narodowych działa na styku mediów i polityki. Jeżeli siły polityczne, które wybrały mnie na to miejsce, zmienią zdanie, to nie będę trzymał się stanowiska z uwagi na lojalność i grę zespołową – przyznaje w rozmowie „Do Rzeczy".

CIĄG DALSZY KONFLIKTU

To, co mówi, współgra z trzecią teorią, o której opowiadają nam osoby dobrze zorientowane w medialno-politycznych układankach. Spekuluje się, że podgryzanie Czabańskiego to nie tylko inicjatywa samego Suskiego, lecz także wyraz niezadowolenia kierownictwa partii, do którego zaczęły docierać niepokojące głosy o sytuacji w Polskim Radiu. W PiS cały czas panuje przekonanie, że Suski nie trafił do rady programowej radia bez przyczyny, lecz że przyszedł tam, by z bliska się przyjrzeć, ocenić sytuację i w finale dokonać porządków personalnych. Pytanie, czy tylko w radiu, czy docelowo także w Radzie Mediów Narodowych.

Sama rada programowa, co przyznają nawet jej członkowie, może niewiele. Jej głos zwykle też nie był zbyt mocno słyszalny. Kiedy jednak w jej imieniu głos zabiera Suski, natychmiast jest to przez wszystkich odnotowywane i ustawiane w politycznym kontekście.

Być może o to właśnie chodziło. Nowe rady programowe we wszystkich spółkach publicznego radia powołano dwa miesiące temu. Już wtedy wraz z listem gratulacyjnym wysłanym do każdej z nich Krzysztof Czabański, szef Rady Mediów Narodowych, dodał załącznik z informacją, przygotowaną przez radcę prawnego, zawierającą wyciąg kompetencji, które ma rada programowa. Przez członków rady programowej Polskiego Radia zostało to bardzo źle przyjęte. – Nasze i tak niewielkie w sumie kompetencje zostały w tym piśmie jeszcze bardziej uszczuplone i generalnie wydźwięk był taki, że jesteśmy nic nieznaczącym ciałem doradczym – złości się jeden z nich. – Suski odpisał na to, że my, jako rada, sprzeciwiamy się tego typu próbom cenzorskim – dodaje.

To pokazuje, że konflikt będzie miał swój ciąg dalszy. Z naszych informacji wynika, że tym, jak Polskie Radio wypełnia misję i jak wywiązuje się z budżetu, Suski próbuje zainteresować także Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. – Rada programowa może niewiele, ale jeśli uda się namówić KRRiT na audyt w sprawie misji i budżetu, to będzie się działo – mówi nam osoba z radia.

Czego tak naprawdę dotyczą zarzuty wobec Polskiego Radia? Głównie chodzi o spadek słuchalności głównych i najbardziej rozpoznawalnych anten, czyli Jedynki i Trójki. Spadek słuchalności oznacza zwykle także spadek wartości reklam. Przy czym warto odnotować, że w przypadku rozgłośni radiowych badania słuchalności są specyficzne, bo nie mierzą de facto realnej liczby słuchaczy, lecz bazują na informacjach na temat najchętniej słuchanych rozgłośni, przekazywanych przez samych badanych. Dlatego, jak podkreślają radiowi eksperci, bardziej odzwierciedlają rozpoznawalność i renomę marki niż realną liczbę słuchaczy. Jednak biorąc nawet to pod uwagę, spadki anten Polskiego Radia były dużo większe, niż się można było spodziewać. Dotyczy to zwłaszcza Trójki, która – jak wynika z ostatniego badania Radio Track Kantar Polska za miesiące od marca do maja – z wynikiem 2,5 proc. udziału w rynku spadła aż na 11. miejsce wśród najchętniej słuchanych stacji. Rekordowo niski poziom słuchalności odnotowuje także Jedynka. W okresie marzec–maj jej udział w rynku wyniósł 4,4 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

KUL był azylem dla niepokornych duchów z całej Polski. I pierwszym sygnałem, jak ostre podziały ideowe dzielą świat opozycji. Z gdańskiej perspektywy te podziały na lewicę i prawicę wydawały się drugorzędne wobec walki z komuną. Tutaj traktowano je serio

FOT. KAZIMIERZ S. OŻÓG/WIKIMEDIA COMMONS/CC-BY-SA-3.0

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i Sk-a), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Pobudzający mętlik idei

JAN HLEBOWICZ: Studiowałeś na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wielu wykładowców uczelni wspierało swoich studentów w niezależnych postawach. Wśród nich był Zdzisław Szpakowski, który w czasie drugiej wojny światowej działał w polskim ruchu oporu. Od 1942 roku należał do Narodowych Sił Zbrojnych, a następnie do Armii Krajowej. Po zakończeniu wojny do roku 1947 był członkiem Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W latach 50. XX wieku nazwano go „wrogiem władzy ludowej". Wielokrotnie był przesłuchiwany i zatrzymywany przez SB i MO. Wiedzieliście o tym jako studenci?

PIOTR SEMKA: Nie. Profesorowie Szpakowski i Stanowski [W latach 1942–1945 walczył w Szarych Szeregach, należał do Armii Krajowej, brał udział w powstaniu warszawskim. Pod koniec lat 40. dwukrotnie był aresztowany przez funkcjonariuszy UB. W 1951 roku skazano go na karę siedmiu lat pozbawienia wolności, został zwolniony dopiero w 1955 roku – przyp. J.H.] to byli ludzie, których życiorysy poznaliśmy bardziej szczegółowo dopiero po 1989 roku. Jednak ani na moment nie wątpiliśmy, po czyjej są stronie, ponieważ aktywnie angażowali się także w działalność opozycyjną lat 80. Profesor Stanowski był działaczem Klubu Inteligencji Katolickiej. Przez wiele lat pełnił funkcję redaktora miesięcznika „Więź". W 1976 roku sygnował „List 101", zainicjowany przez przeciwników zmian w Konstytucji PRL. Cztery lata później wstąpił do Solidarności. Działał w opozycji także po 13 grudnia 1981 roku. Profesor Szpakowski również zaangażował się w działalność „S". Został doradcą Komitetu Strajkowego w Lublinie. W tym samym czasie działał na Wybrzeżu, gdzie między innymi inicjował tworzenie wszechnicy związkowej. Był też działaczem Duszpasterstwa Ludzi Pracy „Wola". 13 grudnia 1981 roku został internowany.

Jednak środowisko wykładowców także było podzielone. W tamtym czasie ścierały się ze sobą dwa zasadnicze stronnictwa.

Rzeczywiście, w Lublinie zetknąłem się z tradycją endecką – bardzo ekskluzywną, zamkniętą w sobie. Dotychczas miałem do czynienia jedynie z endecją w wydaniu Ruchu Młodej Polski. Ta KUL-owska była zupełnie inna, jakby „zakurzona". Do grupy endeków należała część wykładowców pozostająca niejako w kontrze do profesorów z grupy tak zwanych katolików otwartych, będących pod silnym wpływem księdza profesora Józefa Tischnera, „Więzi", „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego". Przeciwieństwem była mocno okopana tradycja endecka reprezentowana między innymi przez księdza profesora Mieczysława Alberta Krąpca. Dla młodego człowieka z Gdańska, gdzie ideowe spory nie były tak widoczne i ostre, było to z początku trudne do zrozumienia. Z drugiej strony grupa endeków na czele z Jerzym Cezarym Malinowskim była dla mnie interesująca z jednego powodu. W tamtych czasach byli to jedyni ludzie, którzy głośno wypowiadali swoje uwagi pod adresem KOR. Mówili między innymi o instrumentalizmie, z jakim Michnik i skupiona wokół niego grupa reprezentująca tak zwaną lewicę laicką wykorzystuje robotników i Solidarność. Nie zgadzałem się z tym wówczas, dostrzegałem w ich wypowiedziach wiele zacietrzewienia. Ale były to poglądy warte odnotowania, intrygujące. Na pewno skłoniło mnie to do myślenia.

eprasa.pl d3eaad21cf

W ogóle ówczesny KUL skłaniał do poszerzania horyzontów.

Oczywiście! To było jedno z najciekawszych miejsc debaty intelektualnej w Polsce. Moi wykładowcy to byli ludzie znani i cenieni. Wykłady z filozofii księdza Stanisława Kamińskiego czy siostry profesor Zofii Zdybickiej przyciągały tłumy. Profesor Edward Zwolski tak opowiadał o antyku, że chciało się zająć natychmiast starożytną Grecją i badaniem „Iliady". Zajęcia z podstaw nauk politycznych prowadził wiceszef „Tygodnika Powszechnego" Krzysztof Kozłowski, który informował nas mimochodem, co się dzieje na linii Kościół–komuniści. Z drugiej strony był profesor Ryszard Bender, który ku naszemu oburzeniu kandydował i dał się wybrać do sejmu PRL w 1985 roku. Jednak gdy bezpieka zatrzymała mnie na nielegalnej demonstracji 11 listopada w Lublinie – Bender jako ówczesny dziekan Wydziału Humanistyki KUL zrobił wiele, by wyciągnąć mnie z aresztu. To był zupełnie inny świat niż ten, który znałem z Gdańska. Bez tej wiedzy o świecie idei nie połapałbym się potem w sporach ideowych na linii lewica–prawica w latach 1989–1993. Tu, w Lublinie, zetknąłem się też z problemem relacji polsko-żydowskich. Na ulicy Lubartowskiej w Lublinie oddawałem buty do naprawy staremu szewcowi Szmulowi Szmulewiczowi. Dowiedziałem się, że ostatni starzy lubelscy Żydzi zbierają się jeszcze w siedzibie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów przy Krakowskim Przedmieściu, tworząc minjan na sobotnią modlitwę. Z drugiej strony spotykałem w domach kolegów z Lublina dziadków opowiadających o szoku w 1944 roku, gdy po wejściu Rosjan wielu Żydów, wykorzystujących nowo zdobytą władzę, pojawiło się nagle w aparacie wojska, bezpieki i PPR. A chwilę po takich opowieściach trafiałem na spotkania na KUL z Jerzym Turowiczem czy Janem Błońskim na temat konieczności rozliczeń i pojednania z Żydami. Słowem, niezły mętlik idei, postaw i sposobów myślenia. Bardzo pobudzający do myślenia. Gdy zaglądałem do Gdańska, tam nikt nawet nie zdawał sobie sprawy z pulsującej już podskórnie konfrontacji w obozie Solidarności między obozem przyszłej „Gazety Wyborczej" i „Tygodnikiem Powszechnym" z jednej strony a prawicą narodową i katolicką – z drugiej. A ja narastanie konfliktu oglądałem w Lublinie z bliska.

Z relacji wielu studentów historii z tamtego czasu można wnioskować, że prawdziwą ikoną w gronie wykładowców był profesor Tomasz Strzembosz.

Nie dla mnie. Oczywiście oddaję profesorowi jego zasługi, czyli wnikliwe badania konspiracji warszawskiej oraz partyzantki antysowieckiej w województwach wschodnich i północnych. Zwłaszcza to drugie zagadnienie, będące przez lata białą plamą w dziejach Polski, zasługuje na szczególne docenienie. Profesor Strzembosz wychował całe grono badaczy, którzy dziś są znanymi naukowcami – profesorów: Piotra Niwińskiego, Marka Wierzbickiego, Grzegorza Motykę i wielu innych. Będąc na KUL, znałem legendę seminariów prowadzonych przez profesora. Zachęcony pozytywnymi opiniami, sam się zapisałem. Jednak po kilku spotkaniach zrezygnowałem. W moich oczach spotykała się tam grupa „fanatyków" historii powstania warszawskiego. Koledzy prześcigali się, kto wie więcej, a najczęściej te licytacje dotyczyły liczb, danych, dat, czyli tego, co w moim przekonaniu w historii najnudniejsze i w gruncie rzeczy najmniej istotne. „Pamiętasz słynną potyczkę w punkcie X?". „Oczywiście. Zginęło tam X Polaków i X Niemców". „Pamiętasz, jakiej broni używali?". Itd., itp. To okropne szczególarstwo było nie do zniesienia. A sam profesor? Dla mnie był to człowiek z Warszawy, który przyjeżdżał na KUL z zegarkiem w ręku. Minęła godzina wykładów i seminariów – czas spakować teczkę i wracać do stolicy. Jeśli mam być szczery, na mnie urok profesora ani prowadzonych przez niego zajęć nie podziałał. Dopiero po parunastu latach zacząłem doceniać jego mądry patriotyzm. Bardzo ładnie zachował się potem, w 2001 roku, walcząc o prawdę na temat wydarzeń w Jedwabnem w 1941 roku.

Oprócz wykładowców z interesującymi życiorysami i poglądami lubelska uczelnia była wyjątkowa jeszcze z innego powodu. Tu właśnie przyjeżdżała opozycyjnie nastawiona młodzież z całej Polski. Ze względu na wilcze bilety w swoich rodzinnych miejscowościach byli „zmuszeni" do studiowania na KUL.

Mówimy tu o kilku pokoleniach opozycjonistów. To były osoby znane w swoich środowiskach, które na KUL odnajdowały „bezpieczną przystań". Marian Piłka, Bogdan Borusewicz, Piotr Adamowicz (brat Pawła, wieloletniego prezydenta Gdańska). O trzy lata starszy był Adam Hlebowicz (ojciec współautora tego wywiadu-rzeki – przyp. red.), który wraz z kolegami tworzył na KUL opozycyjne pismo „Varia". Z kolei Wojciech Kempa, kolega z roku, opowiadał mi fascynujące rzeczy o odwadze i poświęceniu górnośląskiej Solidarności. Inną bratnią duszą na moim roku był Piotr Niwiński z Sopotu, dziś mój kolega z Rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. I wielu, wielu innych. Ale przede wszystkim krążyłem wtedy niemal co tydzień na linii Lublin–Gdańsk, gdzie wspomagałem ciągle „BIT" pod wodzą Maćka Grabskiego.

W drugiej połowie lat 80. działałeś nie tylko w gdańskim środowisku opozycyjnym. Będąc studentem KUL, współpracowałeś między innymi z podziemnym pismem „ABC", co oznacza „Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne".

Pismo redagowane i wydawane było w Lublinie od 1984 roku. W skład redakcji wchodził między innymi późniejszy prezydent RP Bronisław Komorowski. Na łamach pisano głównie o współczesnej myśli politycznej, najnowszej historii i bieżącej sytuacji państw i narodów Europy Środkowej i Wschodniej. Informowano również o działalności dysydentów i ruchów opozycyjnych w poszczególnych krajach. Pamiętam, że jeden z tekstów, który napisałem do „ABC", dotyczył historii wojny Estonii o niepodległość w latach 1918–1920. Mniej udane były próby pisania do „Tygodnika Powszechnego", ale o nich jeszcze opowiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021

eprasa.pl d3eaad21cf

Motoryzacyjny apartheid

Łukasz Warzecha

W Unii Europejskiej trwa ideologicznie motywowana wojna z tradycyjną motoryzacją, a właściwie w ogóle z motoryzacją indywidualną

Wojna z motoryzacją toczy się na dwóch frontach. Pierwszy to front coraz bardziej wyśrubowanych norm emisji spalin, nakładanych przez Komisję Europejską. Front drugi, w Polsce reprezentowany przez samorządowców takich jak Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, czy Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania (ale też właściwie przez rząd PiS), to ciągłe utrudnianie życia kierowcom w miastach pod dyktando hałaśliwych grupek miejskich aktywistów. Jaki będzie finał tej wojny – dziś nie sposób przewidzieć. Scenariuszy jest kilka.

OPRESYJNE NORMY

Front pierwszy, czyli coraz bardziej restrykcyjne normy – nie tylko emisji, lecz także obowiązkowego wyposażenia nowych aut sprzedawanych w UE – już dzisiaj skutkuje skarleniem europejskiej motoryzacji. Wiele modeli, a nawet niektóre światowe marki, jest w Europie nieobecnych, ponieważ nie opłaca im się tworzyć specjalnych linii silnikowych na europejski rynek albo produkowane przez te firmy modele ze zmniejszonymi silnikami się zwyczajnie nie sprawdzą. Z UE wycofało się ostatnio Mitsubishi (niektóre modele wciąż można jednak kupić). Najnowsze wydanie kultowego Subaru Outbacka w USA jest wprawdzie dostępne z tym samym co w Europie 2,5-litrowym silnikiem wolnossącym (sam w sobie dzisiaj już ewenement), ale o mocy 182 KM, podczas gdy w UE, ze względu na normy emisji, tę moc sztucznie zmniejszono do zaledwie 169 KM (poprzednia europejska wersja z takim samym silnikiem miała moc 175 KM).

To i tak wyjątkowo korzystna konfiguracja, bo większość aut z klasy średniej ma dzisiaj silniki poniżej dwóch litrów, z których wyciska się maksymalną możliwą moc za pomocą turbosprężarek. Alternatywnie pojawia się coraz więcej hybryd, w tym miękkich, czyli wyposażonych w niewielki silnik elektryczny wspomagający spalinowy, a także plug-in, czyli takich, które można ładować z sieci. Ponieważ jednak nie jest to wygodne, a ładowarek ciągle brakuje, wielu kierowców używa takich aut w trybie jazdy połączonej z ładowaniem akumulatora, a to skutkuje emisjami od 3 do 12 razy większymi niż normalnie.

Trwałość takich rozwiązań jest oczywiście niższa niż odprężonych silników o większej pojemności, ale to wydaje się unijnych prawodawców nie interesować. Nikt nigdy nie przedstawił całościowego podsumowania strat i korzyści, wynikających z coraz bardziej restrykcyjnej polityki unijnych norm, które brałoby pod uwagę nie tylko same emisje spalin, lecz także koszt budowy aut oraz ich trwałość.

Producenci są jednak przerażeni nadchodzącymi nowymi normami Euro 7, które miałyby wejść w życie w 2025 r. i które są dziś przedstawiane jako z premedytacją zabijające w ogóle spalinową motoryzację. Emisje tlenków azotu i tlenku węgla miałyby być ustawione tak radykalnie nisko, że byłoby to nie do spełnienia przez silniki spalinowe. Producenci, których auta przekraczałyby normy, musieliby – tak jak jest już dzisiaj – płacić dotkliwe kary, które mogą sprawić, że przy pewnej konfiguracji gamy dostępnych aut obecność na unijnym rynku stanie się nieopłacalna.

To ma nas, Europejczyków, wypychać siłą w kierunku aut bezemisyjnych, faktycznie odbierając nam wybór. Tą samą drogą idą samodzielnie niektóre kraje, realizujące populistyczną lewicową linię w tej kwestii poprzez planowanie zakazu sprzedaży nowych samochodów z silnika-

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

mi spalinowymi. Wielka Brytania, choć jest już poza UE, planuje teraz wprowadzić taki zakaz już w 2030 r. Niektóre państwa Unii, takie jak Dania, zaczynają naciskać, aby podobną granicę ustalić na poziomie UE.

I tu są dwa zasadnicze zastrzeżenia. Pierwsze – że jest to proces całkowicie antyrynkowy. Samochody elektryczne na obecnym etapie rozwoju w warunkach rynkowych nie miałyby bowiem szans. To wciąż bardzo niedojrzała technologia, tymczasem brutalne interwencje w rynek i presja ideologiczna ze strony klimatystów zakłóciły naturalny proces poszukiwania dobrych, praktycznych rozwiązań w dziedzinie silników spalinowych, choć tego typu pomysły są. Mazda proponuje silniki benzynowe z samoczynnym zapłonem, na zasadzie znanej z silnika Diesla. Prowadzone są też prace nad silnikami spalającymi wodór, uznawany za paliwo przyszłości.

Druga kwestia to taka, że wymuszony koniec aut spalinowych będzie oznaczał cywilizacyjny i transportowy regres, szczególnie w polskich warunkach. Niezależnie od tego, jak zaklinaliby rzeczywistość wielbiciele elektryków, ich dramatycznie niska praktyczność w porównaniu z autami spalinowymi jest nadal faktem. Zasięgi w realnych warunkach są wciąż mizerne, w dodatku w sytuacji cięższej zimy jeszcze spadają, bo zmniejsza się pojemność akumulatorów. Ładowanie trwa w najlepszym przypadku (szybkie ładowarki o wysokich natężeniach prądu) kilkadziesiąt minut, a ze zwykłej domowej sieci – wiele godzin. Lub „zaledwie" dwie–trzy, jeśli za jedyne 7 tys. zł zainstalujemy sobie tzw. wall-box. Pod warunkiem że mamy własny dom. Szybkich ładowarek jest w Polsce bardzo mało i nie będzie ich przybywać zbyt szybko. Propagujący elektromobilność w Polsce minister klimatu Michał Kurtyka (zajmujący się zresztą kwestiami klimatycznymi w różnych rolach od dawna) nigdy nie wyjaśnił, jak miałaby to wytrzymać polska ledwo zipiąca infrastruktura energetyczna.

Zaplanowanie dłuższej podróży elektrykiem przypomina planowanie wojennej kampanii. Trzeba obliczać zasięg wobec mapy ładowarek określonego typu i liczyć na to, że akurat ładowarka w danym miejscu będzie wolna. Oraz oczywiście doliczyć czas ładowania.

Trzeba uświadomić sobie dramatyczny absurd obecnej sytuacji: w ślepym szaleństwie pcha się Europę w uliczkę jednej, mało praktycznej technologii.

UTRUDNIENIA DLA KIEROWCÓW

Podobnie rzecz się ma z dążeniem do utrudnienia życia kierowcom, którzy faktycznie zostali przez lewicowych samorządowców uznani za obywateli drugiej kategorii. Rafał Trzaskowski, odpowiadając w Radiu Zet na pytania o planowane zwężenie Al. Jerozolimskich, stwierdził, że Warszawa nie jest sowieckim miastem, żeby przez nią pędzić szerokimi ulicami. Problem w tym, że Warszawa ma już określony układ drogowy, który pomysły Trzaskowskiego zmasakrują. Na moje pytania stołeczny urząd miasta odpisał, że nie prowadzono żadnych symulacji przepustowości albo drożności całego układu drogowego po planowanych zmianach: „Innego typu analizy, o które pan pyta, nie są dziś możliwe czy miarodajne, ponieważ mówimy o zmianie, która dojdzie do skutku dopiero za pięć–siedem lat" – napisała Monika Beuth-Lutyk, rzeczniczka prezydenta miasta. Inaczej mówiąc – wymyślono zwężenie jednej z kluczowych arterii miasta pod dyktando lewicowych aktywistów, nie sprawdzając nawet, jak to wpłynie na całość układu.

„Rzeczpospolita" opublikowała ostatnio sondaż, z którego miało wynikać, że większości Polaków (49 proc.) podobają się zmiany w miastach, takie jak zwężanie Al. Jerozolimskich. Tylko 16 proc. uznało to za dyskryminację kierowców. Badanie podchwycili natychmiast ekologistyczni aktywiści. Problem w tym, że sondaż był ogólnopolski, a więc objął respondentów, którzy nigdy ze skutkami takiej polityki w miastach nie będą musieli się mierzyć, a także tych, którzy w ogóle aut nie mają. W dodatku pytanie brzmiało: „Prezydent Trzaskowski zaproponował nową wizję jednej z głównych ulic w mieście. Ma być dużo mniej samochodów, ale więcej miejsca dla zieleni i rowerów. Czy pana/pani zdaniem…". Gdyby pytanie sformułować np. tak: „Prezydent Trzaskowski bez konsultacji z mieszkańcami zaproponował radykalne zwężenie jednej z głównych ulic, czego skutkiem będą gigantyczne korki" – wynik mógłby być inny.

Na razie głosy protestu są rozproszone. Przeciwko kolejnym normom emisji są stowarzyszenia producentów samochodów i miłośnicy motoryzacji; przeciwko dyskryminowaniu kierowców – duża część samych kierowców i mieszkańców, którzy jednak – w przeciwieństwie do lewicowych aktywistów – nie są zorganizowani, a siła ich głosu jest słaba. Jakie zatem mogą być scenariusze?

Jeden z nich to skuteczne, odgórne wygaszenie w Europie indywidualnej motoryzacji. Trzeba jednak pamiętać, że nasz kontynent to nie tylko miejskie pięknoduchy ze stacjami metra pod nosem, lecz także mieszkańcy bardziej oddalonych regionów, znacznie gorzej skomunikowanych, oraz ludzie, którym samochód jest niezbędny. Oni mogą opierać się najdłużej. Możliwe, że staniemy się motoryzacyjnym skansenem: znaczna część będzie dopieszczać swoje kupione w ostatnim możliwym momencie spalinowe auta, żeby służyły jak najdłużej, inni – których na to stać – będą sprowadzali pojazdy spoza UE.

Bardzo też możliwe, że w ciągu kolejnych 20–30 lat dojdzie do kompletnego krachu całej szeroko rozumianej polityki klimatycznej, a obywatele, którym przymusowo obniżać się będzie jakość życia (jednocześnie wmawiając im, że to podwyższanie tejże), zbuntują się przeciwko tym pomysłom.

Jednak europejską batalię przeciwko indywidualnej motoryzacji trzeba widzieć w szerszym kontekście wojny z indywidualną własnością (koncepcja zastąpienia jej wynajmem – tak ma zresztą funkcjonować polska fantasmagoria, czyli bateryjna Izera) oraz z wyczuleniem na kwestię indywidualnej wolności. Ale to temat na całkiem inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Celniczka na chorwackiej granicy z dokumentami potwierdzającymi zaszczepienie przeciw COVID-19. Chorwacja włączyła się w system UE – tzw. paszport covidowy

FOT. JOSIP REGOVIC/PIXSELL/FORUM

Wakacje w chaosie

Łukasz Zboralski

Wakacje za granicą w tym roku będą ekstremalnie trudne. UE nie ma jednolitego systemu, każdy kraj decyduje sam o tym, kogo wpuścić i na jakiej podstawie. Nawet zaszczepienie nie gwarantuje braku kłopotów

Po ponad roku pandemii i poprzednim sezonie letnim – w którym okazało się, że zakażenia mocno spadają i można luzować obostrzenia tak, żeby ludzie mogli odpocząć, a branża turystyczna odbić się od dna – Unia Europejska nie zdążyła z przygotowaniem jednolitego systemu reguł poruszania się po kontynencie (paszport covidowy wejdzie od 1 lipca, ale to tylko system dla zaszczepionych). Po raz kolejny okazało się, że unijna wspólnota bardzo szybko rozpada się na państwa narodowe, które w oderwaniu od siebie same podejmują decyzje. Efekt? Ci, którzy planują wakacje poza granicami Polski, muszą przygotować się na duże wyzwanie z planowaniem drogi oraz spore emocje – bo reguły zmieniają się bardzo płynnie.

REGUŁY SZYBKO SIĘ ZMIENIAJĄ

Polski rząd teoretycznie pomaga – przygotował specjalną zakładkę na stronie gov.pl, gdzie zamieszczone są informacje związane z podróżami w pandemii. Sęk w tym, że nie są to informacje aktualizowane na bieżąco. Przykład pierwszy z brzegu – Czechy. Strona polskiego rządu podpowiada nam jako podróżnym, że nasi sąsiedzi w czeskim systemie Semafor (oznakowanie krajów pod kątem bezpieczeństwa podróżowania) umieścili nasz kraj na liście tych o średnim ryzyku zachorowania. Czyli oznaczono nas tam kolorem pomarańczowym. Z Polski na terytorium Czech można wjechać tylko, gdy jest się zaszczepionym przeciwko koronawirusowi albo okaże się negatywny test antygenowy (wykonany do 24 godzin przed wjazdem przez granicę) lub PCR (wykonany do 72 godzin przed wjazdem przez granicę). A to nie wszystko. Turyści zostający dłużej niż 24 godziny w Czechach muszą też wypełnić elektroniczny formularz lokalizacyjny (zwolnione z tego są dzieci do lat pięciu; ozdrowieńcy, którzy mają przetłumaczone zaświadczenie od lekarza i o ile nie upłynęło więcej niż 90 dni od pierwszego pozytywnego testu PCR; zaszczepieni na terytorium Czech, Słowacji, Polski, Niemiec, Węgier lub Słowenii, o ile od przyjęcia pierwszej dawki upłynęły co najmniej 22 dni, ale nie więcej niż trzy miesiące).

Nie dość, że reguły są dość skomplikowane, to jeszcze… nieprawdziwe. Od ubiegłego tygodnia bowiem Polska jest „zielonym” krajem na czeskiej mapie zagrożeń. A to oznacza, że obywatele naszego kraju mogą swobodnie podróżować po Czechach. Nie trzeba mieć poświadczenia o zaszczepieniu ani aktualnego wyniku testu na obecność koronawirusa.

I to jest dobra wiadomość także dla tych, którzy podróżują dalej – na Bałkany. Bo Czesi wpadli na genialny pomysł i po prawie 20 latach przywrócili połączenie kolejowe do Chorwacji. Tam jednak jest konkurencja na torach i taką ofertę ma prywatny RegioJet. Dojechać można z Pragi do Splitu i Rijeki. Przewoźnik informował, że dziennie wyprzedaje się tysiąc miejscówek, a obłożenie pociągów sięga 90 proc.

Należy jednak pamiętać, że o ile Czesi pozwalają na wjazd z Polski bez ograniczeń, o tyle powrót z wakacji przez Czechy wiąże się wciąż (tak było w ubiegłym tygodniu) z obowiązkiem odbycia kwarantanny – zwolnieni z niej są zaszczepieni oraz dzieci do 11 lat.

Oczywiście zanim wsiądzie się do pociągu do Chorwacji czy za kierownicę samochodu – a to popularny wśród Polaków kierunek – trzeba jeszcze sprawdzić, jakie warunki należy spełnić na granicy każdego z krajów, które będzie się przemierzać.

Polacy chętnie spędzają wakacje nad Adriatykiem. Zwykle podróżują tam własnymi samochodami (InterCity nie umie wpaść na taki sam pomysł jak RegioJet). W tym roku część z nich będzie musiała układać sobie nowe trasy.

Najtańszy przejazd – biorąc pod uwagę także noclegi po drodze, bo przy tak dalekiej podróży należy je zaplanować, by bezpiecznie dojechać – wiedzie z Polski przez Słowację i Węgry. Ta wersja trasy w porównaniu z podróżą przez Niemcy, Austrię i Słowenię pozwala na samych autostradowych opłatach zaoszczędzić kilkaset złotych.

eprasa.pl d3eaad21cf

Pierwsza bariera na Słowacji. Tranzyt jest prosty – nie trzeba niczego okazywać. No, oprócz potwierdzenia, że spełnia się warunki, które ustalił docelowy kraj podróży. Na przejazd Słowacy dają osiem godzin bez zatrzymywania się (z wyjątkiem tankowania na stacjach).

CZUWAJ LUB RYZYKUJ

Zatrzymanie się na Słowacji to już inna historia. Kwarantanny nie muszą tam przejść: dzieci do 18. roku życia, ozdrowieńcy (ale trzeba mieć dokument potwierdzający przechorowanie w ostatnich 180 dniach), negatywny test antygenowy lub PCR, posiadający dokument o zaszczepieniu (w tym wypadku jest cała lista wymaganych terminów w odniesieniu do odpowiednich szczepionek). Jednak ci wszyscy zwolnieni z kwarantanny muszą dokonać obowiązkowej rejestracji na stronie internetowej słowackiego rządu (korona.gov.sk/ehranica).

Dużo większy kłopot będzie na Węgrzech. O ile Słowację przejechać da się szybko (to niewielki kraj), o tyle jednak bez noclegu u bratanków naprawdę trudno już dotrzeć nad chorwackie wybrzeże. Tymczasem w chwili powstawania tego tekstu Węgry w ogóle nie pozwalają jeszcze na turystyczny wjazd i pobyt w tym kraju. Kto planuje nocleg – ten będzie musiał go sobie zaplanować tuż po przekroczeniu chorwackiej granicy. Węgierskie regulacje są tak kuriozalne, że nawet zaszczepienie dwiema dawkami szczepionki nie upoważnia do turystycznego pobytu w tym kraju – i tacy ludzie nadal podlegają tam kwarantannie. Problemem jest nawet sam przejazd tranzytowy. Jak wynika z ostrzeżeń na stronie polskiego rządu, żeby móc przejechać przez Węgry samochodem, trzeba wcześniej postarać się osobiście o pozwolenie od węgierskiej policji (police.hu) i w elektronicznym podaniu udokumentować swoją prośbę „zgodnie z celem podróży”. Na przejechanie kraju ma się 24 godziny. I to de facto autostradami lub drogami do nich dojazdowymi.

Przy okazji Węgry nie są jeszcze podłączone do systemu, który od 1 lipca ma gwarantować wspólny europejski paszport covidowy, czyli elektroniczne poświadczenie szczepienia (tak samo, jak nie są podłączone Włochy, Irlandia czy Słowenia).

Nawet jeśli to się uda, to i nad samym Adriatykiem są pewne haczyki. Chorwaci już wpuszczają turystów. Nie robią problemu zaszczepionym oraz ozdrowieńcom (trzeba okazać odpowiednie zaświadczenia). Jednak dzieci wpuszczane są bez wymagań przez granicę tylko do wieku 12 lat. W innym wypadku i one – by nie zostać skierowanymi na 10-dniową kwarantannę – będą musiały okazać aktualny wynik testu przeciw koronawirusowi. Jest jeden wyjątek – zwolnieni z tego wszystkiego są przyjeżdżający z krajów, które znajdują się na „zielonej liście” Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC). Mapa ECDC podzielona jest jednak na regiony. I na przykład w Polsce w ubiegłym tygodniu dotyczyło to m.in. województw: mazowieckiego, pomorskiego, warmińsko-mazurskiego, podlaskiego, małopolskiego czy podkarpackiego. Trzeba też „wykazać” – jak informuje polska ambasada – że w krajach tranzytowych się nie zatrzymywaliśmy.

Wakacje zaczynają się już za tydzień. I wszystko wskazuje na to, że będzie to wypoczynek najbardziej zbiurokratyzowany w historii. Chyba że władze państw turystycznych szybko otrzeźwieją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WODY TO
NIE ŚMIETNIK!

30 TON ŚMIECI ZEBRANYCH podczas akcji sprzątania nad Zalewem Mietkowskim, **1,5 TONY PO KAŻDYM WEEKENDZIE** na kilometrowym odcinku Odry we Wrocławiu...

Polskie rzeki i jeziora toną w śmieciach pozostawionych celowo przez ludzi. Dlatego Wody Polskie, które zajmują się administracją wód w naszym kraju, prowadzą akcję „Wody to nie śmietnik”. Jej głównym celem jest przekonanie ludzi, aby nie śmiecili! Odpady wcale nie znikają w wodzie, ale mogą ją zanieczyszczać, co szkodzi ludziom, zwierzętom i całemu środowisku.

eprasa.pl d3eaad21cf

Jeden z najgłośniejszych materiałów Krzysztofa Stanowskiego (z prawej) to odcinek „Hejt Parku" na YouTube z udziałem lewicowego publicysty Jasia Kapeli

FOT. KANAŁ SPORTOWY

Dziennikarz niesportowy

Agnieszka Niewińska

Krzysztof Stanowski zrobił niedawno furorę w sieci, biorąc w krzyżowy ogień pytań Jasia Kapelę. Potem odwołał zaproszenie dla feministki Mai Staśko i trafił na czarną listę TVN. Należy do tych dziennikarzy, którzy jednym twitterowym wpisem potrafią zrobić ferment

Mówi o sobie, że uprawia jeden z mniej potrzebnych zawodów na świecie, ale sprawia mu on frajdę. Krzysztof Stanowski, założyciel popularnego wśród fanów piłki nożnej portalu Weszlo.com, Radia Weszlo.fm, jeden z właścicieli youtube'owego Kanału Sportowego, dopiero dobiega czterdziestki, ale z dziennikarstwem sportowym związany jest od ponad dwóch dekad. Miał 14 lat, kiedy po raz pierwszy pojawił się w redakcji „Przeglądu Sportowego". Początkowo odbierał telefony od czytelników, rysował tabele, liczył punkty i marzył o tym, by pisać o piłce nożnej. Jako 19-latek był już korespondentem „Przeglądu" z mundialu w Korei i Japonii.

Współpracował z kilkoma redakcjami, w końcu związał się z branżą bukmacherską, by ostatecznie otworzyć własne sportowe medium. Tak powstało Weszlo.com, które o piłce miało mówić innym niż tradycyjne media językiem – zbliżonym do tego, jakim posługują się kibice i sportowcy. Weszlo.com nie owija w bawełnę i nie bierze jeńców, „Autowpierdol. Sami sobie spuściliśmy łomot", „Ciężko znaleźć kogoś, z kim możemy wygrać" – to tylko niektóre nagłówki Weszlo.com po ubiegłotygodniowej porażce reprezentacji Polski w meczu ze Słowacją.

Ostrymi sądami, zaczepnymi wpisami w social mediach Stanowski konsekwentnie budował nie tylko popularność serwisu (nazywanego niekiedy przez złośliwców sportowym Pudelkiem), lecz także swoją własną. Na Twitterze śledzi go blisko 350 tys. osób, i to nie tylko fani sportu. Za sprawą wypowiedzi na tematy publiczne czy polityczne stał się rozpoznawalny nawet wśród tych, którym obce są sportowe emocje. Zabierał głos m.in. w sprawie Strajków Kobiet. „Tak, kobieta decyduje o swojej macicy, ale – moim zdaniem – tylko do czasu. Decyduje, z kim i na jakich zasadach idzie do łóżka, ale – moim zdaniem! – nie decyduje, że może w dowolnym momencie swobodnie skasować nowe życie" – pisał w mediach społecznościowych. W felietonie z 2019 r. stwierdził, że Tomasz Lis zaczął w nim budzić „obrzydzenie". „Udzielił pan wywiadu »Gazecie Wyborczej«, w której spłakał się pan, że odbierają panu kraj. Myślę, że to istota demokracji – raz wygrywa partia, którą się popiera, raz przegrywa" – napisał w tekście skierowanym do naczelnego „Newsweeka".

Ostatnio głośno było o jego reakcji na twitterowy wpis feministki Mai Staśko, która sugerowała, że Stanowski jej nie zaprosi, bo nie umie rozmawiać z kobietami. Pochwaliła się, że do programu zaprosiła ją inna z autorek Kanału Sportowego. Stanowski odpowiedział krótko: „Już nie jesteś zaproszona". Po tym, jak wycofał zaproszenie dla Staśko, poinformował, że odwołano jego obecność w programie TVN24 „Drugie Śniadanie Mistrzów", bo „jest twarzą bukmacherki". Newsa przez cały dzień eksploatowały kolejne portale.

Jedni nazywają Stanowskiego kontrowersyjnym, inni symetrystą, a kolejne odcinki jego programów na youtube'owym Kanale Sportowym przysporzą mu następnych epitetów. Kanał wystartował w marcu ubiegłego roku. Jego założycielami jest czwórka popularnych dziennikarzy i komentatorów sportowych. Obok Stanowskiego – Michał Pol, Mateusz Borek i Tomasz Smokowski. Zanim dziennikarze umieścili na kanale jakikolwiek film, miał on już 80 tys. subskrypcji. Dzisiaj Kanał Sportowy subskrybuje 527 tys. internautów, a zamieszczone na nim filmy odtworzono blisko 160 mln razy.

– Fenomen Kanału Sportowego to zasługa osobowości, które go tworzą. Geniusz tkwi w prostocie: czterech najpopularniejszych dziennikarzy sportowych postanowiło stworzyć wspólny, niezależny projekt, i to wystarczyło. Przecież to nie jest żadna innowacyjna formuła. W studiu siedzi czterech facetów, którzy rozmawiają o piłce. Mamy takie programy. Jednak rozmawiają konkretnie te osoby, w konkretnym kontekście. To, co prezentują w programach, to mieszanka luzu i merytoryki. Każdy z czwórki założycieli kanału tworzy trochę dla innej grupy, ale wszyscy złożyli się na ten sukces – mówi Rafał Romaniuk, współwłaściciel agencji

eprasa.pl d3eaad21cf

marketingu sportowego Arskom i Sport Brokers, współpracujących z mediami i ze sportowcami, odpowiedzialnych za rozwój biznesu Kanału Sportowego.

A Aleksandra Witkowska, digital manager tych agencji, dopowiada, że wyniki takich programów Kanału Sportowego jak „Hejt Park" pokazują, iż dla widzów ważna jest bezpośrednia interakcja z twórcami. – Cenią możliwość zadzwonienia do programu, skomentowania padających w nim opinii. Chodzi o interakcję z tymi konkretnymi twórcami, których po prostu cenią za jakość. I czują, jakby uczestniczyli w spotkaniu przy piwie ze swoimi idolami. Cieszy ich wirtualny kontakt, a kiedy twórcy Kanału Sportowego dają możliwość spotkania twarzą w twarz, na te spotkania przychodzą tłumy – mówi Witkowska.

– Krzysztof Stanowski do tego projektu wszedł ze swoją grupą fanów – zaznacza Romaniuk. – Jego popularność zdecydowanie się zwiększyła, dziś jest jednym z najbardziej popularnych dziennikarzy w Polsce bez podziału na kategorie. Poza wątkami sportowymi zaczął poruszać wiele innych tematów – także te polityczne i społeczne. Czuje się w tym jak ryba w wodzie, sprawia mu to satysfakcję, można powiedzieć, że to właśnie on stał się prawdziwym następcą Pawła Zarzecznego.

Ostatnio, i to pomimo trwających mistrzostw Europy, pozasportowe komentarze i wywiady Stanowskiego wygenerowały w sieci największy ruch. W ramach Kanału Sportowego prowadzi program „Dziennikarskie Zero", w którym komentuje otaczającą nas rzeczywistość, wybiera absurdalne newsy z Polski i ze świata, komentuje wypowiedzi postaci publicznych. Do programu „Hejt Park" zaprasza gości. Byli nimi m.in. Sidney Polak, Robert Mazurek czy Abelard Giza.

Odcinek z lewicowym aktywistą Jasiem Kapelą do zamknięcia tego numeru „Do Reczy" miał 2,6 mln odsłon. Rozmowa dotyczyła opłaty reprograficznej, której Kapela jako twórca wierszy i autor książek jest zwolennikiem. Podczas ponaddwugodzinnej rozmowy Kapela zdążył zażądać opłaty za wywiad (przyjął na wizji 700 zł). Obwieścił m.in., że podatki dla bogatych powinny sięgać 90 proc., a człowiek nie potrzebuje do życia więcej niż 15 mkw. (choć przyznał, że sam mieszka na większej powierzchni). Dopominał się też tantiem za odczytywanie jego wierszy na wizji. A Stanowski nie szczędził widzom tej twórczości: „Jesteśmy debilami, i Ty, i ja, i Trump / Jesteśmy debilami, wie o tym cały świat / Jesteśmy debilami, czyś duży czy też mały / Jesteśmy debilami, nasz znak to Holokaust". Po programie zapowiedział, że wraz z dziennikarzem Robertem Mazurkiem wydadzą tomik poezji błyskawicznej „Kmioty polskie". W przedsprzedaży zakupiło go jak dotąd 5,5 tys. osób.

I choć w czasie rozmowy z Kapelą Stanowski kilkakrotnie określił siebie jako „prostego chama" nieznającego się na kulturze, to można to uznać za kolejną prowokację dziennikarza. Współczesne media i potrzeby odbiorców zna jak mało kto. Potrafi wywoływać emocje, a to jedna z podstawowych zasad funkcjonowania we współczesnych mediach. Jego książki (a wydał ich kilka) z miejsca stają się bestsellerami. Po co Stanowskiemu publicystyczny pazur i wywiady z postaciami w rodzaju Jasia Kapeli? Na odpowiedź musimy zaczekać, bo dziennikarz chwilowo ma dość wywiadów i tego, że jego rodziną zainteresował się Pudelek. – Trochę za dużo tego było ostatnio. Może po Euro? – proponuje, gdy dzwonimy z prośbą o rozmowę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ŚWIĘTY PAWEŁ. BIOGRAFIA
NA ROZDROŻACH SYNAGOGI I KOŚCIOŁA

• NOWE, ROZSZERZONE I ILUSTROWANE WYDANIE
• AUTOR KSIĄŻKI: KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI

To nie tylko szczegółowy opis życia Apostoła Narodów na tle realiów epoki, w której żył, lecz także duchowy fresk ukazujący osobowość Św. Pawła oraz misję i dzieło, które pozostawił.

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

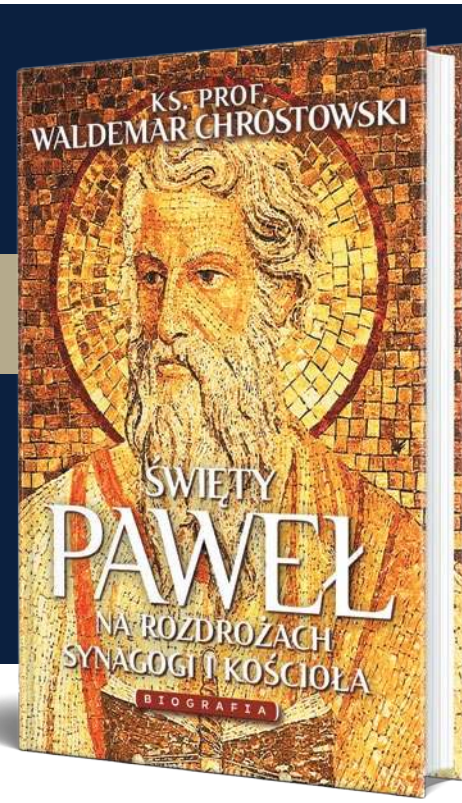

PATRONAT MEDIALNY:

krp
idziemy TYGODNIK
podlasie24.pl REGIONALNY PORTAL INFORMACYJNY

eprasa.pl d3eaad21cf

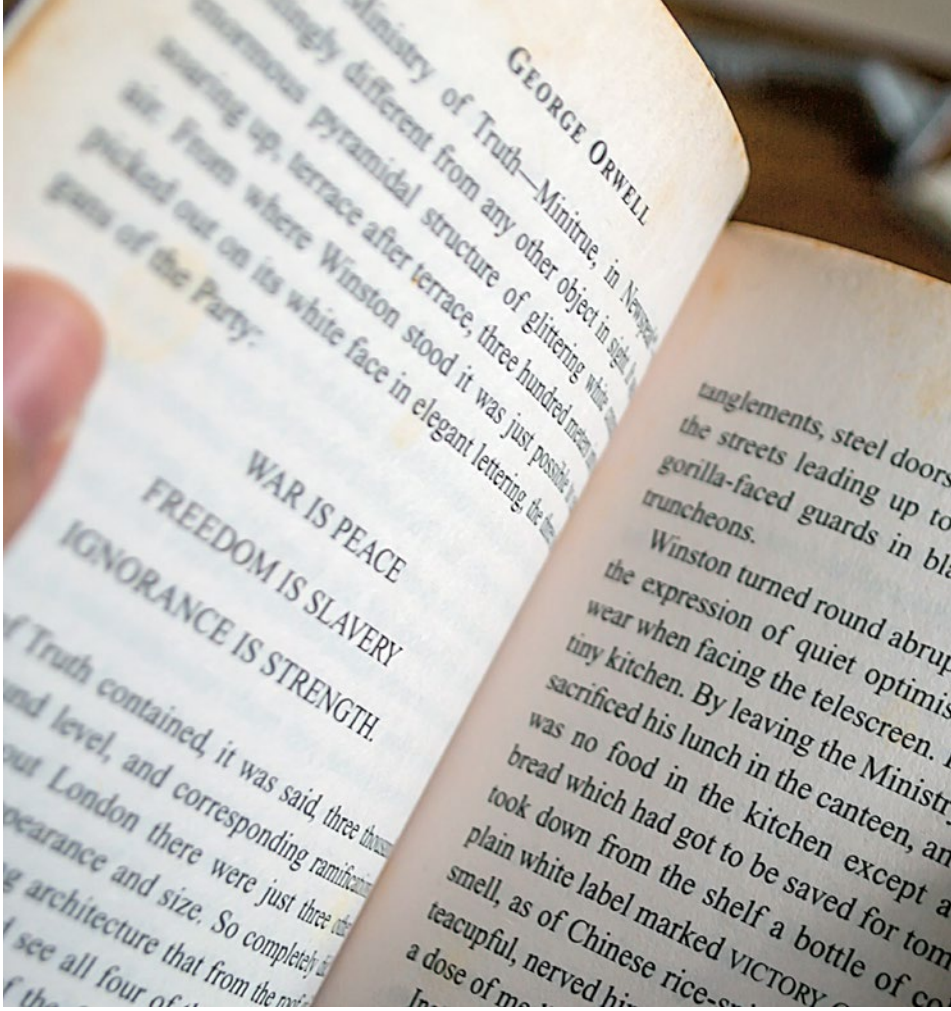

FOT. ADOBE STOCK

Powrót mistrza

Piotr Gociek

Nowe wydania i nowe przekłady najważniejszych dzieł, nieznane dotąd w Polsce eseje i felietony, zaginiony wstęp do „Folwarku zwierzęcego" – miłośnicy twórczości George'a Orwella mają czego szukać w księgarniach

Wiecie, jak to jest w pisarskim biznesie: najlepiej umrzeć, idealnie byłoby, gdyby umrzeć dawno temu. Minęło ponad 70 lat od śmierci George'a Orwella (rok 1950), zatem jego dzieła w majestacie prawa trafiły w Polsce do domeny publicznej i każdy może je tłumaczyć oraz wydawać, nie płacąc spadkobiercom pisarza czy brytyjskim wydawcom złamanego pensa. Niespodziewanie zrobił się nam więc nieoficjalny rok imienia Orwella: samych rozmaitych nowych wydań „Folwarku zwierzęcego" naliczyłem w tym roku ok. 10 (małe, duże, ze słowniczkiem, z opracowaniem, w miękkiej oprawie, w twardej oprawie). Na wznowienie słynnej dystopii „Rok 1984" też zdecydowało się kilka oficyn – szkoda, że nikomu nie przyszedł do głowy pomysł wznowienia pierwszego polskiego przekładu wydanego nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, którego autorem był Julian Mieroszewski.

Nie narzekam, Orwell na półkach księgarskich być powinien, bo wielkim pisarzem był i pozostaje. Zaprzyjaźnieni księgarze i antykwariusze też nie narzekają. Słyszałem od nich nieraz, że Orwella, podobnie jak Márqueza, Llosy czy Dickensa albo Dostojewskiego, są w stanie sprzedać każdą ilość. Jak to dobrze, że o miejscu w historii literatury decydują tysiące dłoni sięgających przy księgarskiej ladzie do portfela, a nie jury przyznające nagrodę Nike!

WIELKI BRAT NIGDY NIE ISTNIAŁ

Na dwie edycje „Folwarku…" wypada jednak zwrócić uwagę szczególnie, bo przynoszą istotną wartość dodaną. Nakładem Bellony ukazał się tom „Folwark zwierzęcy" (przekład Anna Nowosielska, ilustracje Barbara Kuropiejska-Przybyszewska) wzbogacony o „Dziennik z folwarku". Ten niezwykle ciekawy dodatek opracowany został przez Bartłomieja Zborskiego, niestrudzonego propagatora twórczości Orwella w Polsce. „Dziennik" to zapiski pisarza obejmujące lata 1938–1940, pokazujące Orwella jako wielkiego miłośnika natury, prac ogrodowych i obserwacji przyrody. Zborski skompilował odpowiednie wpisy z tomów „Domestic Diary" oraz „Morocco Diary". Dzięki temu dostaliśmy wgląd w życie pisarza w czasach, gdy mieszkał w Wallington (Hertfordshire), w niewielkim domku zwanym The Stores. We wsi „nigdy nie mieszkało więcej niż sto osób, a ośrodkiem życia towarzyskiego był tam miejscowy pub. Było to odludne miejsce" – pisze Zborski. Pisarz „oddał się swoim zamiłowaniom – hodowli i ogrodnictwu. W obejściu szybko pojawiły się koza Muriel, imienniczka kozy z »Folwarku«, potem dwie, następnie stadko kur…". Orwell otworzył też sklepik spożywczy, który prowadził aż do wybuchu wojny.

Edycja „Folwarku zwierzęcego" przygotowana przez Grupę Wydawniczą Foksal (przekład Szymona Żuchowskiego) zawiera z kolei inną perełkę: przedmowę Orwella do tej książki, która ostatecznie nie została umieszczona w pierwszym oryginalnym wydaniu. „Dopiero po odnalezieniu jej maszynopisu przez badacza i edytora spuścizny Orwella, Iana Angusa, po raz pierwszy ujrzała światło dzienne na łamach »The Times Literary Supplement« z 15 września 1972 r." – informuje w przypisach Żuchowski.

Dlaczego nie trafiła do książki? To proste: po odrzuceniu przez czterech wydawców tekstu „Folwarku…" uznawanego za nazbyt polityczny i w dodatku

eprasa.pl d3eaad21cf

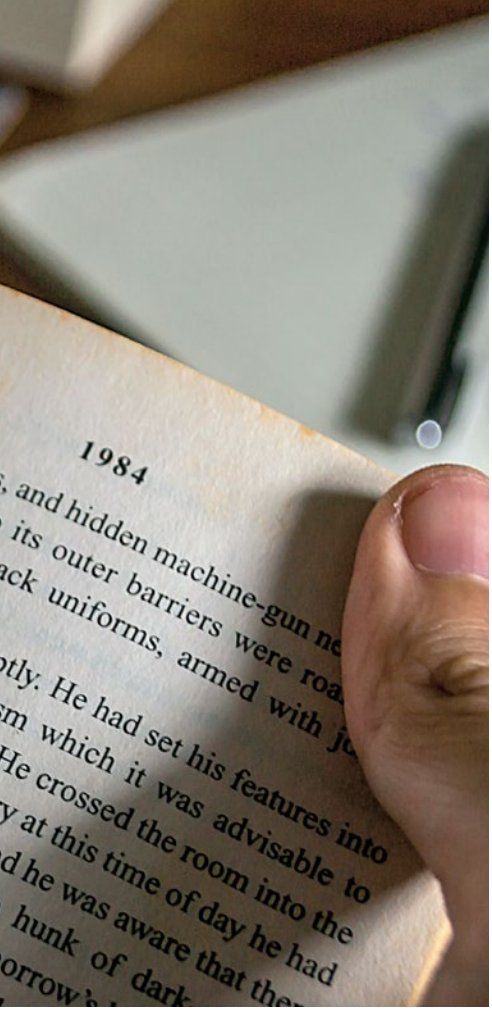

godzący w aktualny sojusz ze Związkiem Sowieckim, tekst przedmowy, który obnażał hipokryzję i cenzurę brytyjskich władz oraz wydawców, po prostu nie mógł się ukazać. Został więc z pierwszego wydania wycofany. „Dzisiejsza ortodoksja wymaga bezkrytycznego podziwu dla Związku Sowieckiego. Każdy to wie i bez mała każdy się temu poddaje. Wszelka poważna krytyka wymierzona w reżim sowiecki, wszelkie informacje, które rosyjski rząd wolałby zachować w tajemnicy, są prawie niepublikowalne" – gorzko zauważał w nim Orwell. I dalej pisał: „Służalczość, z jaką większość przedstawicieli angielskiej inteligencji łyka i powiela rosyjską propagandę od roku 1941, byłaby zadziwiająca, gdyby nie ich podobne zachowania przy kilku wcześniejszych okazjach". Cały tekst jest wielką płomienną przemową w obronie prawa do wolności wypowiedzi i wolności twórczej. Orwell puentuje: „W naszym kraju wolności boją się liberałowie oraz intelektualiści, którzy mają intelekt za nic. Napisałem tę przedmowę po to, by zwrócić na to uwagę".

Fani i zawodowcy dostają na koniec tego wydania także posłowie tłumacza, w którym Szymon Żuchowski opowiada, dlaczego zdecydował się na takie, a nie inne wybory, szczególnie gdy chodzi o przekład imion postaci. Podobnie jest w nowym wydaniu „Roku 1984" tej samej oficyny (GW Foksal), gdzie z kolei o własnych rozterkach i wyborach opowiada Dorota Konowrocka-Sawa. Słynna powieść nosi tytuł po prostu „1984", a najbardziej kontrowersyjna zmiana dotyczy zastąpienia zakorzenionego w języku polskim terminu „Wielki Brat" sformułowaniem „Starszy Brat". „Wielki Brat" – pisze Konowrocka-Sawa – nigdy nie istniał, przynajmniej w oryginale książki. Terminu tego użył Juliusz Mieroszewski w przekładzie z roku 1953, a potem powtórzył go we własnej wersji Tomasz Mirkowicz w przekładzie najczęściej wznawianym. Tymczasem »Big brother« znaczy po prostu »starszy brat«, tak jak »little sister« znaczy »młodsza siostra«. Czy taki przydomek nadany mitycznemu, półboskiemu przywódcy Partii wydał się tłumaczom zbyt niewinny?" – zastanawia się translatorka.

DYSTOPIA Z ODNIESIENIAMI

Zamykający nowy przekład „1984" tekst Doroty Konowrockiej-Sawy to także ciekawa opowieść o rozmaitych interpretacjach arcydzieła Orwella (łącznie z przypomnieniem, że Isaac Asimov uważał książkę za potwornie nudną, moralizatorską, powtarzalną i pozbawioną dynamiki). Wiele uwag tłumaczki jest bardzo ciekawych, jak wskazanie rzadko eksplorowanych przez polską krytykę nawiązań do Dantego czy uwaga o roli religii. „Dziecinny wierszyk o dzwonach londyńskich kościołów jest w utworze Orwella kwintesencją nostalgii za lepszymi czasami, a same kościoły – zrujnowane lub zamienione w muzea propagandy – są symbolem przysypanej wojennymi gruzami i żyjącej gdzieś w uśpieniu przeszłości – pisze Konowrocka-Sawa. – Orwell agnostyk, dwoisty jak jego najsłynniejsza książka, obawiał się, że świat bez Boga stracił rządzącą nim zasadę".

Na koniec pełna premiera: tom „Czy naprawdę schamieliśmy" ukazuje się w wydawnictwie Muza w przekładzie i wyborze wspomnianego wcześniej Bartłomieja Zborskiego; nosi podtytuł „Nieznane eseje, szkice, opowiadania i felietony". Nie jest to polskie wydanie jakiejś konkretnej pojedynczej książki uzupełniającej spuściznę autora „Roku 1984", ale po prostu zbiór rozmaitych tekstów wyjętych z fundamentalnej brytyjskiej edycji „The Collected Works of George Orwell" (red. prof. Peter Davison). Miszmasz okrutny, ale taka właśnie była twórczość pisarza, który z powodzeniem uprawiał rozmaite gatunki, zawsze z talentem, ze złośliwością i z wielką przenikliwością, w czym przypomina innego giganta brytyjskiej literatury, Gilberta K. Chestertona.

Dostajemy więc lamus ciekawostek, w którym każdy znajdzie coś dla siebie. Miłośnicy historii zanurzą się w lekturę tekstów takich jak „Demokracja w armii brytyjskiej" czy „Brytyjski kryzys". Ci, którzy tęsknią za politycznymi i religijnymi polemikami, znajdą teksty takie jak „Bolszewicy, propaganda niemiecka i pani Czang Kaj-szek" czy „Doktryna chrześcijańska i socjaliści" albo „Incydent na liniowcu. Czystki wśród pisarzy w ZSRS". Mnie szczególnie zainteresowały kawałki o literaturze: jak nie o Londonie, to o Kiplingu, jak nie o Poundzie, to o opowieściach kryminalnych, ale i złej poezji; rozbawiła mnie recenzja książki „Best-sellers" George'a Stevensa i Stanleya Unwina, choćby ze względu na piękne zdanie: „Autorzy głównie starają się przekonać czytelnika, że reklama nie pomoże żadnej książce, która się nie sprzedaje".

Na koniec dostajemy także kilkadziesiąt stron mocno intrygujących, a miejscami poruszających. To „Zapiski z ostatniego notatnika literackiego Orwella" (wybór), zawierające luźne notatki na rozmaite tematy, których dokonywał pisarz w ostatnich dwóch latach życia. Oczywiście jest o polityce („Dla będącej u władzy partii lewicowej najgroźniejszym przeciwnikiem jest zawsze jej własna wcześniejsza propaganda"). Są oceny prowokacyjne („Któż z nas nie pomyślał sobie, rozmawiając z Czechem, Polakiem – i w ogóle z kimś z Europy Środkowej, lecz nade wszystko z Niemcem albo z niemieckim Żydem – »Jak oni, bądź co bądź, górują nad nami umysłowo«? I kogo, kilka minut później, nie naszła taka refleksja: »Lecz, niestety, wszyscy oni to szaleńcy?«"). I jest też proste, wykrzyczane na kartce (pisownia oryginalna) „ŻYCIE JEST ZŁE, LECZ ŚMIERĆ GORSZA. Oto na czym bazuje cała ich literatura religijna".

Orwell (Eric Arthur Blair) zmarł 21 stycznia 1950 r. na gruźlicę. Miał zaledwie 47 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★☆☆

REŻ. DEAN PARISOT
„BILL I TED RATUJĄ WSZECHŚWIAT" („BILL & TED FACE THE MUSIC")
USA 2020

wyst. Keanu Reeves, Alex Winter, Kristen Schaal

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO GO

Ojcowie i córki

Para sympatycznych głuptasów podróżujących niegdyś w czasie, by poprawić stopnie z historii, weszła już w wiek męski. Bill i Ted mają żony oraz dorastające córki, nie mogą się jednak ustatkować. Wszystko przez nadzwyczajnie trudne zadanie nałożone na ich barki przez ludzi z przyszłości: świat przestanie istnieć, jeśli nie stworzą piosenki, która go ocali.

W pierwszą przygodę wyruszyli w roku 1989 („Fantastyczne przygody Billa i Teda"), potem był ciąg dalszy („Szalona wyprawa Billa i Teda", 1991), ale jedno mimo upływu trzech dekad nic się nie zmieniło: dorośli Keanu Reeves i Alex Winter wciąż tworzą na ekranie parę zabawną, charyzmatyczną i budzącą jedynie pozytywne emocje – nawet gdy wpadają w kłopoty. „Bill i Ted ratują wszechświat" to najlepszy film w serii, a jego optymistyczne przesłanie (poczekajcie na finał) okazało się bezcenne w czasie pandemii (w USA komedia miała premierę w sierpniu minionego roku).

Jak przystało na opowieść z serii kompletnie szalonej, intryga jest słodko absurdalna – ponieważ bohaterowie sami nie potrafią napisać genialnego (i ocalającego wszechświat) utworu, postanawiają przenieść się w przyszłość do chwili, kiedy już go napisali. Następnie dokonać autoplagiatu i… tadaaam! Załatwione! Ich największymi wrogami w tej podróży okażą się oni sami w kolejnych przyszłych wcieleniach. Od czego jednak rezolutne córki, hodujący w sobie niespodziewanie sumienie morderczy robot oraz niedoceniany basista zespołu rockowego żyjący w piekle – Pan Śmierć we własnej osobie.

Brzmi to wszystko kompletnie niepoważnie – i takie jest, ale jednocześnie jest bardzo ciepłe, zabawne i budujące. Zamknięcie trylogii o Billu i Tedzie to hymn ku czci miłości (małżeńskiej i rodzicielskiej), przyjaźni, muzyki i współpracy. A sceny, w których do akcji wkraczają ich córki (urocze Samara Weaving i Brigette Lundy-Paine), należą do najlepszych w filmie. Zwłaszcza gdy dziewczęta postanawiają do pomocy w pisaniu przełomowej muzyki zatrudnić niezwykły ansambl talentów z minionych stuleci (a nawet tysiącleci). Podróż Billa i Teda dobiegła końca, myślę jednak, że widzowie nie mieliby nic przeciwko temu, by kolejna komedia opowiadała już o ich zaradnych i jeszcze bardziej utalentowanych córkach. ©℗

NOWE SERIALE: „ŁASUCH"

N

Ludzkość wymarła niemal zupełnie, a wśród ocalałych królują hybrydy ludzko-zwierzęce. Główny bohater komiksowej serii Jeffa Lemire'a to jedna z takich hybryd. Cykl przerobił na serial duet: Jim Mickle („Chłód w lipcu") i Beth Schwartz („Arrow"). Obsadzony w roli głównej Christian Convery to jeden z najbardziej cenionych dziecięcych aktorów współczesnego Hollywood. Wymyślone przez jednego z czytelników komiksu hasło: „Bambi skrzyżowany z Mad Maxem" dobrze oddaje ducha tej opowieści. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 1 „Łasuch" („Sweet Tooth"), USA 2021, wyst. Christian Convery, Nonso Anozie***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Anissa Bonnefont* ***„Olivier Rousteing: Cudowne dziecko świata mody" („Wonder Boy, Olivier Rousteing, né sous"),*** *Francja 2019* N
- *reż. Bartlett Sher* ***„Oslo",*** *USA 2021* HBO GO
- *reż. Neil Burger* ***„Voyagers",*** *USA 2020* TIME MAN
- *serial dokumentalny* ***„Miasto pingwinów" („Penguin Town"),*** *USA 2021* N

eprasa.pl d3eaad21cf

Ich czworo

KINO

Rzym, rok 1982. Giulio, Paolo, Riccardo i Gemma mają wielki apetyt na życie. Nastolatek, nawet mówiący językiem Dantego, jest czystą kartą. Jeszcze nie wiadomo, komu pisany jest los wiecznego przegrywa, kto da się skorumpować, a kto na przekór wszystkiemu pozostanie idealistą. Muccino idzie tropem Felliniego, nie wstydzi się cytatów z „Amarcordu", „Słodkiego życia" ani powielania stereotypów. Jeśli wciąż wątpicie, że Włosi to krzykliwi histerycy, mało odporni na pokusy, skłonni do teatralnych gestów i najbardziej na świecie kochają swoje mamy, może ten film was wreszcie przekona. Zmieniają się mody i ekipy rządowe, komunizm traci swą uwodzicielską moc, znikają chadecy i socjaliści, Berlusconi udaje męża opatrznościowego. To wszystko pozory. Italia jest constans. Północ się bogaci, południe się bawi, w stolicy korupcja czai się za każdym rogiem. Zgubiony, kto uwierzy w bajkę o zmienianiu systemu od środka.

★★★★☆☆

REŻ. GABRIELE MUCCINO
„NAJLEPSZE LATA" („GLI ANNI PIÙ BELLI")
WŁOCHY 2020

wyst. Pierfrancesco Favino, Micaela Ramazzotti, Kim Rossi Stuart, Claudio Santamaria

Pomysł, by bohaterowie co jakiś czas mówili wprost do kamery, sprawdza się średnio, drażnią fabularne mielizny. Ale jak tu nie lubić opowieści, która zmierza do konkluzji, że każdy człowiek popełnia błędy, jednak narzekanie i dozgonne pielęgnowanie urazów nie ma sensu, bo najważniejsze to po 40 latach móc spotkać się w tym samym gronie i wypić „za to, co nas uszczęśliwia". ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

APETYT NA JABŁKA

KINO

Do szpitala neurologicznego w Atenach trafia kolejny pacjent z amnezją. Jest ich tak wielu, że lekarze proponują nieborakom, których personalia pozostają tajemnicą, eksperymentalną terapię. Główny bohater, mając do wyboru zdobyć nową tożsamość lub na zawsze pozostać numerem 14842, podejmuje wyzwanie. Stara się wykonywać i dokumentować zadania zlecone przez opiekunów. Te jednak stają się coraz bardziej dziwaczne. Debiut Christosa Nikou zrazu irytuje niemrawym tempem i ascetyczną formą, stopniowo jednak nabiera werwy tudzież wdzięku. Podobnie jak nasz bohater, który mimo utraty pamięci wcale nie jest bytem pozbawionym właściwości. Lubi jabłka, zna stare przeboje i zdradza kucharskie talenty. Greccy filozofowie zapewne mieliby sporo do powiedzenia po obejrzeniu „Niepamięci". Jako prosty recenzent poprzestanę na stwierdzeniu, że nawet fatalne wspomnienia są lepsze od żadnych.

★★★☆☆☆

REŻ. CHRISTOS NIKOU
„NIEPAMIĘĆ" („MILA")
GRECJA/POLSKA/SŁOWENIA 2020

wyst. Aris Servetalis, Sofia Georgiovassili, Anna Kalaitzidou

ŻONA WZGARDZONA

KINO

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Osiemnastoletni kadet Johnny Cash na torze wrotkowym w San Antonio poderwał jeszcze młodszą Vivian Liberto. Po ślubie biedowali, pan młody (nie) zarabiał jako domokrążca, aż tu nagle Ameryka zakochała się w jego piosenkach. Johnny koncertował, Vivian wychowywała dzieci w domu na odludziu. Napisał dla niej „Walk the Line", o setkach listów, pełnych tęsknoty i miłosnych zaklęć nie wspominając. Idylla dobiegła końca, gdy gwiazdor zasmakował w narkotykach, zaś południowy typ urody małżonki stał się przedmiotem publicznych dociekań. Potem anielska June wyciągnęła króla country z nałogów i została jego muzą. Vivian przypłaciła rozwód ciężką depresją. Nie dożyła premiery filmu „Spacer po linie", w którym zrobiono z niej sekutnicę. Dlaczego rzetelny dokument, oddający sprawiedliwość matce czterech córek Casha, powstał tak późno? Rzeczywiście, wielka sława to żart. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. MATT RIDDENHOOVER
„MOJA KOCHANA VIVIAN" („MY DARLING VIVIAN")
USA 2020

GRA TYGODNIA: „DC SUPER HERO GIRLS"

★★★★☆☆

Batman była kobietą! Superman też była kobietą! A może Wonder Women też… „DC Super Hero Girls" to nie jest konsolowa „Seksmisja", ale adaptacja animowanego serialu Cartoon Network. Supermoce bohaterów świata DC mają tutaj nastoletnie dziewczęta. I to raczej do rówieśników bohaterek gry kierowana jest ta produkcja, nieco zbyt infantylna dla starszego odbiorcy. Ratując Metropolis, odwiedzamy znane z serialu miejsca i wykorzystujemy unikalne moce każdej z postaci. A kiedy bohaterki ściągają maski i odwieszają peleryny – towarzyszymy im w codziennym życiu, które toczy się także na popularnym w ich świecie portalu społecznościowym Superstapost. To co – jeszcze jedna sweet focia i do walki? ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcja, TPP*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Nintendo, ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl d3eaad21cf

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sarmacki depozyt

Podtytuł nowej książki Krzysztofa Koehlera – „Szkice o literaturze staropolskiej”– oddający jej zawartość, jest mylący. Te 18 esejów mogłoby być, na przykład, nazwane – co nawet dopuszcza sam autor – „Od »Bogurodzicy« do »Kiedy ranne wstają zorze«”, ale zawężalibyśmy tym samym obszar badawczych poszukiwań Koehlera, bynajmniej nie ograniczającego się do literatury. „Punkty krystalizacji” dotykają bowiem spraw absolutnie pierwszej wagi: patriotyzmu, stosunku do tradycji, obywatelskości. Wolności wreszcie.

O tej ostatniej, a zarazem pierwszej, czytamy: „Wolność to jedna z najważniejszych zasad polskości, niepokojąca najeźdźców, spędzająca im sen z powiek, uniemożliwiająca stabilizację zdrajcom, Pelikanom, Bécu, sprzedawczykom, sługusom Kremla, Moskwy, Berlina, Wiednia. Wolność – wyrzut sumienia, wolność – wezwanie do oporu, wolność – depozyt, którego jesteśmy zobowiązani strzec.

Kto? My? Dzisiaj?”.

A jeśli nie my – pytajmy dalej – to kto i kiedy? No właśnie. Krzysztof Koehler nim postawi nas pod ścianą i zażąda odpowiedzi na to pytanie, zaprasza do wędrówki śladami tych, którzy wolność „zagospodarowywali, urządzali, umieszczali się w rodzinie europejskich wspólnot politycznych przez wieki. Dzisiaj nam się wydaje często, zbyt często, że Polska zrodziła się w parkosyzmach po 1918 roku, może jeszcze kształtowała się w formie »narodowych zrywów« w ciągu XIX wieku. Ale to nie jest prawda: wolność i Polska miały trwanie znacznie dawniejsze”. I opowiada autor o tym, ku czemu Polska szła – jak to ujął przed laty Artur Górski, „punkty krystalizacji” znajdując u Galla Anonima i mistrza Wincentego Kadłubkiem zwanego, u Pawła Włodkowica i Stanisława Orzechowskiego, Piotra Skargi i Jana Kochanowskiego, u Szymona Zimorowica i Wespazjana Kochowskiego – aż po Wacława Potockiego i, ze wszystkimi zastrzeżeniami, Franciszka Karpińskiego. A rekapituluje Koehler swą opowieść brawurowym esejem o Mickiewiczu i jego „Dziadach części III”, „największym i najważniejszym dziele, jakie napisano w literaturze polskiej wszystkich czasów”. Ale i utworze daleko poza tę literaturę wykraczającym, niezwykłym duchowym seansie, przeżywanym przez nas wciąż na nowo i za każdym razem tak samo, „zbójeckiej książce”, która „póki będzie w obiegu czytelniczym, póty formować będzie polskość”.

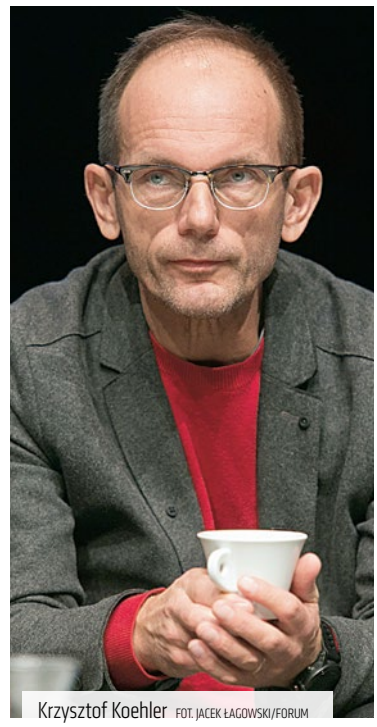

Krzysztof Koehler FOT. JACEK ŁAGOWSKI/FORUM

W książce Krzysztofa Koehlera znalazłem też esej poświęcony, znanemu raczej nielicznym, piszącemu po łacinie XVI-wiecznemu poecie polskiemu Klemensowi Janickiemu, którego znaczenie, jak również wewnętrzną dzielność i męstwo, autor docenił za sprawą Zygmunta Kubiaka, zmarłego w 2004 r. znakomitego znawcy antyku, ale i świetnego tłumacza, przyswajającego nam nie tylko twórczość m.in. Wergiliusza czy Konstandinosa Kawafisa, lecz także właśnie owego Janicjusza, urodzonego w Januszkowie pod Żninem. Zygmunt Kubiak, dla mnie również ważny i drogi, tak przed laty mówił mi o Klemensie Janickim, tym naszym XVI-wiecznym Owidiuszu: „Ten młody poeta – zmarł przedwcześnie, mając 25 lat, na puchlinę wodną – przybywszy do Padwy, stanął wobec nieznanego mu społeczeństwa. Z goryczą pisał: »Podejrzliwości chłopska, nieśmiałości nagana, trzeba wam było poza mną pozostać«. Trafił w strefę kultury mieszczańskiej i arystokratycznej, sam wychowany w kulturze szlachecko-chłopskiej, cechującej Polskę przed wiekami, cechującej ją i dziś. Widzimy to, gdy każda kolejna ekipa władzy w Polsce robi z siebie szlachtę; coraz to nowe fale szlachty płyną przez nasz kraj, a chłopi, jak dawniej, ślepo się buntują”.

Cechowała Janickiego – i Kubiaka także! – ta sama, nieco dziecięca, wiara w dobro świata, wiara, której nie naruszały kolejne dramatyczne, a nawet tragiczne wydarzenia. To nie tylko sprawa religii, bo – cytuję Koehlera – „to coś więcej niż chrześcijaństwo – to zetknięcie, złączenie, zadziwiająca i pociągająca synergia dwóch źródeł: katolicyzmu rzymskiego i… rzymskiego antyku. Te dwa nurty, dwie ogromne rzeki wlały się do polskiej struktury mentalnej […]”.

I niech płyną jak najdłużej. ©℗

★★★★★★

KRZYSZTOF KOEHLER „PUNKTY KRYSTALIZACJI. SZKICE O LITERATURZE STAROPOLSKIEJ”
WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA, KRAKÓW 2020

eprasa.pl d3eaad21cf

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Serce dla wojów

Dawno nie gościł na mojej twarzy uśmiech tak ciepły i szeroki jak podczas lektury „Zaćmienia o zmierzchu". Nadszedł dobry rok dla miłośników serii „Kajko i Kokosz": w Netflixie niedawno pojawiły się pierwsze odcinki wyczekiwanego od dekad serialu (polecałem go na łamach „Do Rzeczy"), a na półkach księgarskich gości teraz nowy album odświeżonej serii.

Klasyczne opowieści mistrza gatunku i twórcy sympatycznych wojów – Janusza Christy – wznawiane są nieustannie niemal w komplecie, od kilku lat jednak Egmont inwestuje także w kontynuacje. „Zaćmienie o zmierzchu" to drugi pełnometrażowy, a czwarty w ogóle tytuł podserii, w której popularnych bohaterów wskrzeszają nowi rysownicy i scenarzyści. Dwa zbiory krótkich historii to było takie rozpoznanie bojem (z efektami bardzo różnymi). „Zaćmienie...", podobnie jak poprzedzająca je „Królewska konna", są zaś dziełem ekipy, której wydawnictwo powierzyło tworzenie ciągów dalszych (z podtytułem „Nowe przygody") na dobre. Rysownik Sławomir Kiełbus, odpowiedzialny za kolory Piotr Bednarczyk oraz scenarzysta Maciej Kur – wróżę ich przedsięwzięciu karierę długą i pełną sukcesów, bo „Królewska konna" była albumem dobrym, a „Zaćmienie o zmierzchu" jest albumem rewelacyjnym.

Dzieje się w nim wiele: Kajko i Kokosz, wypełniając rozkazy tajemniczej Zmierzchnicy (objawia się o zmierzchu, tak jak południca w południe), ruszają w niebezpieczną podróż, krwawy hegemon zbójcerzy się zakochuje, zbój Łamignat traci swą słynną maczugę zwaną Bacikiem, po okolicy pęta się arystokratka z krainy Rusów, gród Mirmiłowo zaś staje się areną wesela rubasznego Wojmiła. Tempo akcji jest szybkie, dialogi błyskotliwe, humor przedni, wszystko to razem przypomina chwilami najlepsze albumy o Asterixie i Obelixie.

Wielkie brawa dla scenarzysty Macieja Kura, który rozumie, jak wielkie możliwości komiczne tkwią wciąż w stworzonych przez Christę postaciach i że najlepsza komedia to komedia charakterów. Czekam na liczne ciągi dalsze, bo wątków i postaci z dawnych albumów jest jeszcze mnóstwo, a jednocześnie duet Zmierzchnica i jej niezbyt mądra siostra udowadnia, że Kur ma także wielki talent do tworzenia postaci nowych. Po poprzednim albumie moja rekomendacja serii brzmiała: „OK, fajnie, że jest". Teraz zmieniam ją na: „Ja bez tego nie potrafię żyć". ©℗

★★★★★☆

MACIEJ KUR, SŁAWOMIR KIEŁBUS, PIOTR BEDNARCZYK „KAJKO I KOKOSZ. ZAĆMIENIE O ZMIERZCHU" EGMONT 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Bardzo nieoczywisty kierunek wakacyjny, za to książka wielce ciekawa. Ten przewodnik turystyczno-kulturowy jest pięknie ilustrowaną i rozszerzoną wersją książki z roku 2003. Redakcja – Marcin Jakubowski.

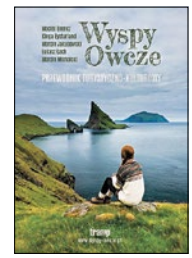

AUTORZY RÓŻNI „WYSPY OWCZE" PCIT TRAMP

Rzecz o narkotykach w hitlerowskich Niemczech. Kto pamięta dekadencję Republiki Weimarskiej, ten nie będzie zdziwiony (może tym, że miejsce morfiny zajęła amfetamina). Ale skala zjawiska i zasięg (do szczytów władzy) szokują.

NORMAN OHLER „TRZECIA RZESZA NA HAJU" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Kanon prozy niesamowitej oraz detektywistycznej amerykańskiego mistrza i prekursora. 39 opowiadań, całość w nowych poprawionych przekładach i z posłowiem oraz przypisami tłumacza, którym jest Sławomir Studniarz.

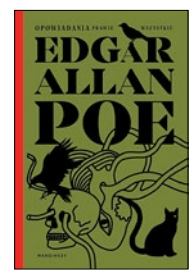

EDGAR ALLAN POE „OPOWIADANIA PRAWIE WSZYSTKIE" MARGINESY

Gdzieś poza granicami naszego świata istnieje biblioteka nieskończonej wielkości, w której każda książka zawiera inną wersję naszego życia. Gdybyś mógł wybrać, to za czym byś tęsknił, a czego żałował? Nora Seed zdecyduje.

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

MATT HAIG „BIBLIOTEKA O PÓŁNOCY" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „DIUNA"

Oczekiwanie na nową filmową wersję „Diuny" (dzieło Villeneuve'a trafi do kin we wrześniu) umili fanom słynnej powieści Franka Herberta wersja komiksowa. Adaptacji dokonali Brian Herbert (syn Franka i autor jego biografii) oraz Kevin J. Anderson, od dekad tworzący nowe powieści osadzone w tym samym uniwersum. Za stronę graficzną odpowiada duet Raúl Allén i Patricia Martín (Allén to hiszpański ilustrator współpracujący z amerykańską prasą i projektujący m.in. okładki książek). Pierwszy tom powieści graficznej kończy się, gdy Paul Atryda odnajduje swe miejsce wśród Fremenów.

AUTORZY RÓŻNI „DIUNA", KSIĘGA I REBIS 2021

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

eprasa.pl d3eaad21cf

Kram i babula

FOT. KRZYSZTOF ŚLACHCIAK/LUMINIK.PL

„Zlepiliśmy słowo »Kram«, które swoim znaczeniem oddaje naszą różnorodność pod kątem zainteresowań i pochodzenia, z »Babulą«, czyli babcią, która siedzi na ławeczce i śpiewa – wyjaśnia etymologię swojej nazwy poznański zespół Krambabula. – Przez pięć lat istnienia zespołu pokonaliśmy tysiące kilometrów i zjeździliśmy Polskę wzdłuż i wszerz. W tym czasie zagraliśmy dziesiątki koncertów i z każdym coraz mocniej przesiąkaliśmy swojskim klimatem naszego kraju, z całą jego kulturową rozmaitością".

Jeśli chodzi o kulturową rozmaitość, to w kręgu zainteresowań zespołu są przede wszystkim kultura polska, ukraińska oraz łemkowska. Grupa sięga po tradycyjny repertuar, po pieśni i przyśpiewki. Interpretuje je z rockowym pazurem, podając w nowoczesnej formie. Ich najnowszy singiel „Oj, siadaj, siadaj" – który jest zapowiedzią powstającej właśnie płyty – to interpretacja ludowej przyśpiewki na okoliczność odjazdu panny młodej z domu rodziców do pana młodego. („Oj, zaraz, zaraz bede siadała – jesce zem się z matką nie pozegnała. / Do widzenia miła matko, coś mnie wychowała gładko – Teraz nie bedzies. / Oj, zaraz, zaraz bede siadała – jesce zem się z uojcem nie pozegnała. / Do widzenia miły uojce, com ci była do pomocy – Teraz nie bede").

Na wokalu Sybilla Sobczyk-Gulewicz, akordeonie – Piotr Czuchta, gitarze elektrycznej – Kamil Baszak, basowej – Sławek Pawłowski, perkusji – Łukasz Simiński, trąbce – Jakub Plebaniak. Instrumentarium uzupełnia saksofon w rękach Dawida Tokłowicza. Zespół zawiązał się w Poznaniu pod koniec 2014 r. W roku 2017 wydał debiutancką płytę pt. „K!". Album został sfinansowany dzięki pieniądzom, które Krambabula zdobył za zajęcie pierwszego miejsca podczas Olandia Etno Festiwal w ogólnopolskim konkursie o Złoty Wiatrak. ©℗

Radosław Wojtas

NA SŁUCH

Kazik żywemu nie przepuści

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

★★★★☆☆
KULT „OSTATNIA PŁYTA" SP RECORDS

Ta naoliwiona korporacja muzyczna już dawno temu wypracowała sprawdzone kultowe patenty. Ma być swojsko oraz z przytupem, nieco PRL-owskiej nostalgii i pastiszu i koniecznie należy komuś celnie przyłożyć, najlepiej z laczka.

Tekst do pierwszej piosenki, „Jutro także będzie dzień", lider Kultu napisał w wieku 16 lat. Ewidentnie Kazimierz znajduje ukojenie we wspomnieniach z dzieciństwa. Chcę wierzyć, że wzbudzająca litość „Chcę miłości" nie jest dalszym ciągiem „Do Ani". Smuteczki błyskawicznie odchodzą wraz z „Planem zagospodarowania przestrzennego…", gdzie narrator chce załatwić interesik z biurokratami i błaga: „Dajcie mi zbudować dom na tej ziemi, którą mam". W bluesiku „Wiara" dostaje się klerowi, a potem jest słodko-kwaśna „Polityk zawsze będzie moim wrogiem". Kazik straszy jak najlepszy rockowy kaznodzieja (prawo się wali, wolność nam zabrano, Bruksela się obżera, Internet zniewala kobiety itd.), ale zamiast zadumać się nad własnym losem muzyka, porywa nas w kabaretowo-publicystyczno-biesiadny tan. Lato jest więc przy piwku, każdy lubi się pobujać. Jest zatem dancingowo, reagge'owo, westernowo… Każda z piosenek ma wpadającą w ucho melodię i zaraźliwy szlagwort, a przy tym co i rusz padnie jakieś siarczyste słowo.

Na koniec dostajemy monumentalną „Ziemię obiecaną". To współczesna „Arahja". Tamta, sprzed 33 lat, łapała za gardło, a w tej Kazika złapała chrypa. ©℗

★★★★★☆
MOBY „REPRISE" DEUTSCHE GRAMMOPHON

Amerykanin nagrał swoje klasyczne utwory w wersjach orkiestrowych i akustycznych. Wspiera go wielu gości, m.in. Budapest Art Orchestra, Gregory Porter, chór gospel The Samples, a nawet Kris Kristofferson. Melancholijnie, emocjonalnie i z wielkim rozmachem.

★★★★☆☆
BRODKA „BRUT" PIAS POLAND

Intrygujący nowy wizerunek, porywający singiel „Game Change", a jako całość album pozostawia mnie niewzruszonym. Od Brodki śpiewającej po angielsku, mimo wyszukanej produkcji nagrań, bije chłodem. Jedynie „Spowiedź grzesznika" („Chasing Ghost") wywołuje prawdziwe dreszcze. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

5 ważnych powodów,

dla których warto wziąć udział w Narodowym Spisie Powszechnym Ludności i Mieszkań 2021

Spis powszechny to wyjątkowe badanie organizowane przez Główny Urząd Statystyczny raz na 10 lat. Badanie to realizowane jest równocześnie we wszystkich krajach Unii Europejskiej i ma znaczenie zarówno w skali globalnej, jak i lokalnej.

Dostęp do rzetelnych informacji

Spis to jedyne badanie, które swoim zasięgiem obejmuje całą populację kraju. Dzięki zgromadzonym danym możemy dowiedzieć się m.in. ile osób mieszka w Polsce, jaki jest poziom wykształcenia i jaka jest nasza aktywność na rynku pracy. Dostęp do takich informacji to podstawa dobrze rozwiniętych społeczeństw. Każdy z nas ma możliwość korzystania z tych samych danych, co jest podstawą podejmowania ważnych decyzji prywatnych i zawodowych.

Wpływ na rozwój kraju i regionu

Wyniki opracowane na podstawie danych zebranych w spisie powszechnym służą do tworzenia prognoz i projektów, kształtujących przyszłość ludności naszego kraju. Na ich podstawie opracowuje się analizy dotyczące stabilności finansowej państwa czy też plany zagospodarowania przestrzennego. Dlatego to ważne, by każdy z nas wziął udział w spisie, przyczyniając się tym samym do uzyskania rzetelnego obrazu naszego społeczeństwa.

Sposób na wyrażenie własnych potrzeb

Na podstawie NSP 2021 przyznawane są m.in. środki finansowe dla poszczególnych samorządów. Oznacza to, że biorąc udział w spisie, informujemy nie tylko o naszych potrzebach, lecz także sprawiamy, że lokalne społeczności zostają zauważone, a co za tym idzie – mogą otrzymać realną pomoc. To właśnie takie dane są podstawą realizowania wszelkich programów wsparcia.

Spełnienie obywatelskiego obowiązku

Spis powszechny służy dobru obywateli i kraju, dlatego jest naszym obowiązkiem. Udział w nim czyni z nas świadomych uczestników życia publicznego i utrwala postawy obywatelskie. To ważne, by podobnie jak w wyborach demokratycznych zabrać głos, zaznaczyć swoją obecność i wpłynąć na rozwój kraju.

Kontynuacja 100-letniej tradycji

Nowoczesność to jedno. Warto też uświadomić sobie znaczenie tradycji, która stanowi o ramach współczesnego świata. Pierwszy spis powszechny po odzyskaniu niepodległości przez Polskę miał miejsce w 1921 roku. Dziś, 100 lat później, mamy okazję kultywować tę tradycję i wspierać rozwój naszego państwa.

Jak wziąć udział w Narodowym Spisie Powszechnym Ludności i Mieszkań 2021?

To proste. Najszybciej i najwygodniej można spisać się samodzielnie, korzystając z formularza na stronie **spis.gov.pl**. Ważne, by podać w nim dane według stanu na 31 marca 2021 r. Dostęp do swoich danych mamy przez 14 dni od pierwszego poprawnego logowania. Dzieci i nieletnią młodzież muszą spisać rodzice lub opiekunowie prawni. Natomiast w przypadku osób nieobecnych, ich dane przekazują osoby pełnoletnie, które należą do tego samego gospodarstwa domowego **Za odmowę lub brak udziału w spisie, zgodnie z ustawą grozi kara grzywny**.

Bezpieczeństwo danych

Informacje przekazywane podczas spisu są prawnie chronione i objęte tajemnicą statystyczną. Do jej przestrzegania zobowiązani są także rachmistrzowie spisowi. Zebrane dane na etapie przetwarzania ulegają anonimizacji – nie można ich przyporządkować do określonej osoby. Oznacza to, że podawane w spisie dane są w pełni bezpieczne.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99***.

* Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Więcej na **spis.gov.pl**

Liczymy się **DLA POLSKI!**

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl d3eaad21cf

„Akademia Pana Kleksa" – spektakl w Teatrze Żydowskim w Warszawie
FOT. MAGDA HUECKEL

Ersatz z Brzechwy

Grzegorz Kondrasiuk

Uwaga, po teatrach grasuje taki duecik: Witek Mrozek, główny krytyk „Gazety Wyborczej", i Michał Buszewicz, dramaturg. Panowie ci doszli do pewnych przekonań: Buszewicz myśli, że jest reżyserem, a Mrozek – że dramaturgiem

Nie wiadomo, skąd się to przekonanie obu panom wzięło, bo ich dotychczasowe dokonania w teatrach Studio czy Ochoty o tym nie świadczą. Ludzie często myślą o sobie różne rzeczy, i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Fenomenem natomiast jest, że przekonanie to podzielają dyrektorzy rozmaitych scen. Sięgając do porównania z dziedziny tzw. literatury dziecięcej (bo dziś przyszło mi pisać o inscenizacji baśni), dyrektorzy ci wychodzą na tym interesie niczym ów król, który u Andersena postanowił obstalować sobie nowe ciuszki u dwóch osobników podających się za krawców. I tak oto Teatr Żydowski postanowił obstalować sobie u obu wspomnianych panów swą najnowszą premierę, wystawiając sceniczną adaptację „Akademii Pana Kleksa" Jana Brzechwy.

Jest to jeden z tych spektakli, których nie wolno oglądać po swojemu i na własną rękę, tylko po lekturze programu, czyli ściągawki przygotowanej przez twórców. Jeśli ten obowiązek zaniedbamy, to wszystkie jego głębie pozostaną niedostępne. A zatem: ma być tu na nowo przeczytana baśń Jana Brzechwy, mają być wydobyte jej ukryte sensy, jej „mroczny czy to wojenny, czy mistyczny wymiar". Twórcy powołują się na eseje Piotra Pazińskiego, Adama Lipszyca, podparte cytatem z Brzechwy, który ponoć napisał, że „do sekretów Pana Kleksa dostać można się tylko przez komin". Twórcy sądzą, że „Akademię" można (a nawet należy) przeczytać poprzez filtr holokaustowej traumy, i stąd pomysł na jej realizację właśnie w Teatrze Żydowskim. Jest to więc spektakl z tezą oraz szerokimi kontekstami filozoficznymi. Problem w tym, że nieporadna reżyseria nie potrafi udźwignąć tego ciężaru, naiwnie zakładając, że audytorium (otwarte na widzów od lat 10) przystąpi do dzieła naczytane Pazińskim, rozsmakowane w licznych kontekstach uruchamianych przez mit o Golemie. W rezultacie twórcy poprzestali na odegraniu kilkunastu scenek mówionych, śpiewanych i tańczonych w konwencji teatrzyku licealnego, jako tako referujących fabułę książki, i rozsianiu niejasnych sugestii oraz mętnych aluzji umieszczających czas akcji w latach drugiej wojny, może w jakiejś ochronce czy szkole. Nie wiadomo doprawdy, w którym miejscu dopatrzyć się można choćby resztek błyskotliwych myśli Pazińskiego zawartych w eseju „Pamięć Alojzego", który, odwołując się do praskiej legendy o Golemie czy przypominając „Gabinet doktora Caligari", pisze o geście parodii boskiego dzieła stworzenia i o odczarowaniu świata oraz opuszczaniu baśniowej Arkadii. Być może te, podprogowo wchłaniane, filozoficzne przypowieści mówią nam o dotkliwym, powszechnym doświadczeniu i być może jest to sekret popularności „Akademii". Tego wszystkiego jednak w spektaklu nie ma. Bo choćby aktorzy starali się jeszcze bardziej, to sprawa jest nie do uratowania. Cóż z tego, że na jedną przejmującą minutę pojawia się, wzruszająco dziecięca i bezbronna, jakby z innego porządku, Wanda Siemaszko jako Dziewczynka z Zapałkami? Cóż z tego, że przez tę minutę naprawdę można uwierzyć, iż przychodzi ona z warszawskiego getta? Cóż z konsekwencji i charyzmy, z jakimi buduje postać Szpaka Mateusza kruchy Jerzy Walczak? Cóż z zaangażowania młodszej części zespołu teatru, wyrównanego, bardzo przyzwoitego aktorsko?

Teatr jako wyrafinowane narzędzie do interpretacji potrafi pogłębić i uniezwyklić tekst. Ale bywa też odwrotnie. Teatr bez polotu sklecony, nieumiejętnie przepisany z książki jak ściągawka, szeleści papierem, spłaszcza jej sensy i tworzy z ciekawej literatury nieciekawe widowisko. Niedostatki warsztatu reżyserskiego i dramaturgicznego maskować ma postdramatyczna maniera. Bo to przecież Metoda Twórcza: podkreślanie umowności, nachalne przypominanie widowni, że my tu nic nie musimy, niepodomykane wątki, ślady pomysłów, luźne skojarzenia prowadzące donikąd. Niedostatków talentu w tej materii nie da się zamaskować, bo reżyseria w teatrze to nie tylko umiejętność ustawiania scenek i choreografii, a dramaturgia to nie tylko przepisywanie słów napisanych przez kogoś innego. ©℗

Jan Brzechwa, „Akademia Pana Kleksa"
Teatr Żydowski w Warszawie
Adaptacja i reżyseria: Michał Buszewicz
Współpraca dramaturgiczna: Witold Mrozek
Premiera: 11 czerwca 2021 r.

eprasa.pl d3eaad21cf

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 8

Ideologia LGBT

a wolność nauki

- LGBT na polskich uczelniach – raport
- Tęczowe cenzurowanie naukowców
- Homoseksualizm – rewolucja oparta na kłamstwach

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl d3eaad21cf

WSTĘP

Myślenie poza jałową drogą

TOMASZ ROWIŃSKI

Czy na pewno mamy w Polsce wolność akademicką? Na pierwszy rzut oka tak się wydaje. Ba, pewnie wielu akademików powiedziałoby, że nie ma nic do zarzucenia swojej sytuacji. Nie uważam też wcale, że ich doświadczenie jest nieprawdziwe. Są dziedziny nauki, w których ideologie nie grają roli lub grają rolę niewielką. Przynajmniej w tym zakresie, który jest bezpośrednim przedmiotem badania i nauczania. Nauki ścisłe czy inżynieryjne, geografia czy archeologia. Przynajmniej na pierwszy rzut oka wydają się rzeczywiście przestrzeniami wolności.

Sytuacja wydaje się tym gorsza, im dalej jesteśmy od świata rzeczy martwych, a bliżej świata ludzi. Przyjrzyjmy się zatem humanistyce. Tu krajobraz się zmienia, czasem całkowicie. Można już wręcz kolekcjonować przykłady odwoływania wykładów konserwatywnym naukowcom czy mówcom – takie sytuacje zdarzają się od lat. W ostatnich czasach nasiliło się zaś zjawisko postępowań dyscyplinarnych przeciwko konkretnym akademikom. Może państwo myślą, że to z powodu głoszenia poglądów zakazanych przez polskie państwo, np. komunizmu i faszyzmu? Nic z tych rzeczy. Wręcz przeciwnie, na polskich uczelniach coraz trudniej jest się przyznać do zasad, które uformowały Polskę jako wspólnotę polityczną, a naród polski jako społeczeństwo. Wspomnisz o chrześcijaństwie w pozytywnym kontekście, powiesz, że rodzina jest dobrem, a jej model – wypracowany przez cywilizację zachodnią – był czymś godnym ochrony, możesz spodziewać się donosu. Skrytykujesz teorie genderowe czy polityczne poglądy ruchu homoseksualnej emancypacji, możesz spodziewać się donosu. Może cię to spotkać, nawet jeśli zrobisz to poza salą wykładową, w publicystyce, z zachowaniem kultury wypowiedzi. Jest prawie pewne, że wystraszony rektor – choć nie głosisz niczego, co byłoby sprzeczne z polską konstytucją – pociągnie cię do odpowiedzialności. Ze strachu, z oportunizmu.

A inni akademicy, wspólnota naukowa? To zależy. Może ktoś szeptem wyrazi współczucie i powie, że się zgadza, a nawet moralnie wspiera, inny obrzuci cię inwektywami w prywatnej wiadomości, a większość – jak rektor – zestrachana zwiesi głowę, by żaden z radykałów, chętnie słuchanych przez media, nie zatrzymał na nich swojego spojrzenia, by najgłośniejsi akademicy-politykierzy i studenci-bojowcy nie wywiesili ich nazwiska na transparencie, nie wrzucili do Internetu. Zatem wolność akademicka jest tam, gdzie badania nie dotykają celów politycznych, które stawiają sobie lewicowi rewolucjoniści.

To znamienne, że są obszary ludzkiej wiedzy i doświadczenia, które można badać tylko pozytywnie lub tylko negatywnie. Obowiązek badania afirmatywnego ma dotyczyć homoseksualizmu, transgenderyzmu i obecności kobiet w kulturze, a także rozmaitych mniejszości, np. rasowych. Inne rzeczywistości mają być badane krytycznie, w kluczu dekonstrukcji zawartych w nich schematów przemocy. A ponieważ lewica kulturę uważa za siedlisko przemocy, to pałka zawsze się znajdzie. Dzięki temu na ławie oskarżonych można posadzić większość dotychczasowego doświadczenia cywilizacyjnego – historię, literaturę czy religię, w tym szczególnie chrześcijaństwo, które co do zasady nie jest przecież religią przemocy.

Problem polega na tym, że lewica zajmuje się – także na uczelniach – dokładnie tym, co krytykuje. Tam, gdzie decydujące nie jest kryterium prawdy, która bywa niewygodna dla każdego, niezależnie jakie stanowisko zajmuje wobec problemów debaty publicznej, tam zwycięża przemoc i jest w praktyce stosowana. Procedury dyscyplinarne zdarzają się wszędzie, jeśli jednak dotykają one tylko przedstawicieli jednej perspektywy – nazwijmy ją konserwatywną, katolicką, prawnonaturalną – to znaczy, że działa mechanizm ukrytej dominacji niszczący sam sens istnienia życia i debaty uniwersyteckiej.

Sytuacja, jaką mamy dziś w Polsce, jest pośrednią odpowiedzią na pytanie: Czy państwo może ingerować w życie środowiska akademickiego? W miarę możliwości powinno tego unikać, ale z pewnością musi czuwać, by uniwersytet nie stał się polityczną sektą terroryzującą pracowników naukowych nieustannym cieniem podejrzenia o nieprawomyślność. Nie o to chodzi w humanistyce – w badaniach nad człowiekiem – by szła ona ślepo za najbardziej szalonymi ideami, których w dodatku nie można poddawać falsyfikacji, ponieważ są „prawdziwe" na mocy środowiskowych aktów politycznych.

Polski uniwersytet znajduje się w momencie krytycznym, po którego przejściu może się on okazać niezdolny do żadnej innej aktywności, jak tylko nierefleksyjne kopiowanie kolejnych mód intelektualnych Zachodu. Zachodu produkującego kolejne narzędzia demontażu własnej cywilizacji europejskiej. Czas przywrócić możliwość suwerennego myślenia tym, którzy nie chcą iść tą jałową drogą. To będzie lepsze dla prawdy i lepsze dla Polski. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

Z dr. Tymoteuszem Zychem, wiceprezesem Instytutu Ordo Iuris i rektorem Collegium Intermarium
rozmawia Paweł Chmielewski

Polska nauka jest zideologizowana

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Plan Równości Płci na Uniwersytecie Warszawskim, pseudonimy „queerowych" studentów oficjalnie uznawane na Uniwersytecie Jagiellońskim, absurdalne feminatywy w szczecińskiej Akademii Sztuki, represje wobec wielu konserwatywnych akademików... Czy można odpowiedzialnie powiedzieć, że dzisiaj w Polsce nauka jest zideologizowana?

DR TYMOTEUSZ ZYCH: Zjawisko ideologizacji jest, niestety, w Polsce obecne. Widać to szczególnie w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Ideologia staje się w coraz większym stopniu punktem wyjścia całego procesu badawczego. Do ideologicznych założeń dobiera się fakty, a dane stają się czystą dekoracją, bo tezy są z góry postawione.

Ale to przecież przeczy samej zasadzie nauki...

Owszem, tak się jednak dzieje. Instytut Ordo Iuris opublikował niedawno raport na temat „gender pay gap", czyli różnicy w średnich wynagrodzeniach kobiet i mężczyzn w gospodarce. Stawia się dzisiaj tezę, że dyskryminacja płacowa ze względu na płeć jest problemem systemowym. To twierdzenie opiera się jednak na wadliwej metodologii, która nie bierze w ogóle pod uwagę, że kobiety często wykonują inne zawody niż mężczyźni i częściej pracują na niepełny etat.

Bardziej zaawansowane statystyki biorą pod uwagę poziom zatrudnienia kobiet i mężczyzn w poszczególnych sektorach gospodarki, ale też są głęboko niedopracowane. Wskazuje się na przykład, że w sektorze medycznym kobiety średnio zarabiają mniej niż mężczyźni. Problem w tym, że choć wśród lekarzy proporcja kobiet i mężczyzn jest wyrównana, to już wśród pielęgniarek zdecydowanie dominują panie. Ten ostatni zawód jest słabiej płatny i potraktowanie obu grup łącznie zaniża średnią na niekorzyść pań. Na tej samej zasadzie mężczyźni zarabiają średnio mniej w sektorze budowlanym – a to dlatego, że kobiety zajmują w nim głównie stanowiska kierownicze, a rzadko pracują fizycznie.

Tych fundamentalnych faktów nie bierze się jednak pod uwagę, a zideologizowani badacze tworzą pewną fikcję. Na tej fikcji próbuje się oprzeć później politykę państwa i tworzyć mechanizmy będące punktem wyjścia do myślenia o całej zbiorowości. Zarazem ignoruje się realne problemy, takie jak coraz głębsza dyskryminacja matek, szczególnie wielodzietnych, w miejscu pracy i poza nim.

Podał pan przykład dotyczący ideologii feminizmu. A co z ideologią LGBT, chyba najbardziej dzisiaj problematyczną?

Zacznijmy od tego, że pojęcie ideologia LGBT nie jest najszczęśliwsze...

Jak to? Nie chce pan chyba powiedzieć, że ideologia LGBT nie istnieje?

Owszem, istnieje; da się ją nazwać i określić jej cechy, tak jak robi to na przykład Slavoj Žižek. Jednak pojęcie „ideologia LGBT" może też wprowadzać w błąd; jest podatne na wykorzystywanie przez lewicę. Mam tu na myśli doskonale znane twierdzenie, że nie można mówić o ideologii, bo LGBT to określenie osób. W istocie ideologia LGBT jest tylko wycinkiem większego problemu. Całość – to ideologia neomarksistowska. Ruch polityczny LGBT – bo wolę to określenie – stanowi zaledwie jeden z nurtów neomarksizmu.

A jak można zdefiniować ideologię neomarksistowską?

Jej podstawowym założeniem jest zredukowanie relacji społecznych do relacji władzy, ofiary i oprawcy. W ideologii marksizmu pierwotnie wymieniano klasę robotniczą i klasę posiadającą. Później pojawiły się koncepcje przeciwstawiające kobietę mężczyźnie w kategoriach podległości. W roli proletariatu występowali też studenci. Teraz kładzie się nacisk na osoby o mniejszościowych czy nietypowych skłonnościach seksualnych. Te same zarzuty, które możemy dziś formułować pod adresem „ideologii LGBT", można skierować w stronę innych aspektów neomarksizmu. Sednem tej ideologii jest przedstawienie człowieka w sposób fragmentaryczny. Nikt przecież nie jest tylko robotnikiem, tylko kobietą, tylko studentem, tylko homoseksualistą. To nie jest cała rzeczywistość człowieka. W neomarksizmie znikają też pojęcia odpowiedzialności oraz roli społecznej. Ideologia ta nastawiona jest na prawa definiowane przez pojedynczy aspekt osobowości.

Tak jest też z rodziną...

Tak. W wizji neomarksistowskiej rodzina jest narzędziem opresji rodziców wobec dzieci, a rodzina tradycyjna – dodatkowo jeszcze mężczyzny wobec kobiety. Tymczasem rodzina przecież

eprasa.pl d3eaad21cf

opiera się nie tylko na władzy rodzicielskiej, lecz także na rodzicielskiej odpowiedzialności i miłości. Marksiści w swojej optyce tego nie widzą; dostrzegają tylko opresję, tylko jeden wymiar – i to w karykaturalnym świetle marginalnych czy patologicznych zjawisk, które dla nich stają się synonimem samej instytucji społecznej. Idzie im zatem o zniszczenie instytucji społecznej i destrukcję porządku po to, by człowieka „wyzwolić". Niezwykle wyraźnie taką tezę postawił na przykład Saul Alinsky. Tymczasem niszczenie instytucji społecznych jako instytucji władzy i opresji nie prowadzi wcale do tego, że ludzie stają się bardziej wolni. Wprost przeciwnie, stają się bardziej zniewoleni i tracą poczucie sensu. Nie ma przecież mowy o poczuciu sensu bez obowiązku i odpowiedzialności, których w neomarksizmie nie ma. Te braki zastępuje się sensami fragmentarycznymi, które nadają chwilową dynamikę życiu ludzkiemu: a to walki o emancypację LGBT, a to o wątpliwie rozumianą emancypację płciową, a to o emancypację młodych przeciw starym.

Wracając do świata nauki. Czy ideologizacją dotknięte są jedynie nauki humanistyczne i społeczne?

Głównie – ale nie tylko. W 1996 r. amerykański fizyk Alan Sokal opublikował w prasie naukowej tekst pod tytułem (w tłumaczeniu na polski) „Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce grawitacji kwantowej". Dowodził, że emancypacja, rozwój społeczny, feminizm czy dekonstruktywizm każą zmienić rozumienie obiektywnej rzeczywistości, w tym fizyki kwantowej. Tekst spotkał się z bardzo pozytywnym odbiorem. Po kilku miesiącach Sokal ujawnił, że jest to całkowicie niedorzeczna prowokacja, żart. Jak widać, ideologia podważa dziś nawet obiektywną rzeczywistość i dochodzi do prób reinterpretowania nauk ścisłych, które – wydawałoby się – są oparte na twardej materii.

Czy w Polsce można wyróżnić jakiś ośrodek akademicki szczególnie przeżarty ideologią neomarksizmu, wręcz jej rozsadnik?

Nie wydaje się, żeby którykolwiek pojedynczy uniwersytet można było tak zakwalifikować. Na większości uczelni publicznych widać, że stopniowo sposób myślenia nawiązujący do neomarksizmu staje się nurtem dominującym. Jako podstawowe narzędzie w naukach o literaturze, kulturze czy historii zaczyna się wykorzystywać tzw. teorię krytyczną, która w różnicach między ludźmi dostrzega tylko opresję. Dotyka to również prawa. Coraz mniej uczelni jest zakorzenionych w tradycyjnym porządku wartości. To jest kopiowanie wzorców zachodnich.

FOT. ORDOIURIS

Na większości uczelni widać, że stopniowo sposób myślenia nawiązujący do neomarksizmu staje się nurtem dominującym

Czy to kopiowanie odbywa się samorodnie, jest inicjatywą Polaków – czy jest raczej przeprowadzane z zewnątrz, na przykład za pomocą grantów czy zgoła nacisków politycznych?

Trudno szukać prostych odpowiedzi na skomplikowane pytania. Te procesy nie są całkowicie jednowymiarowe. One są w jakiejś mierze napędzane przez zachodnie granty: George'a Sorosa, różnych instytucji międzynarodowych, poszczególnych państw czy nawet ambasad. Można na ten temat sporo poczytać, Instytut Ordo Iuris publikował analizy na ten temat. To jednak wszystkiego nie wyjaśnia. Swoją drogą upowszechnia się też maniera myślenia opartego na cudzych wzorcach, zadowalania się etykietami międzynarodowych organizacji. Wydaje się, jakby taka etykieta uprawniała do ferowania ostatecznych sądów. Nie potrzeba już poważnej analizy, wystarcza fikcyjny autorytet.

Tymczasem ma to swoje poważne konsekwencje. Na przykład na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w ubiegłym roku wprowadzono wspomniany przeze mnie na początku Plan Równości Płci. Jednym z jego założeń jest to, by rekrutować – na przykład do szkół doktorskich – także na podstawie kryterium „niedoreprezentowanej" w danej

eprasa.pl d3eaad21cf

dziedzinie płci czy nawet preferencji seksualnej. Przecież dla każdego zdrowo myślącego człowieka to czysty absurd...

To esencja rozumienia społeczeństwa jako przestrzeni wojny płci, walki klas, gdzie każdy definiowany jest przez jakiegoś rodzaju fragmentaryczną przynależność. To podejście zakłada do pewnego stopnia ograniczenie wolności człowieka. Wolność człowieka – i to jest zasada nie tylko klasycznej kultury europejskiej, lecz także całej doktryny liberalnej – zakłada, że człowiek podejmuje swobodne decyzje. Tymczasem lewica dostrzega potrzebę, by w każdej grupie były reprezentowane dokładnie po równo wszystkie mikrotożsamości. Pytanie: Dlaczego? Z jakiego powodu w każdej dziedzinie nauki miałoby być tyle samo kobiet i mężczyzn? Jednym z efektów przyjęcia tego paradygmatu może być niekiedy ograniczanie nawet niestereotypowych wyborów. Na przykład na wspomnianym Uniwersytecie Warszawskim w kadrze Wydziału Geologii jest więcej kobiet. Wydawałoby się, że to mało damska dziedzina, lewica powinna się więc cieszyć... Skoro jednak ma być równość płciowa, to kobiety trzeba dyskryminować przy rekrutacji! Nawet z perspektywy liberalnej jest to całkowicie absurdalne.

A czy praktyki przyjęte na Uniwersytecie Warszawskim są w ogóle legalne?

Ja uważam, że jest to niezgodne z prawem. Na gruncie konstytucyjnej równości wobec prawa nie możemy sobie wyobrazić przestrzeni dla tego rodzaju rozwiązań. Istotą dyskryminacji jest to, że traktuje się kogoś inaczej ze względu na jego płeć, rasę czy religię. Plany równościowe, paradoksalnie, wbrew swojej nazwie, są po prostu planami dyskryminacyjnymi.

Rozpowszechnienie ideologii neomarksizmu na uczelniach wiąże się też z represjami. Wszyscy słyszeli o głośnych przypadkach prof. Aleksandra Nalaskowskiego czy prof. Ewy Budzyńskiej. A jednak Jarosław Gowin jako minister nauki i szkolnictwa wyższego potrafił powiedzieć, że to są tylko „incydenty". Rzeczywiście?

Te „incydenty" mają charakter symboliczny. Prowadzą do powstania efektu mrożącego. Sankcje dyscyplinarne, usunięcie z pracy – to zawsze będzie dotyczyło jednostek. Ich przykład ma jednak stanowić przestrogę dla wszystkich. Co więcej, większość tego rodzaju spraw nigdy nie dotrze ani do mediów, ani do szerszego środowiska akademickiego. Powtarzam raz jeszcze: obawiałbym się raczej tego niewidocznego efektu mrożącego.

Problemów jest coraz więcej. Dyskryminacja, represje czy też po prostu narażanie się na śmieszność, jak na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie studenci mogą występować pod zgodnymi z ich wyobrażeniem płciowym pseudonimami... Jakie państwo polskie ma narzędzia do walki z ideologią na uczelniach? A może obecnego systemu nie da się już naprawić i konieczne jest stawianie na nowe inicjatywy – takie jak Collegium Intermarium, którego jest pan rektorem?

Myślę, że warto robić jedno i drugie. Z jednej strony trzeba przywracać przestrzeń akademicką na istniejących uczelniach, gdzie cały czas istotna część kadry reprezentuje wysokie walory akademickie. Dobrze, że ze strony ministra Przemysława Czarnka wyszły propozycje prowolnościowych zmian ustawowych. Z drugiej strony potrzebne są też nowe instytucje. Stąd właśnie Collegium Intermarium. Collegium zaoferuje rzeczywistą przestrzeń debaty. Rozhermetyzuje system. Pokaże, że możliwa jest nauka opierająca się na klasycznym kanonie akademickim. Bardzo ważne, że jego oferta adresowana jest nie tylko do Polaków, lecz także do wszystkich mieszkańców obszaru Międzymorza.

W Collegium Intermarium ideologii nie będzie?

Będzie – jako przedmiot krytycznych badań. Chcemy badać ideologię, pokazywać jej błędy, odróżniać ją od nauki. Ideologia lubi instrumentalnie posługiwać się językiem nauki i tworząc pozory, oddziaływać na rzeczywistość. Przecież i socjalizm bywał rzekomo naukowy! Nam chodzi o to, by rozgraniczać prawdziwą naukę od nauki pozornej. O pozycji akademika nie mogą decydować poglądy polityczne, lecz jego warsztat, rozum, zdolność do podjęcia ciężkiej pracy badawczej. To wszystko możemy zagwarantować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Tęczowe cenzurowanie

Magdalena Majkowska

Represje wobec nauczycieli akademickich, którzy nie godzą się na dyktat poprawności politycznej, zataczają coraz szersze kręgi

W ciągu ostatnich kilku lat doszło do kilkudziesięciu przypadków naruszeń wolności akademickiej. Jedną z najgłośniejszych z nich jest sprawa prof. Ewy Budzyńskiej, która została ukarana naganą przez Komisję Dyscyplinarną Uniwersytetu Śląskiego za przekazywanie zgodnych z programem zajęć treści, które nie spodobały się uczestniczącym w nich lewicowym aktywistom.

Podstawowym celem wykładów prowadzonych przez socjolog było zapoznanie studentów z rodziną jako elementem struktury społecznej oraz przedstawienie, jakie formy przyjmowała ona na przestrzeni dziejów w zależności od kształtującej ją kultury lub religii.

eprasa.pl d3eaad21cf

naukowców

Naukowcy w Polsce zaczynają mieć problemy za mówienie o oczywistych prawdach, np. o tym, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny FOT. ADOBE STOCK

Kontrowersyjny dla grupy studentów drugiego roku socjologii okazał się wykład, na którym usłyszeli, że w myśl zasad chrześcijańskiej etyki małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, rodzina składa się z „męża, żony, ojca, matki, dzieci, krewnych i powinowatych", a nienarodzony człowiek jest dzieckiem. Po wykładzie dotyczącym koncepcji rodziny w chrześcijaństwie niektórzy studenci złożyli do władz uczelni skargę na prof. Budzyńską, zarzucając jej rzekome narzucanie uczestnikom „ideologii anti-choice, poglądów homofobicznych, antysemityzmu, dyskryminacji wyznaniowej, informacji niezgodnych ze współczesną wiedzą naukową oraz promowanie poglądów radykalno-katolickich".

Na podstawie tego rodzaju twierdzeń Rzecznik Dyscyplinarny Uniwersytetu Śląskiego prof. Wojciech Popiołek prowadził wobec prof. Budzyńskiej postępowanie wyjaśniające w sprawie podejrzenia popełnienia czynów uchybiających godności nauczyciela akademickiego. Profesor Budzyńska złożyła obszerne wyjaśnienia, prezentując jednocześnie materiały wykorzystywane podczas zajęć.

Po zakończeniu postępowania wyjaśniającego rzecznik uznał zarzut rzekomego antysemityzmu naukowca za bezzasadny. W ramach postępowania wykazano, że opowiedziany żart żydowski stanowił jedynie ilustrację kultury słowa powiązanej z kulturowym modelem rodziny. Zresztą podczas prowadzonych zajęć prof. Budzyńska w podobny sposób odwoływała się do żartów śląskich czy greckich. Profesor Popiołek za bezzasadny uznał także zarzut prezentowania podczas wykładu „informacji niezgodnej z aktualnym stanem wiedzy naukowej".

Pomimo tych wniosków Rzecznik Dyscyplinarny wnioskował do Komisji Dyscyplinarnej dla nauczycieli akademickich Uniwersytetu Śląskiego o ukaranie prof. Budzyńskiej dyscyplinarną naganą. Uzasadnieniem takiej decyzji oskarżyciela dyscyplinarnego było stwierdzenie wprost, że ukaranie prof. Budzyńskiej ma być wyrazem „prewencji ogólnej i prewencji szczególnej". Taka argumentacja wskazuje jednoznacznie, że miała to być po prostu forma cenzury prewencyjnej i ideologicznego zastraszania naukowców, którzy nie godzą się na dyktat ideologii i poprawności politycznej.

RAŻĄCE UCHYBIENIA PRZED KOMISJĄ

Następnie Komisja zdecydowała o wszczęciu postępowania dyscyplinarnego wobec socjolog, pomimo oczywistych błędów oraz braków w postępowaniu wyjaśniającym prowadzonym przez Rzecznika Dyscyplinarnego. Profespr Wojciech Popiołek przesłuchał bowiem tylko niektórych studentów spośród tych, którzy złożyli skargę. Dochodziło nawet do takich sytuacji, jak okazywanie świadkowi protokołu z zeznaniami poprzednika oraz wydawanie świadkom protokołów z ich zeznaniami, aby na tej podstawie wyprowadzić wniosek o prawdziwości ich zeznań. Pomimo niewielkiego zakresu czynności

eprasa.pl d3eaad21cf

przeprowadzonych w toku postępowania wyjaśniającego został przekroczony sześciomiesięczny termin, w którym rzecznik powinien je zakończyć. Profesor Popiołek formalnie nie przedstawił też zarzutów prof. Budzyńskiej.

W trakcie postępowania dyscyplinarnego doszło także do niejasnej zmiany całego składu Komisji, w tym członka NSZZ „Solidarność". Komisja Dyscyplinarna oddaliła wszystkie przedstawione przez obrońców prof. Ewy Budzyńskiej wnioski dowodowe. Oznacza to, że dopuszczono wyłącznie wnioski dowodowe złożone przez oskarżyciela dyscyplinarnego. Dwóch członków Komisji Dyscyplinarnej UŚ przychyliło się do wniosku Rzecznika Dyscyplinarnego o ukaranie. W związku z tym, prof. Ewa Budzyńska została ukarana zawnioskowaną karą nagany. Zdanie odrębne złożył jeden z członków Komisji. Orzeczenie Komisji I instancji nie jest prawomocne. Prawnicy Instytutu Ordo Iuris, występujący jako obrońcy socjolog, złożyli odwołanie w tej sprawie.

Utrzymanie orzeczenia uznającego zachowanie prof. Ewy Budzyńskiej jako przewinienie dyscyplinarne może prowadzić do wytworzenia się niezwykle niebezpiecznego precedensu. Oznaczałoby to bowiem znaczące zawężenie granic wolności słowa i badań naukowych, przekładając się tym samym na jakość debaty akademickiej. Strach przed konsekwencjami związanymi z zablokowaniem możliwości dalszego rozwoju kariery naukowej mógłby powodować poddawanie się przez środowisko akademickie ideologicznym naciskom.

REPRESJE ZA OPINIE O PARADACH RÓWNOŚCI

Problemy na uczelni miał również prof. Aleksander Nalaskowski, ówczesny kierownik Katedry Edukacji Dziecka na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W felietonie „Wędrowni gwałciciele", opublikowanym w tygodniku „Sieci", pisał o „gwałceniu" miast, w których odbywają się tzw. marsze równości. Jednocześnie prof. Nalaskowski w tym tekście jasno podkreślał, że osoby praktykujące homoseksualizm mają prawo korzystać ze wszelkich praw przysługujących obywatelom Polski. W swoim felietonie wskazał, że osoby te cieszą się faktycznymi przywilejami, gdyż pozwala się im w ramach „marszów równości" bezkarnie łamać prawo i gorszyć znaczną część społeczeństwa.

Po publikacji tego z felietonu rzecznik dyscyplinarny ds. nauczycieli akademickich Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu wszczął postępowanie wyjaśniające w sprawie podejrzenia popełnienia przewinienia dyscyplinarnego przez prof. Nalaskowskiego.

Istnieje konieczność wprowadzenia przez rządzących odpowiednich gwarancji zachowania wolności naukowej

W związku z rozpoczęciem tego postępowania rektor UMK podjął decyzję o zawieszeniu na okres trzech miesięcy prof. Nalaskowskiego w obowiązkach nauczyciela akademickiego jeszcze na etapie postępowania wyjaśniającego. Uzasadnieniem dla zastosowania tak drastycznego środka na wczesnym etapie postępowania było wskazanie, że na Uniwersytecie nie ma przyzwolenia dla kwestionowania praw człowieka przysługujących wszystkim ludziom niezależnie od orientacji seksualnej, a nauczyciele akademiccy zatrudnieni na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika obowiązani są okazywać szacunek wobec każdego człowieka. Na skutek tej decyzji prof. Nalaskowski miał zakaz nadzorowania opracowywanych przez studentów prac pod kątem merytorycznym i metodycznym, prowadzenia badań naukowych oraz prac rozwojowych, uczestniczenia w pracach organizacyjnych uczelni, kształcenia kadry naukowej, a także pełnienia funkcji kierownika Katedry Edukacji Dziecka.

Na skutek złożonego przez prof. Nalaskowskiego odwołania rektor zmienił decyzję. Jednocześnie władze uczelni poleciły mu zachowanie większej roztropności w formułowaniu tekstów publicystycznych. Później postępowanie wyjaśniające zostało umorzone. Najistotniejszym argumentem przemawiającym za taką decyzją była opinia biegłego z zakresu językoznawstwa i komunikacji społecznej, który stwierdził, że sporny felieton zawierał subiektywne stanowisko autora, poza tym nie umieszczono w nim wypowiedzi, które by znieważały wyodrębnioną grupę osób W późniejszym czasie Komisja Dyscyplinarna UMK, na skutek zażalenia m.in. stowarzyszenia działającego na rzecz osób homoseksualnych, uchyliła decyzję rzecznika o umorzeniu postępowania.

WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ

Przywołane przykłady to jednak tylko niewielka część naruszeń wolności akademickiej w Polsce. W przygotowanym przez Instytut Ordo Iuris raporcie dotyczącym naruszeń wolności akademickiej w Polsce zostało zaprezentowanych kilkadziesiąt najbardziej rażących przypadków represji, których doświadczali pracownicy naukowi w związku z głoszonymi poglądami lub wyznawanym światopoglądem. Wśród nich znalazła m.in. sprawa dr. Tomasza P. Terlikowskiego, który stracił możliwość prowadzenia wykładów z bioetyki po publicznym ataku feministycznej działaczki Wandy Nowickiej czy odwoływanie wykładów i spotkań z amerykańską obrończynią życia Rebeccą Kiessling, która wcześniej wygłaszała odczyty na najlepszych uczelniach świata, w tym Stanford czy Massachusetts Institute of Technology.

Nie ma zaś wątpliwości, że jakakolwiek działalność naukowa jest możliwa bez odpowiedniego zagwarantowania korzystania z konstytucyjnej wolności akademickiej. Sama działalność badawcza – nawet „wolna" – ale pozbawiona możliwości swobodnego ogłoszenia jej wyników czy nauczania, byłaby pozbawiona sensu. Nawet jeśli prezentowane przez naukowca wyniki biadań nie wpisują się w główny nurt poszukiwań w danej dziedzinie, to nie może być on arbitralnie ograniczany w możliwości korzystania z wolności naukowej.

Z pewnością z konstytucyjnego punktu widzenia istnieje konieczność wprowadzenia przez rządzących odpowiednich gwarancji zachowania wolności naukowej, zarówno przed nieuprawnioną ingerencją ze strony władz publicznych, jak i władz poszczególnych uczelni czy jednostek naukowych. Gwarancje te muszą odnosić się do całokształtu wolności nauki, a więc zarówno prowadzenia badań, jak i ogłaszania ich wyników oraz prowadzenia zajęć dydaktycznych.

CO ZROBI MINISTERSTWO?

Odpowiedzią na naglącą potrzebę wzmocnienia wolności nauczania,

eprasa.pl d3eaad21cf

wolności słowa, badań naukowych, ogłaszania ich wyników oraz debaty akademickiej jest właśnie przedstawiony przez ministra edukacji i nauki do prekonsultacji projekt ustawy o zmianie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, czyli tzw. pakiet wolnościowy. Zasadniczy cel projektu, którym jest zagwarantowanie ochrony podstawowych wolności członkom wspólnoty uczelni, a zwłaszcza nauczycielom akademickim, w pełni zasługuje na uwzględnienie.

Zaproponowane rozwiązania zmierzają do podniesienia standardu ochrony przedmiotowych wolności. Zmierzają do realizacji tego celu głównie poprzez uzupełnienie zadań rektora o to, aby czuwał nad zapewnieniem w uczelni poszanowania wolności nauczania, wolności słowa, badań naukowych, ogłaszania ich wyników, a także debaty akademickiej organizowanej przez członków wspólnoty uczelni z zachowaniem zasad pluralizmu światopoglądowego i przepisów porządkowych uczelni.

Ponadto pakiet wolnościowy proponuje określenie negatywnej definicji przewinienia dyscyplinarnego poprzez wskazanie wprost, że wyrażanie przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych nie może stanowić przewinienia dyscyplinarnego. Zagwarantowanie swobody ekspresji swoich przekonań bez obawy o ewentualne reperkusje ze strony władz uczelni umożliwi prowadzenie rzetelnej debaty i poszerzenie horyzontów intelektualnych jej uczestników o nowe perspektywy, co jest niezbędne do uchwycenia złożoności wielu zjawisk występujących we współczesnym świecie.

Proponowane zmiany mają na celu możliwie jak najszybszą reakcję również w sytuacji, gdy pomimo zaistnienia negatywnej przesłanki do wszczynania postępowania wobec nauczyciela akademickiego zostanie ono zainicjowane. W takim przypadku nauczyciel akademicki może zaskarżyć postanowienie o wszczęciu postępowania jeszcze przed przystąpieniem do jego prowadzenia przez rzecznika dyscyplinarnego, co może pozwolić mu w ogóle uniknąć prowadzenia wobec niego czynności w sytuacji, gdy nie ma żadnych przesłanek do uznania, że mogło dojść do popełnienia przez niego deliktu dyscyplinarnego.

Nowelizacja ma również wykluczyć możliwość zawieszenia pracownika naukowego na etapie postępowania wyjaśniającego, który to instrument został wykorzystany choćby wobec prof. Nalaskowskiego.

KONIECZNE GWARANCJE WOLNOŚCI SŁOWA

Instytut Ordo Iuris zarekomendował Ministerstwu Edukacji i Nauki dodatkowe rozwiązania służące jeszcze pełniejszej realizacji celu, jakim jest zagwarantowanie wolności słowa i badań naukowych w przestrzeni akademickiej. Za zasadne należałoby uznać uzupełnienie proponowanych zmian poprzez wskazanie, że obejmują one nie tylko pracowników akademickich, lecz także studentów i doktorantów, jako że również oni tworzą wspólnotę akademicką. Uniwersytet do prawidłowego pełnienia swojej misji musi być przestrzenią, w której wszyscy czują się bezpiecznie. Należy zatem objąć ochroną przed dyskryminacją, wykluczeniem czy cenzurą także studentów, zwłaszcza że w przypadku relacji student–nauczyciel akademicki są oni słabszą stroną. Postulowane przez Instytut Ordo Iuris gwarancje prawne dla studentów i doktorantów mogłyby być wzorowane właśnie na rozwiązaniach mających chronić wolność nauczycieli akademickich.

Bez wolnej debaty akademickiej niemożliwe jest wypełnienie fundamentalnej misji nauki – poszukiwania prawdy

Ponadto istnieje nagląca potrzeba stworzenia także środków prewencyjnych do zapewnienia swobody wyrażania myśli poprzez stworzenie chociażby mechanizmów pozwalających na zwrócenie się ze skargą przez osobę mającą w tym interes w przypadku samego zagrożenia konstytucyjnych wolności i praw. Pełna ochrona wolności słowa w przestrzeni akademickiej powinna pozwalać bowiem na szybką reakcję w przypadku każdej próby cenzury debaty akademickiej. Wykazanie post factum, że kierowane pod adresem zainteresowanego oskarżenia były krzywdzące i bezpodstawne, może być już spóźnione i jako takie niewystarczające.

Instytut Ordo Iuris proponuje również rozszerzenie projektu Ministerstwa Edukacji i Nauki poprzez wprowadzenie mechanizmu, który uniemożliwiłby bezpodstawne i arbitralne blokowanie organizacji wydarzeń akademickich, takich jak konferencje czy wykłady okolicznościowe. Postulowane zmiany obejmują wprowadzenie odrębnych komisji odwoławczych, które byłyby instancją apelacyjną w przypadku odmowy wyrażenia zgody na organizację wydarzeń, takich jak spotkania, debaty, wykłady okolicznościowe oraz konferencje.

POTRZEBNE ZMIANY W FUNKCJONOWANIU KOMISJI

Należy również poddać pod rozwagę skorygowanie projektu pod względem modyfikacji umiejscowienia komisji dyscyplinarnej przy ministrze edukacji i nauki. Być może zasadne byłoby utworzenie komisji odwoławczej działającej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w której skład wchodziliby przedstawiciele najważniejszych organów państwowych. Takie rozwiązanie z jednej strony czyniłoby zadość zachowaniu bezstronności, a z drugiej realizowałoby wymóg dotyczący reprezentacji środowiska naukowego w składach orzekających.

Ważnym postulatem Instytutu Ordo Iuris jest nałożenie na Komisję obowiązku przedstawiania rocznych raportów, które zawierałyby dane dotyczące skali nadużyć wymierzonych w wolność nauczania, twórczości artystycznej, prowadzenia badań naukowych i ogłaszania ich wyników oraz w autonomię uczelni. Takie informacje pozwoliłyby zwiększyć kontrolę społeczną nad tymi instytucjami oraz ocenić efektywność i skuteczność wprowadzanych regulacji.

Podstawą funkcjonowania uczelni jest zapewnienie wolnej debaty akademickiej. Bez niej nie jest możliwe wypełnienie fundamentalnej misji nauki – poszukiwania prawdy poprzez nieskrępowane poznawanie otaczającego świata. Dlatego ustawodawca musi zapewnić skuteczne mechanizmy prawnej ochrony tej wolności przed jakimikolwiek naruszeniami konstytucyjnych gwarancji wolności akademickiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest prawnikiem współpracującym z Centrum Instytucji Procesowej Instytutu Ordo Iuris.

eprasa.pl d3eaad21cf

Wolność spętana tęczową ideologią

Paweł Skrzydlewski

Jeśli nie ma prawdy, to nie ma i nauki. A jeśli nie ma nauki – to istnienie uniwersytetów traci sens. Czy tego chcemy?

Wszeroko pojętej przestrzeni publicznej niewiele jest dziś osób, które jasno dostrzegają istotę, ideowe źródła oraz konsekwencje ideologii LGBT+. Wielu uważa, że ideologia ta jest czymś efemerycznym, zawężonym jedynie do poglądów dotyczących sfery życia seksualnego człowieka, że interesuje się nią niewielka i mało znacząca grupa ludzi. Tak jednak nie jest. Ideologia ta ma swe silne źródła i licznych promotorów. Stanowi dziś podstawę działania nie tylko lewackich ruchów politycznych, lecz także „flirtuje z nią" wielu twórców kultury, dziennikarzy, artystów, a nawet kapłanów Kościoła katolickiego. Znajdziemy ją także na wielu uniwersyteckich wydziałach i to nie tylko naszej ojczyzny. Zmierza ona wszędzie do budowania nowego nie-porządku społecznego, w którym „każdy ma być tym, czym chce". Co ważne – nie toleruje ona sprzeciwu, jest wojownicza, zaś jakakolwiek jej krytyka bywa przedstawiana jako skrajny fundamentalistyczny obskurantyzm, świadczący o braku postępowości i totalitarnych zapędach.

Pojawia się tu pytanie: Kto ma uprawnienia do dokonania rozpoznania tejże ideologii oraz oceny jej skutków? Każdy, komu bliskie są prawda oraz dobro człowieka. Przede wszystkim tejże analizy dokonywać powinny osoby światłe, tworzące uniwersytet, zatroskane o prawdę, o zdrowie intelektualne i moralne osób, rodzin i narodów. Czy jednak to czynią? Czy mają ku temu dostatecznie dużo wiedzy, a przede wszystkim woli? Czy ich analiza i krytyka LGBT+ w ogóle jest możliwa na współczesnym polskim uniwersytecie?

Zważywszy na to, jak wiele dziś pojawia się postępowań dyscyplinarnych wobec uniwersyteckich krytyków LGBT+, udzielenie odpowiedzi na te pytania nie jest sprawą prostą. Można mieć obawy, że na uniwersytetach ideologia ta nie zostanie dostatecznie rozpoznana ani

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

przezwyciężona. Uniwersyteccy krytycy LGBT+ napotykają na wiele barier. Część przeszkód wynika z braku dostatecznej wiedzy, głównie filozoficznej. Nie chodzi bowiem o to, aby dokonywać krytyki stanowisk zawartych w LGBT+ przez zestawienie ich z doktrynami konserwatywnymi, chrześcijańskimi, ale o wykazanie ich bałamutności i fałszu, a co za tym idzie – nieracjonalności i nienaukowości, szkodliwości dla człowieka. To zaś może być uczynione przez pokazanie prawdy o człowieku, jego naturze i właściwym sposobie działania człowieka. Jest to właściwe zadanie filozofii.

Część przeszkód, na które trafiają środowiska uniwersyteckie krytyczne wobec ideologii gender i queer, wynika także z swoistego terroru poprawności politycznej, który na dobre zadomowił się już w akademiach i mocno nastraszył „silnych intelektualnie", lecz słabych moralnie profesorów. Boją się oni ostracyzmu i tego, że zostanie im przyklejona łatka ideologa – nienaukowca, fundamentalisty religijnego, który bezzasadnie konfliktuje akademię i nie pozwala na swobodę głoszenia „tęczowych poglądów". Boją się oni także tego, że rektor może w każdej chwili podziękować za pracę „kontrowersyjnemu" profesorowi. Dominująca bowiem prawie wszędzie poprawność polityczna nakazuje powszechne uznanie tezy, że każdy ma prawo żyć tak, jak chce. A zatem dlaczego poruszać intymne życie jednostek, dlaczego przedstawiać ich zasady działania jako niewłaściwe, niemoralne, a nawet zboczone i patologiczne, sprzeczne z prawem ludzkim i naturalnym, prawem Bożym? Dlaczego w ogóle zwracać uwagę na tę ideologię i tworzoną w jej ramach praktykę życiową? Poprawność polityczna skłania, by nie robić nic i pozwalać na wszystko, w nadziei, że sprawy same ułożą się korzystnie. Jednakże taka postawa rozzuchwala środowiska LGBT+ i pozwala na obecność ich propagandy w przestrzeni publicznej.

Zauważmy również, że wiele społeczności akademickich wprost wyraża przekonanie, że rektor powinien usunąć z grona profesorów i wykładowców tych, którzy są „głosicielami istnienia niezmiennej i wiążących osobę ludzką prawd i zasad", na rzecz tych wszystkich, którzy twierdzą, że każdy ma swoją rację i prawdę – bo tego wymaga ludzka wolność i godność, a prawdy jednej i stałej nie ma. Uniwersytet tworzony przez takich „profesorów" byłby nie tylko przyjazny wszelkiej „wolności", lecz także samej ideologii LGBT+.

ILUZJA WOLNOŚCI I SZACUNKU

Skrajna część przedstawicieli LGBT+, reprezentowana przez tzw. ruch queer, twierdzi, że sam człowiek nie ma natury, nie ma stałej istoty, stanowiącej zasadę i kryterium jego działania. Nie ma on także przyrodzonej płci, a jedyną jego zasadą działania jest zrodzone w nim pragnienie i popęd. Pójście za pragnieniem i popędem to jedyna powinność człowieka, który niestety ciągle bywa „ujarzmiany" przez zewnętrzne w stosunku do niego społeczeństwo wraz z obecnymi w nim normami i zasadami. Stanowią one źródło konfliktu i gwałtu na wolnej jednostce, są źródłem wszelkiego nieszczęścia. Społeczność bowiem, a w sposób szczególny władza społeczna, polityczna, religijna, starają się wytworzyć w jednostce „ja", czyli jej trwałą tożsamość. Tożsamości tej – zdaniem zwolenników queer – nie ma, nie było oraz nie będzie. Jej istnienie było jedynie postulowane tam, gdzie była silna władza, religia oraz metafizyka. Dla zwolenników queer progres przenikający wszystko zniósł przekonanie o istnieniu stałych. Nie ma zatem stałości, nie ma konieczności, nie ma norm i zasad, jest tylko uwikłana w język, w historię subiektywna narracja, która ostatecznie wszystko przenika. Dlatego człowiek jest tym, kim w danej chwili bywa i chce być, ulegając ciągłym zmianom.

Uniwersyteccy krytycy LGBT+ napotykają wiele barier. Część przeszkód wynika z braku dostatecznej wiedzy, głównie filozoficznej

Dla ideologii LGBT+ inność i zmienność to kategorie wiodące, naczelne i zarazem ukazujące, że wszystko wolno. Z tej racji twierdzi się tu, że nie ma ani stałych norm, ani kryterium dobra lub zła ludzkiego zachowania. Wszystko jest dobre, dowolne, normalne, właściwe i to w każdej sferze. Z tej racji należy akceptować i rozpowszechniać wszelkie formy pożycia seksualnego. Twierdzi się tu, że wszystkie one były „prześladowane przez mijającą społeczność", lecz w przyszłości staną się czymś powszechnym, doprowadzając ostatecznie człowieka do jego wyzwolenia z okowów norm, zasad, praw. Jednocześnie twierdzi się, że ograniczenia te nigdy nie miały obiektywnej podstawy, nie były uzasadnione czymś realnym, lecz były jedynie przemocą, opresją i próbą manipulacji, brutalną narracją zniewolenia jednostek po to, by je wykorzystać.

Zauważmy, że ta koncepcja to część narracji, którą queer zapożyczył od postmodernistów, radykalnego feminizmu oraz zwolenników multikulturalizmu cywilizacyjnego, a także freudyzmu i neomarksizmu. Nowy świat, jaki ma przynieść ideologia LGBT+, jest świa-

eprasa.pl d3eaad21cf

tem bez granic, bez narodów i państw, bez rodzin, bez zasad i praw, nawet bez „ja", bez płci oraz bez Boga! Dopiero taki świat miałby dawać wszystkim pełną równość, wolność.

REWOLTA I RUINA

Uwzględniając powyższe twierdzenia zwolenników queer, bez trudu dostrzeżemy, że nie tylko stanowią one swoisty rewolucyjny zaczyn, zmierzający do ruiny całego życia społecznego, że stoją one w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, że kłócą się z personalistycznym i realistycznym obrazem człowieka, powstałym w filozofii klasycznej, lecz także widzimy, że stoją w sprzeczności z nakazem, który odnajdziemy w Piśmie Świętym, a mówiącym człowiekowi, by „rozmnażał się i czynił sobie ziemię poddaną".

Nowy człowiek ma przede wszystkim eksploatować swoje przyjemnościowe pragnienia, żądze. Ostatecznie zatem ideologia ta głosi jakąś formę samozbawienia, samospełnienia człowieka. Jak wszystkie naturalizmy i ewolucjonizmy widzi w człowieku czasowy i niezbyt cenny produkt przemian przypadkowych czynników materialnych, produkt, dla którego dobrem najważniejszym jest rozkosz ciała. Dlatego człowiek nie może tu ulegać zniewalającej alienacji wynikającej z oddziaływania rodziny, religii, społeczeństwa czy władzy, nie może być „ujarzmiany" czymkolwiek i redukowany do „kogokolwiek".

Dla queer wyzwolenie i spełnienie jednostek wymaga nieistnienia wszystkiego, co do tej pory było w kulturze i życiu społecznym. Na ruinach starego świata powstanie i już zawsze będzie trwać „świat nowy", w którym „każdy będzie tym, kim zechce", przy czym trzeba zaznaczyć, że ludzka płodność jest raczej przekleństwem niż dobrodziejstwem, bo ogranicza wolność jednostkom. Z tej racji ostatecznie ideologia ta wzmocniona wątkami ekologizmu i doktryn depopulacyjnych wydaje się zamykać w zawołaniu: „Bądź, czym chcesz, ale lepiej, żebyś nie był i żebyś nie przekazywał życia"; pomożesz w ten sposób swej jedynej matce Ziemi!

JAK PRZEZWYCIĘŻYĆ IDEOLOGIĘ LGBT+?

Należy dostrzec, że ostatecznie realnym skutkiem zastosowania ideologii LGBT+ okazuje się destrukcja człowieka, jego naturalnych, racjonalnych form ludzkiego życia i działania, podważenie sensowności cywilizacyjnego ładu świata zachodniego oraz unicestwienie jednego z najważniejszych miejsc w kulturze Zachodu – czyli uniwersytetu. Co ważne, ideologia ta uderza również wprost w to, co dla osoby ludzkiej najważniejsze: więź z Panem Bogiem, bez której nie może się dokonać ostateczne spełnienie osoby ludzkiej. Rujnuje ona najważniejszą ludzką wspólnotę, którą jest rodzina, a przede wszystkim zabiera człowiekowi źródło jego siły i tożsamości, którymi są prawy rozum i prawa wolna wola.

Nowy człowiek ma przede wszystkim eksploatować swoje przyjemnościowe żądze. Ideologia ta głosi zatem jakąś formę samozbawienia

Przyjrzyjmy się temu, co logicznie wypływa z postulatów LGBT+. Zauważmy, że na gruncie stanowiska związanego z tzw. queer nie można rozwijać swego rozumu, bo zakłada się wprost, że nie ma prawdy, będącej przecież tym, co rozum ludzki doskonali. Jeśli nie ma prawdy i wszystko ulega zmianie, to nie ma również wartościowego ludzkiego poznania, spełniającego się przez naukę. Bez nauki nie ma sensu istnienie uniwersytetów, które przecież są wspólnotami ludzi uczonych, rozmiłowanych w nauce i prawdzie, dzielących się prawdą i tworzących fundamenty dla ludzkiej kultury, edukacji, wychowania.

Wreszcie nie ma sensu sama kultura jako dzieło wolnej i rozumnej działalności człowieka, bo nie ma autentycznej rozumności ludzkiej i wolności, zaś trwałe formy kulturowe nie są faktycznie trwałe, a ich oddziaływanie na człowieka jest „ujarzmiające", destrukcyjne i likwidujące w jednostce bogactwo hedonistycznych doznań. Kultura zatem, podobnie jak zorganizowana społeczność wraz ze swymi instytucjami oraz z wszelkim systemem władzy nie powinny istnieć. Oto konkluzje, do których przychylają się liczni zwolennicy gender i queer.

Nie jest rzeczą trudną wykazywać absurdalność głównych tez zwolenników LGBT+. Czy jednak wskazywanie sprzeczności i absurdalności ma dla nich jakieś znaczenie? Nie – bo dla większości z nich liczy się tylko ich własne stanowisko i własna zmysłowa satysfakcja. Chory jest u nich nie tylko rozum, lecz także wola, zdeprawowana niemoralnością. Nielogiczność jest zarzutem tam, gdzie uznaje się wartość racjonalności ludzkiej, rozumu poznającego prawdę, gdzie szanuje się wreszcie samą prawdę i dostrzega się jej źródło w postaci istnienia obiektywnego świata i jego praw. Prawda jako wynik uzgodnienia intelektu z rzeczywistością – nie ma dla nich wartości, nie ma wartości także ład świata, jego piękno i dobroć. Co zatem jest potrzebne, aby dać skuteczny odpór ideologii gender i queer?

W pierwszej kolejności diagnoza tego, czym jest ta ideologia, co się na nią składa oraz jakie ma faktyczne zadania. Diagnozy tej może dokonać tylko filozofia realistyczna, metafizyczna, prawdziwie wolna i otwarta na prawdę świata. Jeśli ona zagości na uniwersytetach, jeśli jej głos usłyszą uczeni profesorowie oraz studenci, to jest wielka szansa, że absurdalność i destrukcyjny wymiar LGBT+ zostaną obnażone i jako takie odrzucone.

Pomocą może tu także być rozumne i nowe prawo odnoszące się nie tyle do wolności uniwersytetu i wolności wypowiedzi na uniwersytecie, ile obejmujące zakaz propagowania antyludzkich i fałszywych ideologii szkodzących człowiekowi. Wszak słusznie Konstytucja RP z 1997 r. w art. 13 informuje nas, że „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa". Zakaz ten ma jedno zasadnicze źródło: afirmację dobra ludzkiego i jego ochronę przed złem. Aby jednak dostrzec zło i je odrzucić, trzeba zgodzić się na to, że jest natura ludzka, że możemy ją poznać, że stanowi ona podstawę i kryterium oceny naszych działań. Czy zdobędziemy się na to?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

LGBT na polskich uczelniach. Raport

Na polskich uczelniach trwa kulturkampf. Jakie są tego źródła i jakie efekty?

Grzegorz Kucharczyk

Na początek trzy z wielu obrazków przechodzącej przez nasze uczelnie (czy szerzej – środowisko naukowe) wojny kulturowej. W 2019 r. władze Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, zaalarmowane przez politycznie „uświadomionych" studentów wszczęły postępowanie dyscyplinarne wobec profesora tej uczelni – dr hab. Ewy Budzyńskiej. Została ona oskarżona o szerzenie „ideologii anti-choice, poglądów homofobicznych, antysemityzmu, dyskryminacji wyznaniowej, informacji niezgodnych ze współczesną wiedzą naukową oraz promowanie poglądów radykalnie katolickich". W ten sposób określono przypominaną na zajęciach przez prof. Budzyńską definicję rodziny jako trwałego związku kobiety i mężczyzny otwartego na prokreację, informowanie, że zgodnie ze stanem najnowszej wiedzy medycznej i biologicznej „płód" w fazie prenatalnej jest istotą ludzką i w związku z tym tzw. aborcja jest uśmierceniem człowieka. „Radykalnie katolickie" okazało się przypominanie danych naukowych odnoszących się do lepszych możliwości rozwojowych dzieci wychowywanych w domu, a nie w żłobkach.

Rzecznik dyscyplinarny UŚ (prof. W. Popiołek) przychylił się jednak do argumentacji delatorów i wszczął postępowanie, oskarżając dr hab. Budzyńską o „formułowanie wypowiedzi w oparciu o własny, narzucany studentom światopogląd o charakterze wartościującym, stanowiących przejaw braku tolerancji wobec grup społecznych i ludzi o odmiennym światopoglądzie, nacechowanych wobec nich co najmniej niechęcią, w szczególności wypowiedzi homofobicznych, wyrażających dyskryminację wyznaniową, krytycznych wobec wyborów życiowych kobiet, dotyczących m.in. przerywania ciąży".

Profesor Budzyńska była w tej komfortowej sytuacji, że gdy zaczynała się jej „sprawa", osiągnęła już wiek emerytalny i w związku z rozpoczętą nagonką odeszła z pracy na uczelni. Jednak jej „sprawa" została potraktowana przez promotorów tolerancji i postępu jako ostrzeżenie dla innych, którzy pracując na uniwersytecie, ośmieliliby się mieć własny światopogląd. W marcu 2021 r. orzeczono wobec niepracującej już na UŚ socjolog dyscyplinarną karę nagany.

W 2020 r. Wojciech Murdzek, który objął tekę ministra nauki i szkolnictwa wyższego po odejściu z rządu Jarosława Gowina, zaanonsował rektorom wszystkich wyższych uczelni w Polsce objęcie przez siebie urzędu specjalnym listem, który był opatrzony mottem wziętym z prologu do encykliki „Fides et ratio" (1998) św. Jana Pawła II. Przypomnienie w ten sposób, że „wiara i rozum są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy", spotkało się z falą hejtu w Internecie. Intencję „zamiany uczelni na salki katechetyczne" zarzucali nowemu ministrowi również akademicy. Szczególnie gorliwi byli ci zaangażowani w działalność rozmaitych centrów „do walki z uprzedzeniami". Z pewnością do grona tych ostatnich nie zaliczali antykatolickiej fobii.

Jeszcze jeden obrazek z 2020 r. Latem nakładem wydawnictwa Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk ukazała się książka „Gender – projekt nowego człowieka?". Ta zbiorowa praca była plonem konferencji naukowej zorganizowanej w 2014 r. na Wydziale Historycznym UAM. Lokalna wersja „Gazety Wyborczej" i postępowa młodzież studiująca postanowiły nadrobić to niedopatrzenie (takie poglądy na uniwersytecie?!) sprzed lat. Hejt wylał się na autorów rzeczonej publikacji. Niektórzy z nich (np. prof. Jacek Kowalski) zetknęli się z rezultatami wzmożonej czujności studentów-delatorów, namawiających władze UAM „do wyciągnięcia konsekwencji" wobec uczonego. Recenzent wydawniczy książki (dr hab. Adam Czabański, socjolog zatrudniony na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu) również spotkał się z ostracyzmem „środowiska" na swojej uczelni, które grzecznie mu wytłumaczyło, aby „nie spieszył się" – mimo znaczącego dorobku naukowego, cytowań, wypromowanych doktorów etc. – z ubieganiem się o profesurę (na początek uczelnianą). Dostało się również PTPN, oskarżonemu o to, że wydając „taką" publikację, szarga ponad półtorawiekową tradycję tej zasłużonej dla polskiej kultury instytucji.

KULTURKAMPF, CZYLI CO?

Nie wiadomo, czy autorzy poznańskiej „akcji protestu" przeciw opublikowanej w PTPN naukowej książki, zdawali sobie sprawę, że wchodzą w dobrze przechodzone (zwłaszcza nad

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

Wartą) buty kulturkampferów. Oryginalny, bismarckowski Kulturkampf był wdrażany przez bezwzględną w swoim poszanowaniu dla „państwa prawa" administrację pruską. Jednak zaplecze intelektualne i polityczne w parlamentach (pruskim i niemieckim) dla Kulturkampfu zapewniali liberałowie, którzy od dziesięcioleci przyzwyczajali „oświeconą" opinię publiczną nad Renem, Sprewą i Pregołą, że katolicyzm oznacza zacofanie, zastój, organiczną niechęć do postępu. A więc walka z katolicyzmem jest działaniem promodernizacyjnym. Dzięki temu więcej będzie lokomotyw, dróg bitych i mniej epidemii (już w 1848 r. młody Rudolf Virchow – w przyszłości popularyzator słowa „kulturkampf" – stwierdził, że za epidemią cholery na pruskim Śląsku stoi katolicyzm mieszkańców tej prowincji).

Taki sposób myślenia szczególnie rozpowszechniony był wśród niemieckiego wykształconego mieszczaństwa (Bildungsbürgertum) i na uniwersyteckich katedrach, a więc wśród „osób wykształconych z dużych ośrodków miejskich". Brzmi znajomo? W istocie bowiem siatka pojęciowa antykatolickich „wojen kulturowych" – także tych toczonych na uczelniach – niewiele dzisiaj odbiega od XIX-wiecznego wzorca. W obu przypadkach mamy do czynienia z tą samą „antykatolicką paranoją" (M.B. Gross), z tym samym iście manichejskim ujęciem rzeczywistości: po jednej stronie postęp, modernizacja, edukacja, a po drugiej – zacofanie, zabobon, przesądy.

Różnica polega na tym, co kulturkampferzy rozumieli wtedy i co rozumieją dzisiaj, używając pojęcia „postęp" czy „modernizacja". Z pewnością ani Virchowowi, ani Bismarckowi czy jego ministrowi ds. wyznań Adalbertowi Falkowi nie przyszłoby do głowy coś takiego jak ideologia LGBT czy operowanie pojęciami typu „płeć kulturowa". Obecnie „mądrość etapu" już jest, jak wiadomo, zupełnie inna.

DZIEDZICTWO „TRANSFORMACJI"

Skąd się wzięli działający teraz na naszych uczelniach kulturkampferzy? Szukając odpowiedzi na to pytanie, trzeba cofnąć się do początków III Rzeczypospolitej. „Transformacja" oznaczała również brak rozliczeń w newralgicznych dla funkcjonowania każdego państwa sektorach, takich jak wymiar sprawiedliwości oraz szkolnictwo wyższe. To ostatnie jest miejscem kształcenia przyszłych elit, w tym także nauczycieli, którzy edukować będą przyszłych abiturientów, którzy w swoim czasie rozpoczną studia wyższe.

Podobnie jak w sądach wszystko miał załatwić upływający czas alias biologia. Nie przewidziano (albo widzieć nie chciano), że odchodzący z tego świata „starzy mistrzowie marksizmu-leninizmu" tajnie i jawnie współpracujący z komunistycznym reżimem, pozostawią po sobie uczniów, a właściwie „wasali" (zważywszy na feudalizm panujący w naszej nauce). Ci zaś swojego „seniora" nie będą przecież delegitymizować, bo w ten sposób sami postawiliby pod znakiem zapytania wartość własnej kariery naukowej, której poszczególne szczeble pokonywali z mniej lub bardziej „niewielką pomocą" swoich patronów.

Wielu z „seniorów" wchodziło w okres „transformacji" złamanych przystąpieniem przed 1989 r. do umowy „kariera/wyjazdy za legitymację partyjną". Oportunizm stwarzał zaś nadzwyczaj podatny grunt dla relatywizmu. Jeśli ktoś zastanawia się, jak to się stało, że po czerwcu 1989 r. wielu dotychczasowych specjalistów od „podstaw marksizmu-leninizmu" albo „ekonomii politycznej socjalizmu" z dnia na dzień stało się propagatorami zachodniego postmodernizmu oraz innych intelektualnych owoców „rewolucji 1968 r.", to powinien zapoznać się ze słowami, które we wrześniu 1980 r. padły z ust kard. Stefana Wyszyńskiego.

Prymas Tysiąclecia, odnosząc się do zjawiska masowego zapisywania się

eprasa.pl d3eaad21cf

do partii komunistycznej dla kariery (fenomen charakterystyczny zwłaszcza w gierkowskiej dekadzie lat 1970–1980), stwierdzał: „Nieprawda wobec Boga i zasad moralnych chrześcijaństwa rzutuje na życie rodzinne, społeczne, na obowiązki gospodarcze i na życie całego Narodu. Nie trzeba się dziwić temu, co dzisiaj jest. Ateizm propagowany oficjalnie nie jest jedyną, ale przeważającą przyczyną naszej niedoli. Podważanie zasad moralnych i religijnych musiało doprowadzić do relatywizmu, do postawy względności w każdym niemal człowieku, który się temu poddał, chociażby tylko oficjalnie, a prywatnie wierzył. Kto wie, czy nie jest nawet jeszcze gorsza w następstwach taka dwulicowość i dwutorowość, jak gdyby człowiek chciał służyć Bogu i mamonie, zwłaszcza gdy taka sytuacja utrwali się" (Warszawa, 24 września 1980).

Jakich uczniów byli w stanie wychować ukształtowani w takim klimacie duchowym oraz intelektualnym profesorowie bez „chrząstek duszy i włókien sumienia"? Czy byli w stanie nauczyć ich wartości, takich jak posiadanie własnego światopoglądu, który nie powinien być przedmiotem negocjacji? A przecież należy jeszcze uwzględnić fakt uwikłania sporej części kadry akademickiej w tajną współpracę z bezpieką. W wielu przypadkach tłumaczy ona szybką ścieżkę wydawniczą (w czasach, gdy papier był reglamentowany, wydanie książki samo w sobie było osiągnięciem) oraz sprawne pokonywanie kolejnych szczebli kariery akademickiej.

Jacy mistrzowie, tacy uczniowie. Oportuniści, którzy po 1989 r. skorzystali z szansy, by zrobić pełen użytek ze swojego relatywizmu,

„Dzieci" i „wnukowie" oportunistów epoki „transformacji" alergicznie reagują na wspominanie o „wierze i rozumie"

zastępując w przypisach MELS (Marks, Engels, Lenin, Stalin) Derridą, Foucaultem czy Judith Butler, wśród swoich studentów mieli przyszłych nauczycieli, którzy w liceach nauczać będą czytelników Slavoja Žižka oraz teoretyków „studiów postkolonialnych, feministycznych" i „nowej szkoły badań holokaustu".

„Dzieci" i „wnukowie" oportunistów/relatywistów epoki „transformacji" (ileż wtedy było „przewrotów kopernikańskich"!) alergicznie reagują więc na wspominanie przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego o „wierze i rozumie". Abominację budzi nie tylko wiara, lecz także coraz częściej rozum, skoro przepustką do lukratywnych i wysoko punktowanych grantów jest złożenie akcesu do ideologii urągających nie tylko rozumowi, lecz także zdrowemu rozsądkowi po prostu. Tak wygląda dzisiaj „zapisanie się do partii".

CORAZ WIĘCEJ MITÓW, CORAZ MNIEJ WOLNOŚCI

„Kontemplacja prawdy"? Przecież prawdy już nie ma. Jak zauważa Chantal Delsol, zastąpiły ją mity. Francuska uczona pisze w „Czasie wyrzeczenia", że „systemy myślowe bez prawd są – paradoksalnie – nietolerancyjne. Społeczeństwo mitów jest bardzo zrytualizowane, bo rytuały zastępują fundamenty. […] w naszych społeczeństwach trzeba uiścić trybut równości, niedyskryminacji, ustalonej interpretacji praw człowieka pod karą marginalizacji. W świecie »pometafizycznym« konsensus, czyli niemal powszechna zgoda, zastępują prawomocność, której nie ma, i to w imię tegoż konsensusu (rzeczywistego bądź zakładanego) stosuje się przymus".

Święty Jan Paweł II w „zakazanej" encyklice o wierze i rozumie ujął to jeszcze lapidarniej: „Prawda i wolność albo istnieją razem, albo razem marnie giną".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

Homoseksualizm – rewolucja oparta na kłamstwach

ks. Paweł Bortkiewicz TChr

Ci, których rzekomo się dyskryminuje, są dziś często opresorami. A kłopoty mają ci, którzy chcą podejmować działania terapeutyczne

Był więc tylko jeden kruczek – paragraf 22 – który twierdził, że troska o życie w obliczu realnego i bezpośredniego zagrożenia jest dowodem zdrowia psychicznego. On był wariatem i mógł być zwolniony z lotów. Wystarczyło, żeby o to poprosił, ale gdyby to zrobił, nie byłby wariatem i musiałby latać nadal. On byłby wariatem, gdyby chciał latać dalej, i byłby normalny, gdyby nie chciał, ale będąc normalny musiałby latać. Skoro latał, był wariatem i mógł nie latać, ale gdyby nie chciał latać, byłby normalny i musiałby latać". To fragment słynnego „Paragrafu 22" Josepha Hellera. Angielski tytuł książki „Catch-22" oznacza zarówno paragraf, jak i kruczek. Istotnie bowiem wspomniany „paragraf 22" stanowi kruczek prawny i logiczny. Opisany i przedstawiony w kontekście drugiej wojny światowej wciąż jest aktualny. Wydaje się, że jednym z bardzo konkretnych, choć chyba niepodejmowanych w analizie, obszarów jego uaktualnienia jest teoria gender i jej istotna składowa, którą jest promocja homoseksualizmu.

W świetle ideologii gender – szeroko rozumianej – płeć jest konstruktem kulturowym, a wybór płci jest wolnością stanowiącą sprzeciw wobec „reżimu prawdy". A zatem dozwolony, wręcz promowany jest każdy akt, który wiąże się ze zmianą płci bądź orientacji seksualnej. Przejście z pozycji heteroseksualnej na nieheteroseksualną jest wyrazem takiej wolności. Okazuje się jednak, że w tej ekspresji wolności jest pewien haczyk. Kiedy bowiem homoseksualista może być poddany terapii, która dokona zmiany jego orientacji, takie działanie staje się wyrazem nie wolności, ale ewidentnej dyskryminacji.

Rola homoseksualisty jest zatem rolą niezwykle skomplikowaną. Jeżeli deklaruje swoją orientację jako niezmienną, spetryfikowaną, to w gruncie rzeczy zaprzecza samej istocie ideologii, której jest wyznawcą. Bo przecież jest to ideologia mówiąca o płynności orientacji seksualnych i swobodzie jej wyboru. Jeżeli jednak chciałby postępować zgodnie z tą ideologią i dokonywać zmiany orientacji na heteroseksualistę, to wówczas – w najlepszym wypadku – może zyskać co najwyżej status ofiary dyskryminacji.

Inaczej jeszcze ujmując, tocząca się dyskusja o możliwości bądź niemożliwości terapii osób homoseksualnych, stanowi potężny przypis do paragrafu 22. Ci, którzy chcą stosować za przyzwoleniem zainteresowanych ową terapię, są bezwzględnie dyskryminowani i niejednokrotnie penalizowani.

Wraz z tym działaniem pojawiają się, rzecz jasna, głosy domagające się wy-

eprasa.pl d3eaad21cf

kazania skuteczności terapii. Jak jednak wykazać można skuteczność i efektywność terapii, skoro jest ona całkowicie lub niemal całkowicie blokowana? W takiej sytuacji pojawiają się głosy triumfu – „ta terapia jest po prostu niemożliwa", „jest wymysłem opresyjnych umysłów dyskryminatorów".

W efekcie trwa niekończący się dyskurs – z jednej strony środowiska homoseksualne podkreślają w sposób wręcz dogmatyczny, że homoseksualizm nie jest ani zaburzeniem, ani chorobą, ani jakąkolwiek anomalią, w związku z czym nie może podlegać żadnej korekcie terapeutycznej. Druga strona sporu wskazuje, że orzeczenie o tym, iż homoseksualizm przestał być uznawany za chorobę bądź zaburzenie, jest arbitralną decyzją niepopartą ani badaniami, ani rzetelną dyskusją naukową.

ARGUMENTACJA „Z AUTORYTETU"

Na czym opiera się odrzucenie homoseksualizmu jako zaburzenia lub choroby? Najkrócej chyba można określić, że opiera się na argumentacji z autorytetu. Zwykło się wymieniać tutaj dwa fakty. Po pierwsze, odrzucenie w 1975 r. przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA) homoseksualizmu z klasyfikacji zaburzeń psychicznych. Dokonało się ono drogą głosowania, większością przyjętych wówczas głosów. Oczywiście, jak łatwo się domyśleć, samo głosowanie było wynikiem dyskusji i przedstawianych w trakcie tej dyskusji argumentacji. Drugim argumentem przywołującym autorytet – i to argumentem o charakterze rozstrzygającym – jest usunięcie homoseksualizmu z listy chorób przez WHO w 1990 r. Jak zauważają zwolennicy i komentatorzy tego zdarzenia, dokonało się to, ponieważ homoseksualizm po prostu nie mieścił się ani w definicji choroby, ani zaburzenia. Sławomir Jakima, redaktor naczelny „Seksuologii Polskiej", pisma naukowego Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego w jednym z wywiadów stwierdził, że „zdrowie seksualne, według WHO, polega na równych i odpowiedzialnych relacjach partnerskich, satysfakcji seksualnej, wolności od chorób, niesprawności seksualnej, przemocy i innych krzywdzących praktyk związanych z seksualnością. Homoseksualizm spełnia zasady normy partnerskiej, która zakłada dojrzałość osób wchodzących w interakcję seksualną, obustronną zgodę i akceptację, dążenie ku obustronnej rozkoszy, nieszkodzenie partnerom, zdrowiu i społeczeństwu". Oczywiście analiza krytyczna orzeczeń WHO wymagałaby wnikliwości, czasu i miejsca. Niemniej warto zauważyć, że oprócz preferowanego przez WHO rozumienia zdrowia (ogólnej definicji zdrowia) istnieje ok. 120 innych alternatywnych definicji tegoż pojęcia. Samo pojęcie „zdrowia seksualnego" przywołane przez redaktora Jakimę, wymagałoby także bardzo precyzyjnego określenia. Jest to pojęcie bowiem cokolwiek enigmatyczne, a lapidarne informacje internetowe podają, że pojęcie to pojawia się w dokumentach WHO w roku 2002, zatem cokolwiek później niż orzeczenie z roku 1990. Można wreszcie zastanawiać się nad metodologią takiego orzecznictwa, w którym mierzy się dane zjawisko normą subiektywnie ustanowioną przez dokonującego pomiar.

Warto zatem zwrócić uwagę na pierwszy etap owego usunięcia homoseksualizmu z listy chorób czy zaburzeń dokonany w 1975 r.

Analiza tamtego zabiegu jest o tyle godna zauważenia, że twierdzi się, iż Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne wykreśliło homoseksualizm z listy chorób, bazując na wielu obiektywnych i rzetelnych badaniach naukowych, dokonując tego w sposób wolny od jakichkolwiek nacisków zewnętrznych. Problemem jest to, że rzeczywistość mija się z tymi informacjami.

Sławetne głosowanie zostało przeprowadzone w oparciu o dwa studia E. Hooker oraz Robins i Sanghir. Obie prace mogą stanowić wzorcowe przykłady nadużyć metodologicznych dotyczących na przykład celowego doboru osób badanych (konkretnie oznaczało to np. wyłączenie wszelkich osób wykazujących cechy psychopatologii), naruszania procedur eksperymentalnych czy ignorowania wyników własnych wcześniejszych badań (Robins i Sanghir).

Jeśli zaś idzie o swobodę w podejmowaniu decyzji, to trzeba nadmienić, że już od roku 1968 aktywiści gejowscy manifestowali na zebraniach komisji taksonomicznej Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, domagając się uczestnictwa w spotkaniach, na co w końcu wyrażono zgodę. Intrygujące w tym czasie były także wydarzenia stanowiące podkład pod swoiste ekspertyzy dla potrzeb APA. I tak na przykład w 1971 r. APA zdecydowało się na zorganizowanie w czasie Kongresu Psychiatrów Amerykańskich dyskusji panelowej. Wśród uczestników tej dyskusji był jedyny w grupie psychiatra Robert Spitzer, występujący jednak wyłącznie jako moderator dyskusji, której uczestnikami byli tylko homoseksualiści. Trudno jest uznać w tej sytuacji czynione ekspertyzy bądź przyczynki do pracy APA jako spełniające elementarne normy bezstronności i obiektywności.

PRESJA

Być może to właśnie presja aktywistów homoseksualnych, różnych grup nacisku, wspieranych przez lewicowe organizacje, hojnie udzielające stosownych funduszy, doprowadziły do takiego wyniku głosowania. O tym, że nie jest to wyłącznie bezpodstawna hipoteza, świadczy praca D. Schmierera i L. Gilberta „Zdążyć przed... Zapobieganie homoseksualnym postawom wśród młodzieży". Autorzy dowodzą w niej, że analogiczna ankieta przeprowadzona pięć lat później wśród członków APA wykazała, że 68 proc. z nich uważa homoseksualizm za chorobę – zaburzenie. Gdyby tak było, to można to uznać za dowód wskazujący na siłę presji na głosowanie z roku 1975. Ważną metodą w stosowaniu tej presji było wzbudzanie poczucia winy za karanie homoseksualistów w wiekach poprzednich.

Skoro zatem najpierw APA locuta, causa finita, a potem ostatecznie WHO locuta, causa finita, homoseksualizm przestał być chorobą bądź zaburzeniem… Niestety, takie orzeczenia nie mają realnej mocy sprawczej. Niezależnie od tego, czy stwierdzimy, że nowotwory nie istnieją, nadciśnienie nie jest chorobą, a pedofilia dewiacją seksualną, fakty te niestety występują.

Konsekwencją paragrafu 22 jest radykalne zatarcie różnicy między zdrowym psychicznie a chorym psychicznie. Konsekwencją współczesnych presji lobby homoseksualnego jest nieoczekiwana zamiana ról – ci, którzy przedstawiają się jako wciąż dyskryminowani, niejednokrotnie występują w roli opresorów. Ci zaś, którzy kierując się potrzebą pomocy terapeutycznej, podejmują swoje działania, traktowani są jako dyskryminatorzy. Wydaje się tworzyć to sytuację bez wyjścia, chyba że przywrócimy staromodne pojęcia normy i patologii, prawdy i kłamstwa, dobra i zła. Przyznajmy, pojęcia zdecydowanie niepoprawne politycznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Integralną częścią Polskiego Ładu jest reorganizacja służby zdrowia. Jednym z jej kluczowych punktów jest powołanie Agencji Rozwoju Szpitali, która ma koordynować ich działalność. Pan ostro krytykuje ten pomysł, mówiąc, że tworzy to nowy układ zamknięty.

ANDRZEJ SOŚNIERZ: Przyznam, że wiele lat funkcjonuję w służbie zdrowia, ale nie przeczytałem nic gorszego niż ten pomysł. Ministerstwo podpiera się raportem jakiegoś zespołu, choć nie mam pewności, czy członkowie tego zespołu w pełni zrozumieli, co tam napisali, bo raport służy głównie temu, żeby udowodnić, po co powołać agencję, a nie po to, żeby cokolwiek rozwiązać w służbie zdrowia. Czytając raport, można odnieść wrażenie, że głównym problemem służby zdrowia jest zadłużenie szpitali, gdy tymczasem są nim sprawy organizacji i funkcjonowania całego systemu, a nie zadłużenie. Najważniejsze jest, żeby system dobrze funkcjonował dla pacjentów, był skuteczny. Wszystko, co przedstawiono w raporcie, na który powołuje się resort zdrowia, ma udowodnić, że trzeba stworzyć agencję, która zajmie się unowocześnianiem szpitali. Powtarzam: głównym problemem polskiej służby zdrowia nie jest to, że szpitale są nieremontowane czy też niedoposażone. Jeśli chodzi o aparaturę, to szpitale i cała służba zdrowia są dość dobrze wyposażone. Rzeczywisty problem jest z funkcjonowaniem całości systemu. Dlaczego nazywam to układem zamkniętym? Powstanie agencja. Ta agencja przejmie pieniądze, a potem będzie mogła przejmować szpitale w częściowe lub trwałe zarządzanie. Zarządzać tymi szpitalami będzie korpus menedżerski wyszkolony, certyfikowany i oddelegowywany przez tę agencję. Kierownictwo agencji i korpus menedżerski, czyli 100, może 200 osób będą dysponowali kilkoma miliardami złotych pochodzącymi z budżetu i funduszy pomocowych.

Agencja ma być spółką akcyjną...

Tak, to będzie spółka akcyjna. W związku z tym te pieniądze będą wydawane już nie zgodnie z regułami prawa budżetowego, tylko tak jak w spółkach. Generalnie ta niewielka grupa osób dopuszczonych do tajemnicy będzie tymi miliardami sterować „po uważaniu".

Czyli powstanie kolejna superkasta...

Tak, klasyczna superkasta. Sygnały tego można znaleźć w dokumencie,

eprasa.pl d3eaad21cf

o którym mówię. Proszę zwrócić uwagę na wielkie uprawnienia tej wąskiej grupy zarządzającej. Na przykład będzie mogła organizować wspólne przetargi dla wszystkich szpitali, poprzez zapowiadaną firmę będzie realizować wspólne zamówienia w zakresie usług komunalnych takich jak wywożenie śmieci, zakup takich czy innych towarów, wynajem agencji ochrony itp., a jeśli szpital nie będzie chciał skorzystać z usług agencji, to będzie ona mogła odsunąć „krnąbrny zarząd, który sobie nie daje rady", i sama przejąć szpital, wstawiając menedżera komisarycznego. Czyli wszystkie pieniądze zagospodaruje grupa trzymająca władzę, a dopuszczenie do tej grupy będzie prowadziło przez powołanie korpusu menedżerskiego.

A gdzie w tym wszystkim, panie pośle, są pacjenci?

Ano właśnie. Oni tam trochę przeszkadzają (śmiech). Pacjentów tu w ogóle nie ma, bo cały ten program „martwi się", jak pomóc szpitalom. Ta pomoc ma polegać na remontach, zakupach, doprowadzeniu do zbilansowania. Ale w tym projekcie jest jeszcze drugi element, bardzo destrukcyjny dla systemu opieki zdrowotnej. Nie wyklucza się w nim, że zarządzanie częścią szpitali przejmie Narodowy Fundusz Zdrowia. Przypomnę, że w reformie z 1999 r. chodziło o to, żeby rozdzielić płatnika od właściciela. To była główna idea, która powstała nie z jakiejś fanaberii, tylko jako odpowiedź na konkretne patologie. Dlatego stworzono jednolite zasady wydawania pieniędzy opierające się na tym, żeby płacić tylko za konkretne usługi i odbierać ich jakość.

W myśl tych zasad właściciel szpitala, znając reguły gry, musiał się do nich dostosować i tak zarządzać pieniędzmi, żeby mu ich wystarczyło. Jeśli teraz właściciel szpitala znów będzie płatnikiem, to on przekieruje strumień pieniędzy tak, żeby zasypać deficyt, nie zwracając uwagi, jak on jest zarządzany. Jednym słowem – jakiś wyznaczony przez agencję „ozdrowieńczy komisarz" spowoduje, że NFZ dosypie pieniędzy do szpitala i będzie potem mógł obnosić się z tym, jaki to z niego skuteczny menedżer. To totalnie rozwala system finansowania opieki zdrowotnej. Bo jeśli szpital otrzymuje pieniądze za pacjenta, którego przeleczył, to skąd się mają pojawić dodatkowe pieniądze? W formie dotacji? Skoro regułą gry jest, że dostajesz np. 5 tys. za jednego pacjenta, to jak ma się w szpitalu pojawić dodatkowy milion bez dodatkowych pacjentów?

Według pomysłu opisanego w Polskim Ładzie pieniądze mają się pojawić w obiekcie, mimo że będzie on pracował, jak pracował. Wiem, że to wszystko jest dość zawikłane i trudno to sprzedać opinii publicznej. Dlatego użyję dużego skrótu. Z jednej strony mamy agencję, czyli sitwę, z drugiej dowolne reguły wydatkowania pieniędzy na leczenie. To jest to zło.

Czy specjalne procedury stworzone na potrzeby gigantycznych zakupów środków ochronnych i sprzętu medycznego w związku z COVID-19 mogą mieć coś wspólnego z modelem zmian w systemie służby zdrowia forsowanym w Polskim Ładzie?

Myślę, że COVID i towarzyszące mu zakupy stały się inspiracją do stworzenia takiego planu. Raz to były maseczki, raz respiratory, można powiedzieć – dużo radości, pomijając kłopoty, które przy tym były... Ale to się przeczeka. W związku z tym rozwinęli twórczo ten pomysł, żeby wydawać i kupować jeszcze więcej.

To, co pan mówi, to raczej pomysł na antyreformę... Ale podjął pan wątek COVID-19. Wiele osób twierdzi, że sposób walki z epidemią obrany w Polsce doprowadził do totalnej dewastacji systemu opieki zdrowotnej, czego dramatyczną miarą jest, delikatnie licząc, kilkadziesiąt tysięcy nadmiarowych zgonów niespowodowanych przez COVID, tylko przez lockdown. Jak ocenia tę sytuację insider, człowiek, który bardzo dobrze zna mechanizmy działania polskiej służby zdrowia?

Niestety, tak jest. Oczywiście polski rząd nie ma nic do tego, że pojawiła się epidemia. To, że występują kolejne fale, to jest zjawisko globalne, które wystąpiło we wszystkich krajach świata. Rządy, poza niektórymi, nie mają wpływu na to, kiedy pojawi się fala i kiedy ona wygaśnie. Ona sama wygasa. Nasz rząd nie miał na to

Z Andrzejem Sośnierzem, posłem koła Polskie Sprawy, byłym szefem Narodowego Funduszu Zdrowia
rozmawia Ryszard Gromadzki

Układ zamknięty

eprasa.pl d3eaad21cf

wpływu i nie wie dlaczego, ale ona i tak wygasa. Rządy mogą wpłynąć tylko na wysokość tej fali. Tylko na to, czy w ramach tej fali będzie tysiąc, 2 tys. czy 10 tys. zgonów. W tej sytuacji działania rządu należy oceniać po skuteczności ograniczenia tej fali.

Na tym odcinku nie mamy żadnych sukcesów. Znajdowaliśmy się w kwietniu i maju w ścisłej światowej czołówce, i to takiej „mocnej piątce" światowej, jeśli chodzi o liczbę przypadków zakażeń i zgonów na milion mieszkańców, bo tylko tak można porównywać kraje o różnej liczbie ludności. Nasz rząd się tutaj w ogóle nie sprawdził. Poszczególne ogniwa ochrony zdrowia funkcjonowały, w szczególności szpitale, które normalnie przyjmowały pacjentów. Personel wielu szpitali zachowywał się bardzo ofiarnie. Tyle że system opieki zdrowotnej to nie jest funkcjonowanie pojedynczych szpitali. Pojedynczy szpital kierowany przez menedżera często zachowuje się jako jednostka sprawnie. Na tym szczeblu potrafi on lepiej lub gorzej funkcjonować. Ale żeby funkcjonowało wszystko, żeby uzyskiwać efekty populacyjne, trzeba koordynować twórczo pracę wszystkich szpitali. No i tu jest totalna klęska.

Rząd nie potrafił sobie poradzić z koordynowaniem wszystkich elementów opieki zdrowotnej. Począwszy od sanepidu, który prawie w ogóle nie został uruchomiony, a przecież jest to służba utrzymywana do walki z epidemiami, co ma w swojej nazwie. Ta służba nie została odpowiednio wzmocniona, a wręcz zmarginalizowana, i nie potrafiła się odpowiednio zachować. Przychodnie otwierały się i zamykały, jak tam kto chciał… Jak w tej znanej sprawie, gdzie trzeba było kijem zastukać w okno, żeby ktoś otworzył drzwi. Albo ta pielęgniarka, która została sama w domu pomocy społecznej, pięć dni czuwając nad setką pensjonariuszy.

To wszystko nie było w żaden sposób koordynowane, powiedziałbym, że raczej spontaniczne. Polacy w ogóle potrafią zachować się w sposób spontaniczny i w razie potrzeby jakoś zorganizować. Ale to jest jakoś, a nie jakość. Niestety, żeby funkcjonowała służba zdrowia, potrzebne jest państwo, a państwa tutaj nie było. Oni tam w ministerstwie odgrodzili się od świata i wydawali jakieś decyzje, ale one nie miały charakteru koordynacyjnego. Mimo tych złych doświadczeń oni nadal brną w to, żeby system bardziej centralizować. Weźmy przykład szpitali tymczasowych. Koncepcja przyjęta przez rząd była zła, bo taki wielki szpital, propagandowo może efektowny, w twardych realiach się nie sprawdza. Generał Gielerak i lekarze, którzy byli na misji w Lombardii, dobrze wiedzieli, że duże szpitale się nie sprawdzają, że trzeba organizować mniejsze. I takie powstały np. w Bolesławcu czy Legnicy. To były bardzo dobre rozwiązania. Małe, pawilonowe, modułowe szpitale, które funkcjonując przy większym szpitalu, nie dezorganizują jego pracy, a wręcz ją usprawniają.

Nawet nie znamy nazwiska komisarza Unii, który spartaczył negocjacje z producentami szczepionek. On tam nadal spokojnie i radośnie funkcjonuje

Czyli takie, które nie paraliżowały normalnego działania i pozwalały na przyjęcia pacjentów z innymi chorobami niż COVID…

Każdy pacjent covidowy i tak tam lądował, ale jeśli trzeba było zabezpieczyć inne usługi w szpitalu, to była do dyspozycji pełna załoga. Szpital funkcjonował normalnie, a obok działał szpital czy oddział covidowy. Niestety, takie szpitale były odosobnione. Na każdym szczeblu wykazywano się jakąś indolencją lub ochotą do wydawania dużych pieniędzy, niezależnie od tego, czy to jest słuszne, czy nie.

Czy tzw. narodowy program szczepień działa, jak powinien, czy i w tym obszarze mamy do czynienia z improwizacją i propagandą?

Na początku było nie najgorzej. Ja zresztą od razu zalecałem, żeby do walki z epidemią powołać stanowisko koordynatora, pełnomocnika rządu. W sprawie szczepień trudno ocenić skuteczność działania państwa, bo pojawił się inny czynnik. Zewnętrzny. Mam na myśli nieregularne dostawy szczepionek, niezgodne z tym, co wcześniej ustalono. To znakomicie rozwalało plany szczepień. Trudno rozróżnić, gdzie jest wina polskiego rządu i pełnomocnika Dworczyka, a gdzie jest wina Unii Europejskiej.

Swoją drogą, jak w Polsce jakiś minister coś zawali, no może nie ostatnio, jednak najczęściej, wnioskuje się o jego odwołanie. Tymczasem nawet nie znamy nazwiska komisarza Unii, który spartaczył negocjacje z producentami szczepionek. On tam nadal spokojnie i radośnie funkcjonuje. Podobnie jak urzędnicy z komisji, która prowadziła negocjacje. Myślę, że warto byłoby też zająć się tymi pikusiami, którzy nieźle nawywijali, co odczuła cała Europa. Jak można było dopuścić do tego, że dostawca robi „po uważaniu", nie ponosząc żadnych istotnych konsekwencji?!

Co do propagandy, to klasycznym przykładem jest tu sytuacja z długiego weekendu majowego, kiedy w sumie zaszczepiono 45 tys. ludzi, podczas gdy w zwykłe dni dziennie szczepi się u nas ponad 100 tys. osób. Zamiast wykorzystać cały weekend w normalnych punktach szczepień, uruchomiono jakieś punkty propagandowe, do których ustawiły się niebotyczne kolejki, a efekt był, jaki był. W tym czasie można było zaszczepić kilkaset tysięcy osób albo i więcej.

Wtedy może tak. Teraz nie ma już aż tylu chętnych do szczepień. Wydaje się, że grupa, która była najbardziej zdeterminowana, już to zrobiła. Czy w Polsce dysponujemy pełną informacją o NOP-ach? Przekaz kolportowany przez media sprowadza się do tego, że w zasadzie jedyne niepożądane skutki szczepionek, które odnotowuje się u nas, to zaczerwienienie skóry po ukłuciu igłą i ewentualnie lekka gorączka. Tymczasem z danych z USA i Wielkiej Brytanii wynika, że następstwem szczepień są również zgony.

W swoim czasie, kiedy kierowałem NFZ, tworzyłem cały system informacji, żeby wiedzieć, czym zarządzam. To zostało później częściowo „zaorane". My zachowujemy się trochę tak jak ściągający na klasówkach. Patrzymy na to, co wydarzyło się we Francji, w Anglii, i mówimy: NOP-ów nie ma albo są. Nie mamy własnych informacji. Te dane będą prawdopodobnie takie same jak w krajach, od których ściągamy te informacje, więc ten błąd metodologiczny nie jest zbyt duży, polska populacja zachowuje się podobnie.

Cokolwiek powiedzieć, jeśli nawet te niepożądane efekty szczepień są dolegliwe, ale nie drastyczne, mówię to na podstawie informacji z innych krajów, to ja odwołuję się do takiej logiki. Jeśli po jednej stronie mamy tych, którzy zachorują, a z tych, którzy zachorują, 1 proc. umrze, bo taka jest statystyka, a po drugiej stronie mamy zaczerwienienia, złe samopoczucie i brak zgonów, a jeśli nawet się zdarzą, to jest to proporcja jeden na milion, to nie ma o czym tutaj mówić. Korzyść z zaszczepienia jest porażająco większa. Chyba że nam wmontowują jakieś wtręty genetyczne, po których staniemy się kiedyś transformersami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

Wolność pod respiratorem

Przemysław Staciwa

Czy wobec pandemii koronawirusa jedynym słusznym rozwiązaniem było prowadzenie polityki lockdownu, subordynowania i straszenia obywateli oraz poświęcania gospodarki w imię ludzkiego zdrowia? Z pewnością odbyło się to bez należytej dyskusji i chłodnej kalkulacji. Sternikiem w tym epidemicznym sztormie były i są emocje

Jest bardzo ciekawe, jak koronawirus na bazie swojego pokrętnego działania na blisko rok przyspawał nas do domów, a zdecydowaną większość świata utwierdził w przekonaniu, że być może to bardzo trudne, przykre i uprzykrzające życie, ale inaczej przecież nie można. Jeśli zastosowalibyśmy terminologię prawną do aspektu zamknięcia nas w czterech ścianach i pozbawienia prawa do korzystania z wolnego czasu, różnych instytucji, na które płacimy podatki, pracy, a w skrajnych przypadkach wyjścia z domu (do lasu na przykład), to wszystkich obowiązuje odwrócona zasada domniemania niewinności. Wszyscy jesteśmy potencjalnie winni, bo zakażeni. Wszystkich więc muszą objąć reguły zakazów i nakazów, gdyż złośliwa choroba jest wielokrotnie bezobjawowa.

Wątek poboczny tego zamieszania to aspekt psychologiczny, którego nie sposób lekceważyć. Ludzie zerkali na siebie nerwowo, czasem podejrzliwie, czasem mając poczucie dyskomfortu. Poprzez długotrwałe ograniczenia i narzucenia nowych zasad – dystans, dezynfekcja, maseczki – w wielu niszczono ducha zaufania społecznego. Media obiegały informacje o agresywnych konfrontacjach pomiędzy tzw. antymaseczkowcami i zwolennikami ostrego reżimu sanitarnego. Skoro oddziałuje to negatywnie na dorosłych, to pytanie, jaki wpływ wywiera na młodzież i dzieci, jakie to będzie mieć długofalowe skutki? Szczególnie że najmłodsi zostali wyrwani ze szkolnego ekosystemu i poddani izolacji. Wszem wobec mówiło się o unikaniu przyjaznych gestów, pokazywaniu twarzy itp. Hodujemy pokolenie oziębłych, straumatyzowanych i zastraszanych dzieciaków żyjących w trybie on-line. Ale dogłębna interpretacja tego problemu to praca dla psychoterapeutów.

Inną sprawą jest to, jak łatwo i bez dyskusji przyjęliśmy założenia o zamykaniu, poświęceniu jednych, by chronić drugich i kontenerować lęki trzecich (pierwsi to ci, którzy chcą żyć normalnie bez względu na okoliczności, drudzy to realnie narażeni, a trzeci to zastraszeni, według przesłanek niebędący w grupie ryzyka). I czy to w ogóle jest skuteczne? W dyskusjach często pada argument, że inaczej być nie mogło, bo „nie mam/mamy prawa decydować o życiu innych". Ale już ci inni mogą ingerować w życie adwersarzy i pozbawiać ich jego części, ich dzieci szkoły, normalnej edukacji, wizyty (nie teleporady) u lekarza pierwszego kontaktu. Prawie nikt (poza

eprasa.pl d3eaad21cf

np. Szwedami) nie zadał sobie pytania, czy ten, kto boi się o własne życie, nie może w wielu miejscach dokonać właściwego wyboru bez ingerencji w swobodę drugiego człowieka. Nie musi iść do restauracji, nie musi iść na imprezę, do muzeum itp. (Ciekawe, zasadę tę utrzymano jedynie w kościołach, do których – jak słyszę – wielu wiernych z własnej, nieprzymuszonej woli nie chodzi). Założono z góry, że „twojsze" jest większe niż „mojsze" i to entuzjaści wolności mają bezdyskusyjnie ustępować. Pytanie, czy ta ofensywna w jedną stronę retoryka jest prawidłowa z logicznego punktu widzenia. Wydaje się, że doszło do błędnej interpretacji zasady wolności „od" i „do". Mogę zdecydować, że nie chcę wychodzić z domu czy iść do kina, ale wymaganie tego od innych to chyba w świetle liberalizmu daleko idąca ingerencja.

PEWNE DZIAŁANIA W DOBIE NIEPEWNOŚCI

W sprawie lockdownu Polska poszła utartą drogą, wytyczoną przez większość państw. Przez wiele miesięcy wszystko lub prawie wszystko było pozamykane, a ludzie mimo to dalej się zakażali. Lekarze, komentatorzy i politycy tłumaczyli to tym, że ludzie i tak spotykają się na imprezach, imieninach, odwiedzają bliskich etc. Naturalną konsekwencją polityki regulującej życie społeczne byłoby wprowadzenie patroli policyjnych, które wchodziłyby do domów i kontrolowały, czy np. dziadkowie nie zaprosili rodziny. Absurd, choć tego typu interwencje miały miejsce m.in. na Wyspach Brytyjskich. Dochodzimy do tego, że człowiek sam dokonuje pewnych wyborów, kalkuluje ryzyko, a czasem po prostu musi je ponieść (zakupy, lekarz). Trudno na dłuższą metę odwrócić się od ludzkiej, stadnej natury. Być może prościej było zamiast gróźb i zakazów wystosować zalecenia i potraktować społeczeństwo poważnie, a nie tresować behawioralnie i terroryzować widmem kar? To, co udało się zrobić dzięki twardym zakazom i nakazom i co osiągnął minister zdrowia Adam Niedzielski, to jeszcze bardziej spolaryzowane i skłócone społeczeństwo.

Emanacją obecnego stanu rzeczy, stanu niepewności była szczera i mądra odpowiedź dr. Fauciego, głównego wirusologa USA, który na pytanie: „Czemu w stanie Teksas maleje liczba zakażeń i covidowych zgonów pomimo zdjęcia obostrzeń i nakazów zakrywania twarzy?", odpowiedział: „Nie wiem". Nie wiemy, żyjemy w stanie niepewności, niewiedzy i braku jednoznacznych danych, choć coraz więcej badań podaje w wątpliwość politykę lockdownu. Odpowiedzią na ten stan rzeczy były jednoznaczne i zdecydowane działania rządów, w tym rządu polskiego. W niewielkim uproszczeniu można je streścić następująco: zamknąć, co się da, kazać ludziom siedzieć w domach, korzystać jak najmniej ze służby zdrowia, najlepiej z teleporad, chodzić wszędzie w masce (tak było w Polsce i trzech krajach UE), surowo karać i tłumić wszelkie przejawy nieposłuszeństwa. Tu znów dał o sobie znać minister Niedzielski nazywający lekarzy kwestionujących politykę lockdownu i procedur covidowych w szpitalach „kołtunami". Chichotem losu jest również ostracyzm, który spotkał Jana Pospieszalskiego. W programie „Warto rozmawiać" redaktor ośmielił się skrytykować rządową agendę, za co został upomniany przez posłankę PiS, Joannę Lichocką. Tę samą, która kilka lat wcześniej wypominała ówcześnie rządzącej koalicji PO-PSL czystki w TVP. Jako wyjątek wskazała wówczas właśnie Jana Pospieszalskiego, który nie wytrzymał „dobrej zmiany" w mediach państwowych.

Dlaczego wszystko potoczyło się tak szybko i bez dużego sprzeciwu? Czemu większość świata zgodziła się na tak potężną ingerencję w swobody gospodarcze, osobiste, polityczne?

SAFETYZM

Kolejne pytanie brzmi: Dlaczego wszystko potoczyło się tak szybko i bez dużego sprzeciwu? Czemu większość świata zgodziła się na tak potężną ingerencję w swobody gospodarcze, osobiste, polityczne? W Polsce stało się to przy bierności większości opozycji, którą z władzą w tej sprawie różnił jedynie stosunek do otwartych kościołów.

Angielski lord Jonathan Sumption ukuł termin „safetyzm", który możemy spolszczyć na „bezpieczyzm". Polityk w jednym z wywiadów wspomina, że Wielka Brytania była przygotowana wiele lat przed COVID na kataklizmy i epidemie. Przygotowano strategie, plany i modele zakładające nawet 700 tys. zgonów, ale bez jakichkolwiek pomysłów ograniczania swobód obywatelskich i zamykania czegokolwiek. Były zatwierdzone od dekady przez grono ekspertów i specjalistów. I co? Premier Boris Johnson wyrzucił je do kosza w jeden weekend bez wytłumaczenia, poważnej narodowej debaty i dyskusji. Powód? Lord wskazuje na ideologię „bezpieczyzmu". Skoro jest niebezpiecznie, to reżim musi być. A jeśli już weszliśmy na drogę asekuracji, to trzeba przyjąć, że bezpiecznie w pełni nie będzie nigdy. Naturalną konsekwencją takiego toku rozumowania jest konkluzja, że o pełnym zdjęciu lockdownu nigdy nie może już być mowy. Trzymilionowe australijskie Brisbane zamknięto w pełnym lockdownie przed Wielkanocą po wykryciu… siedmiu zakażeń.

W jednym z wpisów polityk Konfederacji, Sławomir Mentzen, wysunął hipotezę, że gdyby epidemia wirusa wybuchła nie w Chinach, których obywatele przyzwyczajeni są do kolektywistycznych rozwiązań i poświęcaniu jednostkowych swobód na rzecz wspólnoty, ale np. w USA, nikt nie wpadłby na pomysł zamykania ludzi w domach. O tym, że można było zareagować zgoła inaczej, pisał amerykański historyk ekonomii, prof. Niall Ferguson. Naukowiec w swojej książce „Doom" przypomina epidemię azjatyckiej grypy, która uderzyła w Amerykę w roku 1957. Podobnie jak COVID-19 grypa azjatycka doprowadziła do znacznej, nadmiarowej śmiertelności. Z najnowszych badań wynika, że w wyniku pandemii zginęło od 700 tys. do 1,5 mln ludzi na całym świecie. Naukowcy szacowali, że gdyby w naszych czasach zaatakował „wirus o podobnym nasileniu", można by się spodziewać ok. 2,7 mln zgonów na całym świecie. Do pewnego stopnia można więc porównać oba zjawiska, z tym zastrzeżeniem, że azjatycka grypa atakowała szczególnie zaciekle osoby młode. Administracja prezydenta Eisenhowera nie zdecydowała się jednak na zamknięcie szkół. Te przez całą epidemię pozostały otwarte. Rząd federalny ograniczył swoją działalność do wspierania badań nad szczepionkami. Eisenhower nie decydował się również na zadłużanie, pożyczki i dodruk pieniądza. Ferguson pochwala te działania, twierdząc, na podstawie analizy badań naukowych, że nie ma bezspornych dowodów na skuteczność lockdownu

eprasa.pl d3eaad21cf

w walce z wirusem. Są natomiast liczne przykłady na dewastację gospodarki, do których prowadzą zmasowane blokady.

Zdaniem Fergusona jest kilka powodów, które zdecydowały o wyparciu polityki Eisenhowera i postawieniu na politykę lockdownu. Za główny historyk uznaje zmianę wartości. Młodsze pokolenia przejawiają niechęć do ryzyka. Bezpieczeństwo przedkładają nad wolność. Ponadto niebagatelną rolę miała odebrać zapaść wspólnot – religijnych, lokalnych społeczności, szkoły, wojska. Osłabła również rola autorytetów i mentorów. Spolaryzowane i zagubione społeczeństwo zdało się na łaskę i niełaskę drastycznego ograniczenia swobód w imię bezpieczeństwa.

NOWA GLOBALNA RELIGIA

Bezpieczeństwo z psychologicznego punktu widzenia stało się swoistym totemem, a szczepionka remedium na całe zło. Do takich wniosków doszli również lewicowi krytycy obecnej rzeczywistości, którzy oparli się na przemyśleniach Slavoja Žižka: „Wiele dowodów sugeruje, że liczba zgonów spowodowanych przez wirusa SARS-CoV-2 wzrosła w wyniku szybkiego wprowadzenia nowych protokołów medycznych instruujących lekarzy, aby poświadczyli COVID-19 jako przyczynę śmierci, gdy tylko przypuszcza się, że spowodował lub przyczynił się do spowodowania śmierci, a nawet bez weryfikacji klinicznej [...]. Interesujące jest obserwowanie, jak obecnie wzywa się globalną (ideologiczną) inokulację, aby zagwarantować jakąś formę tożsamości społecznej, która mogłaby zrekompensować trwającą dewastację. Rzeczywiście, kryzys koronawirusa coraz bardziej przypomina nową globalną religię, zorganizowaną w liturgiczną strukturę wypełnioną sakramentami i rytuałami: dystans społeczny, noszenie maski na twarz (nawet na zewnątrz lub podczas samotnej jazdy samochodem), kompulsywne oczyszczanie rąk, systematyczna podejrzliwość wobec innych itd. Wszystko to utrwala się w system przekonań, którego celem jest podniesienie bezpieczeństwa biologicznego do roli nowego bóstwa, podczas gdy zasady gry zmieniają się za naszymi plecami".

Podsumowując: obecny stan rzeczy ma swoje podłoże bardziej w aspektach psychologicznych aniżeli spiskowych teoriach. Chodzi o wspominany „bezpieczyzm" oraz „etykę wymuszonej empatii". Pierwszy został omówiony. Etyka wymuszonej troski to z kolei bardzo zgrabny termin opisany przez psychoanalityka Pawła Droździaka. Owa etyka objawia się tym, że ludzie potwornie obawiają się obwinienia o brak empatii, posądzenia o znieczulicę. Biorą zatem ten krzyż na plecy bez dyskusji i niuansowania. Trzeba dbać o innych – to ciągle się powtarza. Polityk ma dbać o obywatela, nie może być podejrzany o samolubność.

Wyobraźmy sobie, że w Polsce postąpiono by jak w Szwecji. Zaraz odezwaliby się polityczni adwersarze z tezą: „Macie krew na rękach! W Niemczech są zamknięci i ratują życie ludzkie. A wy? Ważniejsze zyski firm niż życie ludzkie?". Jedni kopiowali bezpieczne z psychologicznego punktu widzenia założenia od drugich, pozamykali, co się da, by nie być posądzonymi o covidowe mordowanie obywateli.

Aby się temu przeciwstawić, trzeba było mieć szwedzki utylitaryzm i asertywność, teksański opór i umiłowanie niezależności lub białoruskie, autorytarne poczucie wszechmocy wobec bezradnego obywatela.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Kuźnia elit Międzymorza

Kadry Collegium Intermarium przed atakami lewicy obronią się same

Kadra uczelni Collegium Intermarium stała się obiektem zainteresowania opinii publicznej. Nic dziwnego – stanowią ją bowiem osoby z bogatym dorobkiem naukowym i praktycznym, które niejednokrotnie istotnie wpływały na życie społeczne. Kilkudziesięciu wykładowców – wykształconych na najlepszych uczelniach na świecie, którzy uczyli i prowadzili badania na najlepszych uniwersytetach i mogą pochwalić się publikacjami, które zdobyły rozgłos i uznanie, wydawanymi przez czołowe wydawnictwa naukowe – stanowi zespół, który ma pełne prawo aspirować do kształcenia nowych elit regionu Międzymorza i nadawania wizji rozwoju nauk humanistycznych.

Nie zaskakuje, że skupienie w jednym ośrodku takich osób wywołuje poczucie zagrożenia u przedstawicieli skrajnej lewicy, którzy dotąd rościli sobie monopol na kształtowanie debaty akademickiej. Zarzuty stawiane naszej kadrze – takie jak przywiązanie do klasycznych i tradycyjnych wartości, stawanie w obronie życia i jedności małżeństwa oraz rodziny – są dla nas najlepszą rekomendacją. To, co dla lewicy jest wadą, dla nas jest zaletą.

GDZIE KSZTAŁCILI SIĘ WYKŁADOWCY COLLEGIUM INTERMARIUM

Oceniając dorobek i kwalifikacje do nauczania, warto zwrócić uwagę na to, gdzie wykładowcy Collegium Intermarium zdobywali wiedzę. A są wśród nich absolwenci uniwersytetów ze ścisłej czołówki rankingu szanghajskiego. William Saunders ukończył studia prawnicze na Harvard Law School. Tam też Ligia Castaldi zdobyła tytuł LLM. Na uniwersytecie w Cambridge kształcił się w zakresie prawa brytyjskiego i europejskiego radca prawny i obecny członek Państwowej Komisji Wyborczej Dariusz Lasocki. Wybitne międzynarodowe wykształcenie zdobyła księżna prof. Ingrid Detter de Frankopan. Profesor jest absolwentką uniwersytetów: Oksfordzkiego, Paryskiego i Sztokholmskiego oraz uczelni w Turynie. Nie dziwi więc jej znajomość aż 12 języków. Profesor Stephen Baskerville swój stopień doktora nauk o państwie uzyskał na prestiżowej London School of Economics. Profesorowie CI swoje dyplomy zdobywali często na najlepszych uczelniach w swoich krajach, by wymienić kilku: dr Jane Adolphe na najlepszych uczelniach Kanady (McGill, Calgary), dr Andreas Kinneging w Holandii (Leiden, Nijmegen), a dr Miša Đjurković w Serbii (Uniwersytet Belgradzki).

MIĘDZYNARODOWE DOŚWIADCZENIE AKADEMICKIE

Na szczególną uwagę zasługuje również doświadczenie akademickie i dydaktyczne wykładowców CI. Wspomniany wcześniej Saunders wykładał na Uniwersytecie Harvarda, gdzie wizytującym wykładowcą jest też dr Angela Gandra. Księżna Frankopan nauczała m.in. na London School of Economics, gdzie pełniła funkcję dyrektora studiów The International Legal Order na Wydziale Stosunków Międzynarodowych. Imponujący dorobek akademicki ma jeden z najbardziej znanych naukowców węgierskich, dotychczasowy rektor (od 2016 r.) Uniwersytetu Korwina w Budapeszcie, dr András Lánczi, wcześniej przez kilkanaście lat dyrektor Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Ekonomicznego. To współpracownik Instytutu Voegelina, uczest-

eprasa.pl d3eaad21cf

nik programów badawczych Fulbright Fellowship i Liberty Fund, a także założyciel fundacji Centrum Odnowy Europy. Na czołowych uczelniach Europy i USA wykładał prof. Baskerville, wśród nich na Howard University – głównym ośrodku akademickim społeczności afroamerykańskiej. Wykładowcą praw człowieka i prawa międzynarodowego w Strasburgu był Grégor Puppinck.

NAGRODY, PROGRAMY BADAWCZE I PUBLIKACJE

Dorobek naukowy wykładowców CI i ich wkład w rozwój debaty akademickiej oraz publicznej był wielokrotnie doceniany. Francis Beckwith jest laureatem nagrody American Academy of Religion's 2016 Book Award for Excellence in the Study of Religion. Profesor Baskerville był stypendystą prestiżowej Komisji Fulbrighta, a Stefano Gennarini – Blackstone Legal Fellowship. Pochodzący z Ukrainy dr Nazarii Stetsyk zdobył Nagrodę Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej i Lwowskiej Rady Obwodowej dla młodych naukowców i badaczy w 2018 r., a prof. dr hab. Grzegorz Kucharczyk – Nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich „Feniks". Liczne międzynarodowe stypendia badawcze ma za sobą radca prawny Dariusz Lasocki, m.in. Marshall Memorial Fellowship. Stypendystą słynnych wolnorynkowych think tanków Acton Institute i Cato Institute był adwokat Rafał Dorosiński.

Wykładowcy CI mają na swoim koncie liczne publikacje, które oddziaływały na debatę akademicką, często były wydawane przez czołowe wydawnictwa naukowe. Międzynarodową sławę zdobyły tłumaczone na wiele języków publikacje Grégora Puppincka na temat praw człowieka, m.in. „Les droits de l'homme dénaturé" (Éditions du Cerf 2018) oraz „La Famille, les droits de l'homme et la vie éternelle" (Éditions de l'Homme Nouveau 2015). Z kolei András Lánczi jest autorem kilkudziesięciu publikacji w zakresie filozofii politycznej: własnych książek (m.in. „Debate of antiques and moderns. Late remarks to Pascal" (2019), „Political Realism and Wisdom" (2015), „Political Knowledge" (2012), „The Legacy of Fate" (2009), „20th Century Political Philosophy" (2007), „Utopia as a Tradition" (2005), a także artykułów naukowych i tłumaczeń. Profesor Baskerville słynie z publikacji dotyczących m.in. polityki rodzinnej, np. „Taken into Custody: The War against Fathers, Marriage, and the Family" (Cumberland House 2007), polityki seksualnej, np. „The New Politics of Sex: The Sexual Revolution, Civil Liberties, and the Growth of Governmental Power" (Angelico 2017). Księżna Frankopan zaś zasłynęła kilkunastoma publikacjami z zakresu prawa międzynarodowego, w tym przede wszystkim „The Law of War" (1. i 2. wyd.: Cambridge University Press, 3. wyd.: Routledge) czy „Philosophy of the Law of Nations" (Montesa Jagellonica-Ordo Iuris 2018). Także i polskie publikacje zdobywały rozgłos oraz nagrody. Doktor habilitowany Marek Świerczyński wygrał konkurs Urzędu Patentowego RP na najlepszą pracę habilitacyjną z zakresu prawa własności intelektualnej. Również rektor CI, dr Tymoteusz Zych, za swoją książkę na temat pewności prawa otrzymał nagrodę w konkursie „Monografie" Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

PRAWNICY PRAKTYCY, PRZEDSTAWICIELE ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH I LIDERZY ŻYCIA PUBLICZNEGO

Kadra Collegium Intermarium to jednak nie tylko wybitni naukowcy teoretycy. To także osoby, które odniosły sukces w praktyce prawniczej, a także w świecie biznesu, polityki czy zarządzania. Wśród 50 najbardziej wpływowych prawników według „Dziennika Gazety Prawnej" dwukrotnie pojawiali się przedstawiciele władz uczelni: Tymoteusz Zych i Bartosz Lewandowski.

Doktor Stephen Bartulica, obecnie deputowany parlamentu chorwackiego, pełnił też wiele innych istotnych funkcji w chorwackiej polityce, dyplomacji i życiu społecznym. Był doradcą prezydenta Chorwacji do spraw religii, doradcą premiera w sprawach polityki zagranicznej, założycielem Centrum Odnowy Kultury, członkiem redakcji pisma „The European Conservative".

W zakresie ochrony wolności religijnej na forum międzynarodowym działa dr Grégor Puppinck, dyrektor European Centre for Law and Justice (ECLJ), niegdyś ekspert Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka OBWE. Od 2000 r. reprezentuje Stolicę Apostolską w komisjach Rady Europy. W konsultacjach na zaproszenie OBWE uczestniczy też adwokat Jerzy Kwaśniewski, przewodniczący Rady Powierniczej CI. Członkiem Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego jest z kolei rektor CI, dr Tymoteusz Zych. Zarówno Kwaśniewski, jak i Zych przygotowywali też opinie dla Komisji Weneckiej i innych instytucji międzynarodowych. Stefano Gennarini reprezentuje Centrum Rodziny i Praw Człowieka (C-Fam) na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ i w Radzie Gospodarczej i Społecznej ONZ. Dariusz Lasocki współpracował z Biurem Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców. Doktor Jane Adolphe była przedstawicielem Stolicy Apostolskiej na licznych konferencjach ONZ. Ambasadorem Konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych jest dr Bawer Aondo-Akaa.

Poza zatrudnioną kadrą, ale wśród współpracowników uczelni w zakresie projektów naukowych znajdziemy nawet sędziego Sądu Najwyższego. Księżna Frankopan jako adwokat posiada prawo do występowania przed sądami nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także w Szwecji, we Francji, w Niemczech i we Włoszech, dr Jane Adolphe zaś była prokuratorem w Prokuraturze Koronnej Alberty w Kanadzie. Wśród kadry CI znajdziemy także czołowych menedżerów (jak choćby dr Rafał Zgorzelski, członek zarządu jednego z największych przedsiębiorstw transportowych), liderów think tanków oraz organizacji pozarządowych z Polski i zagranicy (prezesi i założyciele organizacji m.in. w Holandii, Chorwacji, Stanach Zjednoczonych czy na Węgrzech).

Wykształcenie przyszłych elit Polski i regionu Międzymorza wymaga zapewnienia im właściwej edukacji. W obliczu kryzysu w świecie akademickim, zdominowanym przez bezrefleksyjną masową edukację, poddaną ideologicznej presji lewicy, przedkładającej promocję swoich antywartości ponad rozwój wiedzy, o tę właściwą edukację nie jest łatwo. Dzięki wybitnej kadrze, kompetentnej na polu zarówno dydaktycznym, jak i badawczym, z dorobkiem w życiu publicznym i międzynarodowych instytucjach, misja Collegium Intermarium staje się możliwa do realizacji. W tej sytuacji nie dziwi, że właśnie nasza kadra okazuje się celem najbardziej rozsierdzonych, zupełnie niemerytorycznych, często wręcz prymitywnych i wulgarnych ataków ze strony lewicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Władysław Bartyzel
szef działu PR (Collegium Intermarium)
Ewa Rowińska
dyrektor ds. wydawnictw i konferencji naukowych (Collegium Intermarium)

eprasa.pl d3eaad21cf

Pomnik pomordowanych mieszkańców narodowości żydowskiej w Jedwabnem

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Jedwabne: tajne archiwum

Marek Jan Chodakiewicz

To Niemcy odpowiadają za masakrę w Jedwabnem. Polskiego udziału w tej zbrodni właściwie nie ma. Śledztwo IPN nie pozwalało na wnioski obciążające rodaków. Wiadomo to z dokumentów, które ujawniono dzięki batalii sądowej

To Niemcy dokonali masowego mordu w miasteczku Jedwabne pod Łomżą 10 lipca 1941 r. Ustaliliśmy to w ramach żmudnych, wieloletnich badań, których pokłosiem jest dwutomowy zestaw dokumentów publikowany obecnie jako „Jedwabne. Historia prawdziwa: Zbrodnia z 10 lipca 1941 r.", tom I: „Śledztwo, przebieg, sprawcy, rekonstrukcja", tom II: „Dokumenty" (Warszawa: Veritatis Splendor, 2021).

Książka ta oparta jest na wszystkich dostępnych źródłach pierwotnych zgromadzonych w archiwach państwowych, prywatnych i innych. Jest kontynuacją naszych wcześniejszych badań i publikacji dotyczących tej zbrodni. Badania te rozpoczęliśmy przed 2000 r. Poświęciliśmy wcześniej temu mordowi monografię opublikowaną po angielsku w 2005 r. (Marek Jan Chodakiewicz, „The Massacre in Jedwabne, July 10, 1941: Before, During, and After"; New York and Boulder, CO: Columbia University Press

eprasa.pl d3eaad21cf

and East European Monographs, 2005). Została ona przetłumaczona na polski w 2012 r. Doszliśmy w niej do wniosku, że – mimo braku ostatecznych dowodów w formie ekshumacji i zbadania szczątków ciał ofiar – wszelkie przesłanki sugerują, iż za ludobójstwo odpowiedzialni są Niemcy z minimalnym udziałem niektórych lokalnych mieszkańców.

Przedstawiliśmy tę hipotezę, ponieważ pierwotnie przetworzony przez nas materiał dokumentalny i dowodowy nie był kompletny. W pierwszej fazie badań (1992–2005) nad Holokaustem w ogóle, a Jedwabnem szczególnie, zbadaliśmy podstawowe dokumenty, a w tym tzw. pierwszy proces jedwabiński (nazywany czasem niżej również „łomżyńskim" z uwagi na miejsce rozprawy sądowej) oraz zeznania ze źródeł żydowskich. W tym czasie wiele raportów śledczych i zeznań pozostawało utajnionych przed niezależnymi badaczami. Materiał taki przechowywano jako zastrzeżony pod pieczą prokuratorską w Instytucie Pamięci Narodowej i pod kuratelą Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie. Dlatego uprzednio nie pozwolono nam zapoznać się z większością materiału dowodowego wygenerowanego przez organa śledcze i sądownicze. Z małymi wyjątkami objęty był on tajemnicą śledztwa i – w większości – pozostawał poza obiegiem naukowym.

Tę poważną przeszkodę udało nam się pokonać – wytoczenie prywatnego pozwu doprowadziło do decyzji sądu, który nakazał dokumenty odtajnić. Dzięki temu zbadaliśmy wszystkie uprzednio niedostępne źródła: 39 tomów akt oraz wiele innych materiałów. Wyselekcjonowaliśmy je i przygotowaliśmy do druku w ramach naszego multidyscyplinarnego zespołu naukowego i redaktorskiego. W jego skład wchodzą: dr (teologii) Ewa Stankiewicz, dr (socjologii) Tomasz Sommer oraz prof. dr (historii) Marek Jan Chodakiewicz. Zespół nasz znalazł dodatkowe dowody na to, że nasza oryginalna hipoteza sprzed 20 lat była słuszna. Sprawcami zbrodni byli Niemcy, a udział niektórych Polaków śladowy.

Podzieliliśmy naszą pracę na części, w których omawiamy kolejno następujące problemy: metodologię badań zbrodni w Jedwabnem; 285 zeznań i uzasadnienie umorzenia autorstwa prok. Ignatiewa; Hermanna Schapera w aktach; historię ekshumacji, której nie było; łuski

„JEDWABNE, HISTORIA PRAWDZIWA: ZBRODNIA Z 10 LIPCA 1941 R."

w aktach; burmistrzów Jedwabnego w aktach; aneks: raport prof. Koli.

MIEJSCOWI – A NIE WYŁĄCZNIE „POLACY"

Najważniejsze konkluzje? Po pierwsze, z nowych dokumentów wyłania się lepiej oblicze sprawców i dynamika zbrodni. Masakry dokonała dość duża (do kilkudziesięciu osób, ale liczebność mogła się zmieniać) grupa Niemców z różnych formacji.

Miejscowych uczestniczyło aktywnie w tym raczej kilkunastu niż kilkudziesięciu. Zresztą do eskortowania 200 osób nie trzeba było aż tak wielu konwojentów, jak pisano w zeznaniach. Masowa mobilizacja lokalnych mieszkańców była zbędna do przeprowadzenia zbrodni – chyba że Niemcy chcieli związać ze swoimi kryminalnymi czynami jak najwięcej miejscowych, na co nie ma jednak pewnych dowodów. Z pewnością jednak miejscowi byli użyci do selekcji, a także do eskorty do stodoły większej grupy Żydów (kilku się do tego przyznało, podkreślając, że ich udział był efektem przymusu), ale nie wiedzieli, jaki ma być ostateczny skutek całej operacji.

Udział często wspominanych w publikacjach dotyczących Jedwabnego „polskich mętów", którzy rzekomo z zapałem palili Żydów, staje się bardziej dyskusyjny, niż sugerowały nasze wcześniejsze badania. Być może tak było, ale nie ma na to żadnych solidnych dowodów. W związku z tym musi nastąpić korekta czy też rewizja naszych rozważań. Na miejscu zbrodni znajdowali się po prostu miejscowi (nie wyłącznie „Polacy"), a czy byli „mętami" i jakie były ich przynależność narodowa czy kondycja psychiczna oraz sympatia czy antypatia do Żydów, tego się nie da jednoznacznie, empirycznie ustalić.

W materiałach śledztwa widzimy natarczywe pytania podczas przesłuchań o to, jakie były relacje narodowościowe w Jedwabnem. Prokurator nie rozumie, że to nie ma żadnego znaczenia. Czy stosunki były dobre czy złe – o masakrze decydowali Niemcy. Bo spontanicznie to być może miały miejsce jakieś prywatne porachunki i nic więcej. Koncepcja „zemsty" nie jest spójna, bo w warunkach drugiej wojny światowej w obecności Niemców albo Sowietów do spontanicznej zemsty nigdy nie dochodziło. Miało miejsce tylko to, co rozkazali okupanci. A właściwie wszystkie źródła podają, że Niemcy w Jedwabnem byli i w związku z tym siłą rzeczy odgrywali rolę kierowniczą.

Likwidacja pierwszej grupy Żydów nie jest w ogóle opisana w zeznaniach – z czego wynika, że Niemcy dokonali jej na własną rękę i bez świadków. Jak ci ludzie zostali zabici, to wyjaśni ekshumacja, ale nie jest wykluczone użycie broni palnej. Świadczą o tym odnalezione łuski.

Prokurator nadzorujący ostatnie śledztwo jedwabieńskie dokonał błędnej analizy dostępności broni w tamtym czasie. Nie wziął pod uwagę wczesnej wersji jednego z kluczowych modeli uzbrojenia, które najprawdopodobniej użyto do popełnienia zbrodni. Wyciągnął wnioski o walkach w 1945 r. w pobliżu stodoły, których w tym miejscu na pewno nie było. Nie potrafił właściwie ustalić nic nowego – poza niejasnymi sformułowaniami na podstawie karykaturalnej „ekshumacji".

OFIARY I ŚWIADKOWIE OSKARŻENIA

Poważnie należy kwestionować statystykę ofiar ludności żydowskiej w Jedwabnem. Na pewno liczba 1,6 tys. zamordowanych osób jest nieprawdziwa. Z nowo dostępnych zeznań wynika, że zginęło ok. 300 Żydów, najprawdopodobniej w dwóch grupach.

Świadek koronny Szmul Wasersztejn, od którego relacji rozpoczęła się „sprawa Jedwabnego", jawi się jako coraz mniej wiarygodny. Sądząc po jego formacji umysłowej, był religijnym Żydem, który miał silną awersję do Polaków katolików, a z wiekiem to się tylko u niego pogłębiało. Mógł być w chwili mordu w Jedwabnem, ale najprawdopodobniej niewiele widział. Chociaż nie jest wykluczone, że w ogóle nie było go na miejscu. Jego opowieści są pod względem lokalizacji niespójne, a z upływem czasu stają się coraz bardziej fantastyczne i – często – logicznie sprzeczne. Jest bardzo możliwe, że całą historię sobie wymyślił, dopisując swoją narrację do zasłyszanej od znajomych Polaków i Żydów.

eprasa.pl d3eaad21cf

Niemcy na rynku w Jedwabnem, 1941 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wygląda wręcz na to, że opisy Wasersztejna są wielce podkoloryzowaną kompilacją wygenerowaną z rozmów z innymi żydowskimi świadkami, z których tylko jeden najprawdopodobniej faktycznie schował się niedaleko miejsca zbrodni i mógł widzieć więcej niż inni. Do końca swego życia (a mieszkał w Argentynie) powtarzał, że w Jedwabnem obecni byli Niemcy i ich jako sprawców wskazywał.

Tymczasem Wasersztejn w swojej książce Niemców opisuje inaczej. W tej wersji w zbrodni nie uczestniczyli, a jemu stale pomagali. Przypomnijmy: to Wasersztejn jest źródłem tych wszystkich opowieści o głównym polskim sprawstwie zbrodni w Jedwabnem, które pojawiły się w innych, nielicznych relacjach żydowskich. Śledztwo prokuratorskie w ramach dochodzenia z początku XXI w. opiera się głównie na zeznaniach i opowieściach Wasersztejna.

INTERPRETACJA PROKURATORSKA

Prokurator Radosław Ignatiew przepytuje świadków w ścisłym kontekście opowieści Wasersztejna, czyli chce uzyskać potwierdzenie tej narracji. Zdecydowana większość przesłuchiwanych jednak takiej wersji nie potwierdza. Nie potwierdzają jej ani zeznania z procesów, ani ze śledztwa prok. Monkiewicza.

Potwierdzają ją natomiast świadkowie żydowscy (np. świadkowie pośredni i jeden świadek bezpośredni Avigdor Kochav, który zmienił zdanie na temat przebiegu zdarzeń gdzieś w latach 70. XX w., retrospektywnie usprawiedliwiając tę zmianę celowym fałszerstwem dokonanym przez spisujących jego relacje, i przejął tezę o bezpośrednim sprawstwie Polaków).

Poważnie należy kwestionować statystykę ofiar ludności żydowskiej w Jedwabnem. Na pewno liczba 1,6 tys. zamordowanych osób jest nieprawdziwa

Śledczy Ignatiew konsekwentnie ignoruje wszystkich świadków – zarówno chrześcijańskich, jak i żydowskich – których zeznania i relacje zaprzeczają prokuratorskiej tezie.

Analiza do tej pory zastrzeżonych materiałów prowadzi do wniosku, że konkluzja śledztwa prowadzonego pod auspicjami Instytutu Pamięci Narodowej jest błędna. Polskiego udziału w samym mordzie właściwie nie ma. Jest udział pod przymusem kilkunastu miejscowych o różnym pochodzeniu – część z nich została później oficjalnymi volksdeutschami – w selekcji oraz w eskorcie na różnych etapach zdarzenia. Jest wiele niejasnych szczegółów zdarzenia, ale ich się nie rozstrzygnie na obecnym etapie stanu wiedzy. Tylko ekshumacja może rozwiać najważniejsze wątpliwości, jednocześnie rozstrzygając o tym, jak została zamordowana domniemana pierwsza grupa ludzi doprowadzonych do stodoły w Jedwabnem.

Ustalenia prok. Ignatiewa traktowane są powszechnie jako ostateczna i potwierdzona wersja prawdy o zdarzeniach w Jedwabnem. Tymczasem zarówno ich status prawny, jak i naukowy nie pozwala ich tak traktować. W istocie są wątpliwą hipotezą śledczą, która w niniejszej pracy po raz pierwszy poddana została kompleksowemu sprawdzeniu pod względem zgodności ze zgromadzonymi dowodami. To sprawdzenie przyniosło jasny wynik: konkluzji śledczego Ignatiewa nie da się racjonalnie obronić.

JAK TO ZMANIPULOWANO

10 lipca 1941 r. do Jedwabnego przybyli Niemcy i dokonali masakry miejscowej ludności żydowskiej. Dowódcą oddziału morderców był najpewniej Hermann Schaper. Zbrodnia ta rozwijała się w etapach i nikt oprócz Niemców nie miał pojęcia, jak horrendalną kulminacją wszystko miało się zakończyć. Okupanci rozkazali Żydom zebrać się na rynku i w innych punktach zbornych, a jednocześnie przykazali miejscowym katolikom (a więc osobom głównie kojarzonym z polskością), aby uczestniczyli w doprowadzaniu i wyłapywaniu tych spośród ludności mojżeszowej, którzy nie stawili się na rozkaz. Po wykonaniu tego zlecenia przykazano katolikom pilnować zgromadzonych ludzi. Następnie Niemcy wymordowali Żydów, najpewniej w dwóch grupach.

Po 1945 r. pierwsze śledztwo i proces o mord w Jedwabnem zostały zmanipulowane w sowieckim stylu. Śledztwo podjęte w XXI w. charakteryzowało się brakiem merytorycznego przygotowania, kompetencji i wiedzy. Wynikało to z nacisków politycznych i społecznych na prokuratora pochodzących z najwyższych szczebli władz.

Pozytywnym aspektem śledztwa było zgromadzenie większości materiałów dotyczących jedwabińskiej zbrodni w jednym miejscu. Niestety, wyniki postępowania od początku utajniono i uniemożliwiono dostęp do nich niezależnym badaczom. To zmieniło się dopiero miesiąc temu, gdy – w odpowiedzi na prywatny pozew – sąd w Polsce zdecydował, że zbiór ten należy odtajnić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna nie na niby

Pożyczyłem tom wierszy Mickiewicza. Leżałem na ciepłym piasku i czytałem. Kilkanaście minut później coś gwizdnęło mi przy uchu, kopnęło w piasek i drobiny wleciały za kołnierz. Położyłem się na brzuchu. [...] Jakiś zapaleniec Piłsudskiego wlazł na strych i stamtąd próbował nas ustrzelić".

Powyższy cytat pochodzi ze wspomnień Sulejmana Mucharskiego, które zostały opublikowane w nowym numerze magazynu „Karta". Mucharski był Tatarem ze szlacheckiego rodu, który po wielu przygodach w trawionej przez ogień rewolucji Rosji trafił do Polski. Tu wstąpił do wojska. W 1926 r., podczas zamachu majowego, bił się po stronie rządowej. Był wówczas młodym podporucznikiem Oficerskiej Szkoły Inżynierii przy ulicy Koszykowej 79 w Warszawie. Szkoła, zgodnie ze złożoną przysięgą, opowiedziała się po stronie rządu i prezydenta. Przeciwko Piłsudskiemu. Tylko niewielka część żołnierzy zdezerterowała i przystąpiła do zamachowców.

„Z bramy wyskoczyło ze dwudziestu żołnierzy – wspominał Mucharski – i biegło prosto na nas. Zdążyłem krzyknąć do celowniczego: »Serię ponad głowami!«. Jedna taśma wyskoczyła pusta. 25 naboi poleciało do nieba. Wyjrzałem z okopu: ani śladu po atakujących. Więcej już się nie pokazali. Mieli świetne rozpoznanie o naszym stanowisku i mogli bardzo prosto zlikwidować nas granatami, jednak nie zrobili tego. Możliwe, że zrewanżowali się za nasze strzelanie do Pana Boga, bo przecież łatwo moglibyśmy przynajmniej połowę z nich wysłać na łono Abrahama". Zamach majowy nie był jednak zawsze taką „wojną na niby". Szkoła Oficerska straciła – po obu stronach – pięciu zabitych i dziewięciu rannych. Między innymi ppor. Zygmunta Jędrychowskiego, który zginął prowadząc oddział do ataku.

Głównym tematem nowej „Karty" jest Śląsk: plebiscyt, powstania i podział Śląska między II RP a Republikę Weimarską. Bardzo zajmujący jest również zbiór relacji polskich jeńców ze stalagu w Zeithain, którzy po kapitulacji III Rzeszy wyruszyli konną kolumną w drogę powrotną do Polski. „Karta" – jak zwykle – bardzo ciekawa. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
107/2021

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Król Roger

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że Jarosław Iwaszkiewicz, zanim na poważnie zajął się literaturą, skłaniał się w kierunku muzyki. W latach 1911–1912 wraz z dwoma kolegami z gimnazjum w Kijowie skomponowali sonatę, a następnie zabrali się do pisania opery opartej na „Portrecie Doriana Graya" Wilde'a. Pracy jednak nie ukończyli, gdyż Iwaszkiewicz postanowił dać ją do oceny Karolowi Szymanowskiemu. Ten, będąc już wówczas znanym kompozytorem, nie ukrywał krytycznych opinii i poradził młodszemu kuzynowi, by zastanowił się, czy chęć wypowiadania się w muzyce nie była pomyłką. Zasugerował, że może lepiej by było, gdyby „na serio wziął się do pióra".

W tej sytuacji Iwaszkiewicz nie upierał się przy muzyce i gdy w 1916 r. napisał powieść poetycką „Ucieczka do Bagdadu", pokazał ją Szymanowskiemu. Tym razem spotkał się z życzliwą oceną i nawet zaczęli omawiać adaptację utworu na libretto. Kompozytor ocenił też wysoko cykl wierszy Iwaszkiewicza „L'amour cosaque" i od tej pory „widział w nim kolegę artystę". Do pochwał dołączyła się Anna (Nula), siostra Szymanowskiego, co przyszłemu pisarzowi dodało wiary w swój talent literacki. Jednocześnie miał wrażenie, że akceptacja kuzynostwa oznaczała pasowanie go na twórcę.

Przełomowym momentem w życiu Jarosława było ponowne spotkanie z kompozytorem w czerwcu 1918 r. w Elizawetgradzie. Kuzyn był już wówczas po swoich podróżach do Włoch, na Sycylię i do Afryki Północnej, gdzie ostatecznie określił swoją orientację seksualną.

„Po raz pierwszy – wspominał pisarz – spotkałem się tutaj z Karolem jak równy z równym, mieszkaliśmy w jednym pokoju i całymi nocami gadaliśmy na tematy nas obchodzące. Bez końca opowiadał o Sycylii".

Rozpoczęła się ich bliska współpraca, a Iwaszkiewicza zafascynowała postać króla Rogera II. Naszkicował wstępnie dramat o sycylijskim królu i wysłał go Szymanowskiemu.

„Pobieżny szkic – entuzjazmował się kompozytor – który mi przysłałeś, olśnił mnie od razu swą dziwną bliskością, stał się jakby objawieniem własnej jakiejś tajemnicy! Oczywiście strasznie mi się podoba".

Szymanowski namawiał kuzyna do rozwinięcia tematu i w efekcie Iwaszkiewicz stworzył na jego bazie libretto opery „Król Roger" (prapremiera: 19 czerwca 1926 r.). Przy okazji było to też jedyne dzieło kompozytora, w którym pojawiły się wątki homoseksualne. Tymczasem rękopis jego powieści „Efebos", będącej pochwałą tego rodzaju orientacji erotycznej, ku zadowoleniu żyjących jeszcze członków rodziny Szymanowskich, spłonął podczas wojny. Tylko Iwaszkiewicz rozpaczał... ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

Piękny umysł ze Lwowa

Tomasz Zbigniew Zapert

Stanisław Ulam był jednym z geniuszy zatrudnionych przy konstruowaniu bomby nuklearnej. Do polskich kin wszedł właśnie film pt. „Geniusze", rekonstruujący amerykański okres jego biografii

Jego nazwisko ciągle w Polsce nie jest rozpoznawalne. A przecież uważany jest za czołowego matematyka współczesności. Stanisław Ulam zapoczątkował erę komputeryzacji, a także rewolucję cyfrową. Ba, był nawet kandydatem do Nagrody Nobla. Pozostaje niewiadomą, dlaczego mu jej nie przyznano. Może dlatego, że – jak powiadał – ma nieskończenie wiele wad, lecz skromność nie pozwala mu ich wszystkich wyliczyć…

Przyszedł na świat w 1909 r. we Lwowie w majętnej rodzinie adwokata pochodzenia żydowskiego. Już w szkole powszechnej był prymusem nauk ścisłych. W wieku nastoletnim analizował teorię względności Alberta Einsteina, interesował się pracami Henriego Poincarégo, czerpał wiedzę z dysertacji Hugona Steinhausa „Czym jest, a czym nie jest matematyka".

PRZY KAWIARNIANYM STOLIKU

Jego wykładowcami na Politechnice Lwowskiej byli uczeni tej miary co: Stefan Banach, Stanisław Mazur i Kazimierz Kuratowski. Bardzo szybko doszli do przekonania, że trafił im się student wyjątkowy. Wkrótce doszlusował do elity intelektualnej miasta Semper Fidelis. Galerii typów tyleż niepospolicie utalentowanych, co kolorowych i oryginalnych. Współtworzył z nimi sławetną lwowską szkołę matematyczną.

Nie była sformalizowana i charakteryzowała się pracą kolektywną przy stoliku lokalnej kawiarni Szkocka. Dziewiętnastoletni Ulam zaczął systematycznie uczestniczyć w tych regularnych konwentyklach, podczas których deliberowano nad najprzeróżniejszymi matematycznymi problematami, spisując je na serwetkach tudzież blatach. Nie wszystkie zatem odnotowano w specjalnej „Księdze szkockiej". Spośród zawartych w niej 193 zagadnień najwięcej, bo aż 40, postawił Ulam właśnie (część opracował do spółki z innymi).

Po ukończeniu edukacji akademickiej zdecydował się na karierę naukową. Ponieważ na krajowych uczelniach etatu znaleźć nie mógł, udał się – wyposażony w listy polecające od Steinhausa – za granicę. W 1935 r., dwa lata po obronie doktoratu, przybył do Wiednia, lecz po krótkim czasie – zauważywszy narastające poparcie Austriaków dla nazistów – przeniósł się do USA. Skorzystał z zaproszenia wystosowanego przez sławnego matematyka o węgiersko-żydowskich korzeniach, Johna von Neumanna. Polskę, rodzinny Lwów zwłaszcza, Ulam odwiedzał rokrocznie latem. Płynąc za ocean z końcem sierpnia roku 1939, zabrał na pokład transatlantyku „Batory" swego młodszego brata, Adama. Pozostali bliscy pozostali w grodzie nad Pełtwią na zawsze. Padli ofiarą Holokaustu.

Narracja międzynarodowej koprodukcji filmowej zaczyna się w pierwszych latach pobytu Ulama w Stanach Zjednoczonych. Zrazu mu się nie przelewało. Praca, niekiedy doraźna, na rozmaitych uczelniach z trudem pozwalała zapewnić wikt i opierunek – własny oraz brata, któremu finansował również studia. Sytuacja uległa wydatnej poprawie dopiero wówczas, gdy objął stałą posadę wykładowcy na uniwersytecie w Madison. Niebawem wystąpił o amerykańskie obywatelstwo, które dostał, zdając egza-

eprasa.pl d3eaad21cf

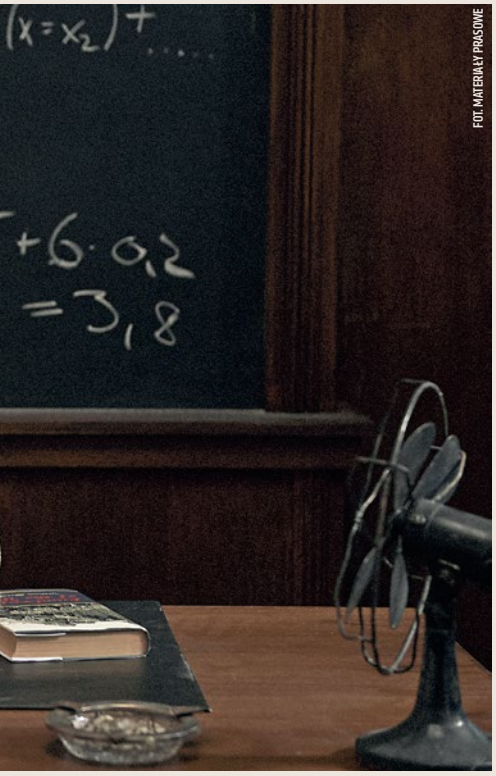

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

min ze znajomości dziejów przybranej ojczyzny.

PROJEKT „MANHATTAN"

Za sprawą rekomendacji udzielonej przez von Neumanna w roku 1943 otrzymał skierowanie do Los Alamos. W umiejscowionej tam bazie wojskowej US Army zatrudniono matematyków, fizyków, chemików i inżynierów uczestniczących w projekcie „Manhattan".

„W całej historii nauki nie było, choćby w wielkim przybliżeniu, takiego skupiska geniuszy" – konstatował po latach. Zdawał sobie sprawę, że wynik tych badań przyspieszy zakończenie drugiej wojny światowej, lecz jednocześnie będzie kosztował życie tysięcy niewinnych istnień ludzkich.

Zaprzyjaźnił się przede wszystkim z młodziutkim Richardem Feynmanem, przyszłym noblistą. Połączyła ich żywa inteligencja, a także poczucie humoru, wyrażane skłonnością do żartowania ze spraw najpoważniejszych.

To wtedy Ulam rozwinął teorię procesów gałązkowych do modelowania zjawiska powielania neutronów w materiale rozszczepialnym. To kluczowy proces zachodzący w trakcie wybuchu bomby atomowej. Był prekursorem metod numerycznych, pozwalających uzyskać przybliżone rozwiązanie, kiedy badany problem bywa niezwykle złożony. W ówczesnej epoce gros takowych obliczeń wykonywano ręcznie. Ulam wymyślił prosty sposób na przyspieszenie tych rachunków. Pomogła mu w tym... talia karciana (skądinąd kadra naukowa zgromadzona w Los Alamos rozładowywała napięcie, grając w wolnych chwilach w pokera – na pieniądze oczywiście). I z tej racji swój pomysł nazwał Monte Carlo. Z powodzeniem używa się go do dziś. Dzięki niemu pierwsze komputery mogły prowadzić symulacje skomplikowanych procesów, których dokładne rozwiązanie nie było możliwe.

Kiedy w 1949 r. Sowieci – wykorzystując dokumentację dostarczoną przez swych szpiegów, Klausa Fuchsa oraz małżeństwo Ethel i Juliusza Rosenbergów – wyprodukowali i przeprowadzili pierwszy test swej bomby nuklearnej, Amerykanie postanowili stworzyć tysiąckroć potężniejszą. Tym razem energię miała wyzwalać synteza jądra wodoru.

„GENIUSZE", SCENARIUSZ I REŻYSERIA: THORSTEN KLEIN; OBSADA: PHILIPP TŁOKINSKI (ULAM), ESTHER GARRELL, FABIAN KOCIĘCKI, SAM KEELEY, JOEL BASMAN, MATEUSZ WIĘCŁAWEK I INNI; PRODUKCJA: NIEMCY/WIELKA BRYTANIA/ POLSKA; DYSTRYBUCJA – TVP

10,4 MEGATONY

Konstrukcję nowej broni masowego rażenia powierzono Edwardowi Tellerowi, fizykowi węgiersko-żydowskiego pochodzenia. W skład jego teamu badawczego weszli: George Gamow, Amerykanin o rosyjskiej genealogii, współautor hipotezy, która dała początek teorii wielkiego wybuchu, oraz Ulam. Współpraca między nim a Tellerem szła opornie. O ile Gamowa i Polaka cementowało zbliżone podejście do nauki i skłonność do figli, o tyle kostyczny i nadzwyczaj ambitny Węgier uważał, że ignorują jego koncepcje. Tymczasem właśnie na ich kanwie Ulam brawurowo przeprowadził obliczenia z suwakiem logarytmicznym, ołówkiem i kartką, udowadniając, że do eksplozji nie dojdzie, ponieważ idea Tellera zawiera ułomności. Od tego momentu urażony naukowiec, nie mogąc pogodzić się z porażką, sekował i podważał osiągnięcia Polaka. Pomimo niesprzyjającego klimatu Ulam robił swoje i to właśnie jemu udało się w końcu znaleźć rozwiązanie, gwarantujące przezwyciężenie impasu. W rezultacie 1 listopada 1952 r. Amerykanie zdetonowali pierwszą na świecie bombę wodorową o mocy 10,4 megatony (Mt), co odpowiada mniej więcej mocy 700 bomb jądrowych zrzuconych na Hiroszimę.

„Wierzę, że odkrycie tego źródła energii było czymś w rodzaju ratunku. Przy bombie wodorowej sięgnęliśmy po tak straszliwą broń, że nikt nigdy nie będzie mógł jej użyć do zbrodniczych celów. W nauce są rzeczy nieuniknione. Wcześniej czy później ktoś musiał do tego dojść" – deklarował Ulam, mający świadomość dwuznacznej natury postępu.

Jego prace wywarły olbrzymi wpływ na wiele gałęzi matematyki. Przede wszystkim na trzy teorie: mnogości, miary oraz ergodyczną. Zajmował się także topologią i procesami gałązkowymi. Wspólnie z Enrico Fermim, Johnem Pastą i Mary Tsingou badał nieliniowe oscylacje strun. Przeszedł do historii jako genialny matematyk, myślący i funkcjonujący niesztablonowo, obdarzony charyzmą i emanujący humorem. Według legendy, gdy doradca prezydenta Johna F. Kennedy'ego zapytał go, w jakie projekty naukowe nowy prezydent powinien się zaangażować, odpowiedział: „Może wyprawa na Księżyc?".

Po niemal dekadzie spędzonej w Nowym Meksyku powrócił do pedagogiki. Mianowano go profesorem na Harvardzie. Intensywnie pracował nad zastosowaniem teorii prawdopodobieństwa w różnych dziedzinach nauki. Został osobistym doradcą prezydenta Kennedy'ego i członkiem Naukowego Komitetu Doradczego. Należał także do Komitetu Kosmicznego Air Force oraz był konsultantem wielu korporacji, m.in. giganta w zakresie informatyki IBM. Często wygłaszał eksperckie przemówienia w senackim Komitecie Energii Atomowej.

Polskę odwiedził w latach 70., będąc już na emeryturze. Umarł nagle – na atak serca – w 1984 r. w Santa Fe. W posłowiu do książki „Przygody matematyka" jego małżonka Françoise napisała: „Stan mawiał, że najlepszym sposobem na śmierć jest nagły atak serca lub strzał oddany przez zazdrosnego męża. Miał szczęście umrzeć w ten pierwszy sposób, choć myślę, że chyba wolałby ten drugi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z książki Mariusza Urbanka „Genialni. Lwowska szkoła matematyczna".

eprasa.pl d3eaad21cf

Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Donald Trump otworzył Ameryce oczy na zagrożenie płynące z Chin. Za rządów Borisa Johnsona Wielka Brytania sama przechodzi chwilę otrzeźwienia

Koniec naiwności

FOT. GETTY IMAGES

Gdy w 2013 r. Xi Jinping nadał impet swojej Belt and Road Initiative, Europa nie miała pojęcia, co oznacza to przedsięwzięcie. Zaczynał się okres wytężonej rywalizacji z Zachodem, jednostronnego starcia, którego stawkę wydawali się rozumieć tylko Chińczycy. Rządy Davida Camerona to czas wejścia komunistycznego kapitału na Wyspy Brytyjskie, epoka wnikania chińskich inwestycji do wszystkich branż. W 2015 r. ówczesny premier w strategicznych dokumentach podkreślał potrzebę współpracy z Państwem Środka, aby wspólnie stawić czoła globalnym wyzwaniom. Nie dopuszczał myśli, że największe wyzwanie na horyzoncie stanowią same Chiny.

INFILTROWANE UCZELNIE

Jo Johnson, były minister szkolnictwa wyższego i brat premiera, wydał raport, z którego wyłania się przerażający obraz. Brytyjskie uczelnie są uzależnione od czesnego chińskich studentów, a brytyjscy badacze wplątani w sieci zależności, które narażają bezpieczeństwo państwa.

Raport podaje, że przez ostatnie 20 lat stosunki między angielskimi a chińskimi instytucjami naukowymi stały się niebezpiecznie bliskie. Naukowcy z Wysp współpracowali z kolegami z Chin na polach o znaczeniu strategicznym, takich jak automatyzacja, telekomunikacja czy inżynieria materiałowa. Raport nie zaleca całkowitego zerwania z Państwem Środka. Namawia raczej do porzucenia naiwności, która panowała za Camerona, i do traktowania komunistycznego reżimu jako „potencjalnie wrogiego państwa". Dokument kładzie nacisk, że uczelnie muszą skończyć z uzależnieniem od „neototalitarnego państwa".

Projekty badań chińsko-brytyjskich rozwijają się od lat w tak wrażliwych dziedzinach jak np. energia jądrowa. Bez przesady można powiedzieć, że angielscy podatnicy finansowali komunistyczny program nuklearny, bo naukowcy z Chin i ich brytyjscy odpowiednicy wspólnie pracowali w laboratoriach na Wyspach, korzystając m.in. z superkomputera Archer i z akceleratora Diamond Light Source, wartego 260 mln funtów.

Współpracą z totalitarnym państwem od dawna kompromituje się Cambridge. Słynna uczelnia przyjmuje pieniądze od Huawei od 2010 r., a od 2017 r. gigant telekomunikacyjny finansuje tam specjalną grupę badawczą, przeznaczając na nią 25 mln funtów. Chińskie związki bywają jednak również o wiele mniej subtelne. Wydział kryminalistyki Cambridge prowadzi np. program wymiany, w ramach którego szkoli policję z Hongkongu, znaną z tłumienia – na polecenie Pekinu – demokratycznych protestów.

Najbardziej wstrząsający przykład współpracy Chin z Cambridge dotyczy badań nad żyroskopami, które wykorzystuje się w pociskach. Naukowcy z angielskiego uniwersytetu utrzymywali ścisłe kontakty z chińskim Uniwersytetem Technologii Obronnych, który stanowi placówkę wojskową. Japonia nałożyła sankcję na tę uczelnię ze względu na jej zaangażowanie w komunistyczny program rakietowy.

Oksford, kolejny sławny ośrodek akademicki, również splamił się podejrzanymi więzami z totalitarnym reżimem. Technologiczny olbrzym, Tencent, bliski chińskich służb, kupił prawo do nazwania katedry fizyki Oksfordu – nosi ona teraz nazwę Tencent-Wykeham professorship.

Angielskie służby otrząsnęły się z bierności i toczą śledztwa w sprawie ponad 200 brytyjskich naukowców, posądzanych o współpracę z Chinami przy budowie broni masowego rażenia.

Inny kłopot to przesiąknięcie uczelni studentami z Państwa Środka, ludźmi, których nie zawsze przyciąga głód wiedzy, lecz częściej rozkaz. Raport Henry Jackson Society wyciągnął na wierzch krępujący fakt: na zajęcia podyplomowe w Wielkiej Brytanii zapisało się ponad 900 Chińczyków powiązanych z armią. W angielskich instytutach, które skupiają się na konstruowaniu rakiet, myśliwców i superkomputerów, pracuje ponad 500 chińskich wojskowych badaczy.

Gdy w listopadzie w Anglii wprowadzono lockdown, lotniska

eprasa.pl d3eaad21cf

zamarły. W Manchesterze ruch jednak nie ustał, wylądowało 31 czarterowych samolotów. Na pokładzie 7 tys. chińskich studentów, sprowadzonych na studia w Manchesterze i na północy kraju. Wszystkie loty między Wielką Brytanią a Państwem Środka były wtedy zawieszone, lecz dla uniwersytetów uczyniono wyjątek. Nie mogły pozwolić sobie na odcięcie od chińskich pieniędzy. Kerry Brown z Lau China Institute przy King's College w Londynie – konsultowany przy wspominanym raporcie – oznajmił, że to anomalia, iż wolne nauczanie w Anglii uzależnione jest od pieniędzy płynących z totalitarnego państwa.

PRZESIĄKNIĘTA GOSPODARKA

Chińskie wpływy ogarnęły nie tylko szkolnictwo wyższe, lecz także życie gospodarcze Anglii. Ponad 200 brytyjskich firm znajduje się albo częściowo, albo całkowicie w chińskich rękach. Inwestycje pochodzące od komunistów sięgnęły 134 mld funtów.

Chińskie konsorcjum przejęło największy podmiot zajmujący się dystrybucją gazu w Anglii. Komuniści niebezpiecznie zbliżyli się także do sektora nuklearnego – China General Nuclear Power Group posiada jedną trzecią udziałów w elektrowni jądrowej powstającej w Hinkley Point.

Anglia weszła na drogę transformacji energetycznej i wzrastająca rola energii odnawialnych sprawia, że składowiska baterii będą szczególnie istotne. Państwowe przedsiębiorstwo, China Huaneng Group, buduje w Wiltshire największy w Europie tego rodzaju ośrodek.

Inwestorzy z Państwa Środka mieli do niedawna wolną rękę. Wykupili znaczące udziały w takich firmach jak Oxford Nanopore, która zajmuje się genetyką, albo Immunocore, która opracowuje metody leczenia nowotworów. Wdarli się również do branży technologicznej, przejmując Imagination Technologies, koncern projektujący półprzewodniki. Global Switch, angielski potentat z dziedziny przechowywania danych, też trafił w chińskie ręce.

PRÓBA JOHNSONA

Jedną z wybijających się cech Borisa Johnsona jest jego realizm. Próbkę dał w artykule z 2011 r., gdzie wyłożył swoją wizję ostatnich dekad. Pierwszym przełomowym momentem od zakończenia zimnej wojny był w jego oczach kryzys finansowy z 2008 r., który stanowił dla Zachodu upokorzenie. Po nim nastąpiły kolejne: fiasko amerykańskich interwencji w Iraku i w Afganistanie. Kapitał i zasoby zaczęły odpływać na Wschód, do Azji, Europa, spętana ograniczeniami narzuconymi przez Unię, nie jest w stanie się odrodzić – twierdził przyszły premier. Jego zdaniem Ameryka odwróci się od świata i zamknie w izolacji. Ta jasna wizja najnowszej historii kieruje jego polityką.

W wystąpieniu przed parlamentem Johnson stwierdził bez ogródek, że „Anglia musi na powrót nauczyć się rywalizowania z państwami, które wyznają przeciwstawne wartości do naszych". Pod jego wodzą Wielka Brytania przestała zaliczać się do państw tworzących powojenne status quo; świat uległ przeobrażeniom, często na gorsze, i Londyn chce nadawać mu nowy kształt. Kontrast między brytyjskim dynamizmem a unijną stagnacją ciągle przybiera na sile.

Państwowa instytucja zajmująca się radiofonią i telewizją odebrała już licencję chińskiej telewizji CGTN pod pretekstem, że jej programy powstają pod dyktando partii komunistycznej. Gdy CGTN zaproponowała przeniesienie licencji na inny podmiot, strona brytyjska odmówiła, tłumacząc, że ostatecznie telewizja nadal pozostawałaby pod nadzorem komunistów.

Pod koniec stycznia, wobec potęgującego się chińskiego nacisku na Hongkong, Londyn uruchomił program wizowy, który może objąć aż 2,9 mln mieszkańców tej byłej brytyjskiej kolonii. Anglia stanie się schronieniem dla dysydentów uciekających przed komunistyczną represją.

Od lat służby ostrzegały kolejne rządy, że państwo wystawione jest na chińskie działania wywiadowcze. Te głosy uciszano, aby nie mącić atmosfery współpracy między dwoma krajami. Johnson z tym skończył. W lutym wydalono z Wysp czterech chińskich szpiegów podających się za dziennikarzy. W parlamencie trwają dyskusje nad ustawą, która pozwoli ministrom na wetowanie przejmowania przedsiębiorstw, które działają w sektorach o strategicznej wadze. Inna ustawa już weszła w życie: każdy, kto pracuje dla obcego rządu na brytyjskim terytorium – np. jako lobbysta – musi, pod karą więzienia, zgłosić to władzom.

Na koniec warto przytoczyć pytanie brytyjskiego parlamentarzysty, Tima Loughtona, które powinno paść w każdym europejskim kraju: „Czy biorąc pod uwagę szkodliwe chińskie wpływy sięgające wrażliwych projektów na naszych uczelniach, złowieszcze macki instytutów Konfucjusza, oplatające nasze kampusy i szkoły, nie wspominając o kupowaniu wpływów w zarządach spółek, rząd podda szczegółowemu prześwietleniu rozmiary chińskich wpływów w systemie szkolnictwa, w dziedzinie wojskowości, w biznesie i w projektach infrastrukturalnych? A jeśli jego wyniki potwierdzą chińską obecność we wszystkich tych miejscach, działającą wbrew interesowi narodowemu, to czy pozbędzie się jej?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Piotr Włoczyk

Minister spraw zagranicznych Niemiec marzy o zakazaniu w UE weta w sprawach wspólnej polityki zagranicznej. To nie pierwszy tak kontrowersyjny pomysł Heiko Maasa

Maas, czyli zakaz

Nie możemy dłużej pozwalać na to, by być zakładnikami tych, którzy swoim wetem paraliżują europejską politykę zagraniczną. Ci, którzy to robią, w krótkiej lub w dłuższej perspektywie igrają ze spójnością Europy. Dlatego mówię otwarcie: weto musi zniknąć, nawet jeżeli oznacza to, że możemy zostać przegłosowani" – powiedział na początku czerwca szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas. Stanowisko ministra Maasa jest o tyle niezwykłe, że Niemcy bardzo rzadko tak wprost ustawiają się jako siła sprawcza stojąca za wielkimi zmianami w UE, mającymi odebrać państwom członkowskim kolejne prerogatywy. Heiko Maas dodał, że zniesienie weta odsunęłoby groźbę powstania „Europy dwóch prędkości".

Słowa szefa niemieckiego MSZ wywołały wielki aplauz po stronie zwolenników ścisłej unijnej integracji zmierzającej do stworzenia europejskiego superpaństwa. Propozycja ta ma wielkie grono zwolenników szczególnie wśród lewicy zasiadającej w Parlamencie Europejskim.

„Racja! Nakładanie sankcji na Białoruś trwa miesiącami, Węgry wstrzymują oświadczenie w sprawie Hongkongu, Cypr wetuje ambicje G7 w sprawie opodatkowania przedsiębiorstw… Każdego dnia widzimy kolejny przykład pokazujący, że jednomyślność zabija skuteczność i wiarygodność UE" – skomentował propozycję Maasa Guy Verhofstadt, lider grupy liberalnej w Parlamencie Europejskim.

„Gazeta Wyborcza" nazwała ten pomysł „rewolucją Maasa". Jednak o ile sama redakcja z uznaniem odnosi się do likwidacji prawa weta w polityce zagranicznej, o tyle jednak „GW" studzi emocje, cytując anonimowego dyplomatę z Brukseli: „Nie na tym etapie rozwoju Unii. Czy ktoś wyobraża sobie przegłosowanie Grecji w sprawie polityki UE wobec Turcji? Albo przegłosowanie Polski w sprawie Rosji?".

– To marzenie federalistów od wielu, wielu lat. Ci ludzie chcą, by wszystkie decyzje w UE zapadały większością głosów – mówi „Do Rzeczy" Witold Waszczykowski, europoseł PiS, były minister spraw zagranicznych Polski. Jak podkreśla, paradoksalnie decyzja o usunięciu wymogu jednomyślności w sprawach zagranicznych musi być podjęta na zasadzie konsensusu.

– Nie ma więc żadnych szans, by tak się stało. Na szczęście mamy w UE niemałą grupę państw, które bronią suwerenności członków tej organizacji.

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. DAINA LE LABOUC/EP/EUROPEAN UNION

Sprawy związane z bezpieczeństwem nie mogą być rozstrzygane większością głosów – podkreśla Witold Waszczykowski. – Każde z państw członkowskich ma inną wrażliwość i inaczej określa swoją skalę zagrożeń. Kwestie bezpieczeństwa są wyłączone spod kompetencji UE, a tymczasem Heiko Maas otwarcie deklaruje, że polityka zagraniczna UE, która dotyka przecież bezpośrednio bezpieczeństwa, powinna być kształtowana na zasadzie decyzji większości. To skrajnie szkodliwe, ponieważ większość mogłaby lekceważyć istotne interesy mniejszości. Polska takich rozwiązań na pewno nie poprze. Wydaje mi się, że nawet gdyby PiS odszedł od władzy, to nowa koalicja z PO na czele też nie poparłaby aż tak skrajnie niebezpiecznego dla nas projektu.

Słowa Maasa o państwach, które korzystając z weta, „igrają ze spójnością Europy", odnoszą się przede wszystkim do Węgier. Niemieckie media przekonując czytelników, że weto musi zniknąć, powoływały się na dwa ostatnie przykłady, gdy Viktor Orbán powiedział głośno „nie". W kwietniu Budapeszt zawetował unijną deklarację potępiającą Chiny za „prawo antyterrorystyczne" wprowadzone w Hongkongu, z kolei w maju Węgrzy zablokowali rezolucję wzywającą Izrael i Hamas do zawieszenia broni. W obu przypadkach Węgrzy realizowali swoją wizję polityki zagranicznej, zakładającą zbliżenie z Chinami i jednoznaczne wspieranie Izraela w konflikcie z Palestyńczykami.

Viktor Orbán skrytykował propozycję Heiko Massa, mówiąc, że europejska lewica, pod wodzą niemieckiej lewicy (szef niemieckiej dyplomacji jest politykiem SPD), atakuje Węgry z powodu „braku zgody na podpisanie politycznie nieistotnej i lekkomyślnej deklaracji w sprawie Hongkongu".

Premier Węgier dodał, że unijne deklaracje w sprawach zagranicznych wyglądają jak „żałosne papierowe tygrysy", a sprzeciw Węgier wobec deklaracji wymierzonych w Chiny ma być – według niego – chęcią zabezpieczenia Europy przed powrotem do zimnowojennej polityki.

KAGANIEC DLA NIEMCÓW

Propozycji usunięcia weta z unijnego forum na pewno nie pomaga w oczach sceptyków fakt, że zgłosił ją minister, który dał się poznać jako polityk konstruujący narzędzia odbierające wolność. To właśnie Heiko Maas, ówczesny minister sprawiedliwości Niemiec (funkcję tę sprawował do 2018 r., kiedy przesiadł się na fotel szefa MSZ), był autorem słynnej „Netzwerkdurchsetzungsgesetz", ustawy uchwalonej w 2017 r. przez Bundestag, która poddana została w Niemczech ogromnej krytyce. Wedle zapewnień jej autora prawo to ma chronić niemieckie społeczeństwo przed rozlewaniem się w Internecie „mowy nienawiści" i fake newsów, ale nie tylko w Niemczech eksperci doszli do wniosku, że w istocie jest to zwykły kaganiec. Nie przypadkiem ustawę bezlitośnie skrytykował specjalny sprawozdawca ONZ ds. wolności wyrażania opinii oraz wolności wypowiedzi, a Reporterzy bez Granic stwierdzili, że prawo to grozi „olbrzymim zawężeniem podstawowych swobód dziennikarskich i wolności wypowiedzi". Jak ustawa Maasa zadziałała w praktyce?

– Heiko Maas stworzył prawo, które ogranicza wolność wypowiedzi w Internecie. Przykładowo pisanie o faktach w kontekście islamu grozi zablokowaniem. Podam panu przykład: chciałam nagłośnić przypadki, gdy tubylczą ludność Indonezji zmusza się do przyjęcia islamu. Nie mogę jednak tego robić, ponieważ jest to blokowane. Takie rzeczy tylko w Niemczech. To jest niebezpieczne, ponieważ inne kraje mogą pójść naszą drogą. W ten sposób atomizuje się społeczeństwo, utrudnia się skupianie ludziom wokół ważnych tematów i stawianie oporu złej polityce – powiedziała „Do Rzeczy" Rebecca Sommer, niemiecka działaczka na rzecz praw człowieka, która po 2015 r., gdy Europę zalała fala imigrantów z krajów muzułmańskich, przeszła drogę od skrajnej lewicy do prawicy.

Słowa Maasa o państwach, które korzystając z weta, „igrają ze spójnością Europy", odnoszą się przede wszystkim do Węgier

Ustawa Maasa zmusza wielkie platformy społecznościowe do wprowadzania jeszcze większej cenzury, niż technologiczne giganty same z siebie chcą wprowadzać w Internecie. Przede wszystkim chodzi o wyłapywanie i blokowanie słów mających uderzać w mniejszości, które państwo niemieckie postanowiło w sposób szczególny chronić. Co ciekawe, Heiko Maas sam padł „ofiarą" tego prawa, gdy Twitter skasował mu w 2018 r. wiadomość, w której minister w mało parlamentarny sposób odniósł się do swojego przeciwnika politycznego. Na mocy „Netzwerkdurchsetzungsgesetz" wielkie platformy społecznościowe mają raportować niemieckim władzom o postępach w walce z „mową nienawiści", a jeżeli zostałyby one uznane za niewystarczające, to firmom tym grożą grzywny nawet do 50 mln euro.

Heiko Maas aktywny jest również na froncie stricte ideologicznym, gdzie dał się poznać jako niezłomny sojusznik środowiska LGBT i feministek. Jednym z najbardziej znanych zakazów, które promował jako minister sprawiedliwości, był pomysł delegalizacji „seksistowskich reklam". Minister Maas parł do niego zawzięcie, choć oczywiste było, że nie sposób wprowadzić jasnych kryteriów, które zdefiniowałyby, czym jest seksizm w reklamie. Przy tej okazji nawet bardzo liberalny światopoglądowo lider FDP Christian Lindner nie wytrzymał i porównał Maasa do islamskiego radykała, który chce walczyć z kobiecym czarem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

GREENPEACE WYLĄDOWAŁ I SĄ RANNI

Organizacja Greenpeace postanowiła zrobić spektakularną akcję wymierzoną m.in. w koncern Volkswagen, który jest jednym ze sponsorów Euro 2020. Spadochroniarz (z napisem na spadochronie „Wykopać ropę!" – czyli wezwaniem do zaprzestania produkcji samochodów z silnikami Diesla i benzynowymi) wylądował na stadionie w Monachium tuż przed rozpoczęciem meczu Niemcy–Francja. Spadochroniarz zahaczył o instalacje z podwieszanymi kamerami, a podchodząc do lądowania, ranił kilku kibiców. Greenpeace przeprosiła. Sprawą zajmuje się policja.

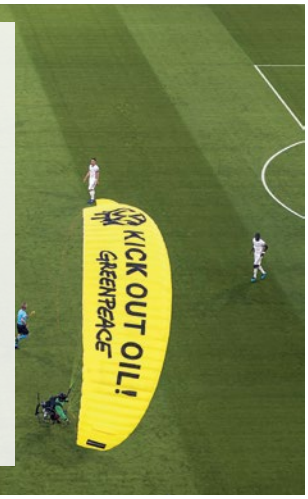

FOT. MORITZ MUELLER/EAST NEWS

PULITZER ZA NAGRANIE KOMÓRKĄ

Jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień w dziennikarstwie – Nagroda Pulitzera – zostało przyznane 18-latce, która zarejestrowała smartfonem aresztowanie George'a Floyda przez policję w USA (Floyd podczas interwencji zmarł, a jego śmierć stała się przyczyną wybuchu protestów i ruchu BLM). Jury uzasadniło, że nagroda jest za „odważne nagranie morderstwa George'a Floyda i stworzenie wideo, które wywołało protesty przeciw brutalności policji na całym świecie".

POLICJANCI WIELBIĄCY HITLERA

Rozwija się sprawa funkcjonariuszy policji z Hesji w Niemczech, których przyłapano na przesyłaniu sobie prawicowo-ekstremistycznych treści na internetowych czatach. Okazało się, że dotyczyło to nie – jak wstępnie ustalono – 18 policjantów, ale w sumie 49. Minister spraw wewnętrznych Hesji z tego powodu rozwiązał już specjalną grupę zadaniową komendy głównej policji we Frankfurcie. Do tej pory zbadano treść ok. 18 tys. czatów. Funkcjonariusze mieli na nich wysyłać sobie m.in. swastyki i zdjęcia Hitlera.

PRAWDZIWY JONASZ

56-letni mężczyzna zajmujący się połowem homarów nurkował u wybrzeży Cape Cod w Massachusetts. W pewnym momencie – jak relacjonował – poczuł wstrząs i ogarnęła go ciemność. Szybko zorientował się, że został połknięty przez humbaka. Szamotał się w środku przez ok. 30–40 sekund. Ostatecznie wieloryb wynurzył się i go wypluł.

PRAWIE MILION ZASIŁKU DLA BEZROBOTNEGO

W Portugalii władze banku odkryły nietypowy przelew. Na konto bezrobotnego mieszkańca państwowy ubezpieczyciel przelał zasiłek sięgający blisko 800 tys. euro (średni miesięczny zasiłek wynosi tam 510 euro). Tamtejsze media twierdzą, że mogło dość do pomyłki. Jednak służby uruchomiły śledztwo, które ma wyjaśnić, czy w ten sposób ktoś nie próbował prać brudnych pieniędzy. Na razie największe konsekwencje poniósł bezrobotny – zablokowano mu transakcje on-line w banku, w którym posiada konto. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

1:0 dla Putina

Władimir Putin powrócił na światowe salony. Prezydent Rosji – ten sam, który w 2008 r. dokonał agresji na Gruzję, a w roku 2014 napadł na Ukrainę. Przywódca kraju, którego wojska wciąż okupują Krym i destabilizują Donbas i którego płatni zabójcy dokonują ataków terrorystycznych w Europie, przybył do willi w Genewie, gdzie spotkał się z uśmiechniętym od ucha do ucha prezydentem USA.

Już sam szczyt dał Putinowi to, na czym najbardziej mu zależało. Zakończył izolację kraju, który konsekwentnie dokonuje kolejnych aktów agresji. Kreml osiągnął ten cel bez ustępstwa o krok w jakiejkolwiek sprawie. Dumny z siebie Joe Biden podkreślił na konferencji prasowej, że jego agenda nie jest skierowana przeciw Rosji. Cieszył się, że w rozmowach między Waszyngtonem a Moskwą powrócił „dobry ton". Chwalił się również, że ostrzegł rosyjskiego władcę, iż konsekwencje śmierci Nawalnego – opozycjonisty, którego ludzie Putina najpierw próbowali zabić, a następnie wtrącili do kolonii karnej, gdzie Nawalny wegetuje na granicy życia i śmierci – byłyby „katastrofalne".

Równie tragikomiczne było przekazanie Putinowi listy 16 „krytycznych infrastruktur", które mają być wolne „od wszelkich ataków" rosyjskiej cyberarmii. Ciekawe tylko, co zrobi Biden, gdy Kreml przekroczy kolejną czerwoną linię. Powie Putinowi, że zrobił mu przykrość, czy zdecyduje się użyć amerykańskich cyberwojsk?

Prezydent USA zapewnił też o „niepodważalnym" poparciu dla suwerenności Ukrainy. Złośliwi zauważą, że tuż przed szczytem odwołał sankcje wobec Nord Stream 2, którego ukończenie uderzy w suwerenność energetyczną Ukrainy. Kijów może być jednak pewny: w razie inwazji na pełną skalę Biden odważnie i głośno powie, że to „bardzo nieładnie". ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

O innowacjach na Forum

Piotr Hofman

Wiele mówi się obecnie o rozwoju gospodarki i perspektywach Polski na najbliższe lata. To dobrze, że dyskusja na ten temat trwa. Jej istotnym elementem jest kwestia innowacyjności. To ważne zagadnienie, zupełnie jasne jest bowiem, że nie ma szans na trwały wzrost ekonomiczny bez innowacyjnych rozwiązań produktowych, produkcyjnych czy menedżerskich. Tak, sprawa jest oczywista, ale i bardzo trudna jednocześnie. Diagnozę postawić jest bowiem dużo łatwiej niż znaleźć sposób na to, aby pod polskimi markami na rynek trafiały samochody, telewizory czy komputery. Pod względem najnowszych technologii wciąż daleko nam do liderów.

Kluczowe jest jednak to, jak tę sytuację zmienić. I o tym, w poniedziałek 14 czerwca w Warszawie, dyskutowali Goście Forum Innowacji zorganizowanego przez magazyn „Forum Polskiej Gospodarki" oraz portal fpg24.pl. Miałem przyjemność uczestniczyć w jednej z debat w ramach tego wydarzenia. Wraz z innymi prelegentami, wśród których byli doradca prezydenta Zdzisław Sokal, Piotr Palutkiewicz z Warsaw Enterprise Institute oraz Maciej Makuszewski, dyrektor Biura Strategii Totalizatora Sportowego, dzieliliśmy się doświadczeniami i pomysłami dotyczącymi tego, jak budować gospodarkę opartą na wiedzy. Ja odwołałem się do doświadczeń podmiotu, którym zarządzam na co dzień, czyli Grupy Kapitałowej HM Inwest. W jego ramach staramy się patrzeć na innowacje szeroko, widzimy potencjał do aktywności w tym obszarze, zarówno jeśli chodzi o ofertę produktową (budownictwo modułowe), menedżerską, jak i konkurencyjność eksportową i młode talenty. Innowacje dają przewagę w biznesie, ale trzeba umieć je wdrażać – potrzebne kompetencje w tej sferze budujemy w Grupie od lat i widzimy, że przynosi to oczekiwane efekty.

Podczas dyskusji podjęta została także kwestia roli państwa w stymulowaniu innowacyjności. I chociaż co do szczegółów były w tej materii pewne rozbieżności, to jednak zgodziliśmy się, że jeśli ma ono wspierać innowacje, to warto, aby robiło to skutecznie i efektywnie. W tym kierunku idzie np. PFR, który powołał fundusz dostarczający środki do podmiotów typu Venture Capital. Dzięki nim VC mogą inwestować w ciekawe i perspektywiczne biznesowo pomysły. Wiadomo bowiem, że dobry projekt to za mało do osiągnięcia sukcesu. Potrzebne są także pieniądze, aby mógł rozwinąć skrzydła. Pomagają w tym także spółki Skarbu Państwa, powołując korporacyjne VC (CVC), które następnie szukają atrakcyjnych okazji do ulokowania kapitału.

Była także mowa o zamówieniach publicznych, które pod rządami nowej ustawy mają szansę być narzędziem do rozwoju innowacyjności w Polsce. Znaczenie zamówień publicznych dostrzegli autorzy Polskiego Ładu. To dzięki wydawanym przez państwo środkom rosnąć powinny także małe i średnie polskie firmy. Państwo jako zamawiający powinno umiejętnie zgłaszać popyt na takie rozwiązania, które będą służyć wysokiej jakości usług publicznych i jednocześnie napędzą wzrost gospodarczy oparty na najnowszych technologiach.

Druga debata, która odbyła się przy okazji omawianego wydarzenia, dotyczyła rynku FinTech. To bardzo dobrze rokująca branża, w której podmioty z Polski dynamicznie się rozwijają i mają szansę osiągnąć sukces o międzynarodowej skali. Jeśli gdzieś mamy szukać fundamentów dla innowacyjności, to właśnie w sektorze FinTech. Łączy on tak istotne sfery jak dokonywanie płatności on-line, analizy wielkich zbiorów danych (big data) czy szybki dostęp do finansowania. Prelegenci zastanawiali się, jak może wyglądać współpraca na linii banki – sektor FinTech, skąd tego typu przedsięwzięcia mogą brać kapitał i jakie są główne zagrożenia dla ich rozwoju. To temat na czasie, warto zatem trzymać rękę na pulsie i zapoznać się z treścią debaty.

Całość wydarzenia obejrzeć można na stronie fpg24.pl. Przy okazji wydany zostanie specjalny raport poświęcony innowacyjności, który będzie także dostępny na tym portalu. Sądzę, że to nie ostatnie wydarzenie tego typu, które redakcja „Forum Polskiej Gospodarki" planuje zorganizować. Znakomici prelegenci, bardzo ważny temat i wysokiej jakości dyskusja gwarantowana. Zachęcam zatem do obejrzenia!

eprasa.pl d3eaad21cf

Ropa odpływa

Robert Kuraszkiewicz

Wiek XX w światowej polityce i gospodarce był wiekiem ropy naftowej. Jednak dekadę temu ta dominacja ropy zaczęła się kończyć. Pandemia tylko przyspiesza tę zmianę

Przez cały wiek XX kontrola nad zasobami ropy determinowała politykę światową i w czasach zimnej wojny była to jedna z przewag Związku Sowieckiego, który miał ogromne własne pokłady ropy. Po upadku komunizmu nastąpiła era globalizacji, a globalizacja napędzana była ropą. Przyczyną sukcesu gospodarek Zachodu w XX w. był rozwój przemysłu, a perłą w koronie tego procesu był przemysł samochodowy. Model ten był powielany przez Japonię, Koreę Południową, a na samym końcu Chiny. Wzrost globalnego handlu na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia również w całości napędzany był ropą. Wszystkie towary i ludzi trzeba było przetransportować, a każdy samochód, ciężarówka, statek, samolot wymagał jednego: paliwa. Wydawało się, że ten model jest modelem docelowym, że światowa polityka gospodarcza osiągnęła swój „koniec historii", a głównym wyzwaniem będzie zapewnienie dostępu do zmniejszających się zasobów surowcowych. W oczywisty sposób ta wizja budowała pozycję państw dysponujących własnymi zasobami ropy. Zakładano, że ich dochody będą rosły tak jak pozycja strategiczna. Najbardziej miały na tym korzystać Bliski Wschód i Rosja.

Ten scenariusz przyszłości jest już przeszłością. Pierwszą odpowiedzią na wizję rosnących cen ropy naftowej wynikających z jej braku była rewolucja technologiczna w sektorze wydobywczym. Najbardziej widomym jej znakiem było wykorzystanie technologii wydobycia gazu z formacji łupkowej do eksploatacji ropy. Eksperymenty wypadły pozytywnie i dzięki temu Stany Zjednoczone w 2018 r. wróciły na pozycję największego producenta ropy na świecie. W tym samym czasie rozwój nowoczesnych technologii, jak np. sejsmiczne badanie 3D, i odkrycie innych niekonwencjonalnych złóż, jak np. formacji piasków roponośnych w Kanadzie, doprowadziły do wzrostu udokumentowanych i możliwych do wydobycia złóż ropy. Na dodatek nowe technologie spowodowały, że z pokładów można wydobyć więcej surowca, niż zakładano wcześniej. Nagle okazało się, że wizja braku ropy na świecie się oddala, gdyż pojawiła się jej obfitość, i to z zupełnie niespodziewanej strony. To wszystko wpłynęło na spadek i stabilizację cen surowca z rekordowego poziomu powyżej 150 dol. za baryłkę na początku 2008 r. do średniego poziomu ok. 60 dol., w granicach od 40 do 80 dol., w latach 2017–2019. Jeszcze wówczas można było zakładać, że wedle klasycznych reguł rynkowych niższa cena spowoduje większy popyt i kolejne braki na rynku skutkujące wzrostem cen i tak dalej w kolejnym cyklu popytowo-podażowym. W efekcie rola państw dysponujących zasobami ropy będzie nadal rosła, a deficyty budżetowe będą tylko przejściowymi kłopotami, bo wzrost cen pokryje je z nawiązką.

OSTATNIA TAKA DEKADA

Dzisiaj jesteśmy już jednak w innej rzeczywistości. Międzynarodowa Agencja Energii przewiduje, że żyjemy w ostatniej dekadzie wzrostu spożycia ropy globalnie, czyli że szczyt nastąpi najpóźniej ok. roku 2030. Można zapytać, czy to nie jest kolejna chwilowa moda pod wpływem spadków konsumpcji wynikających z pandemii i kolejnych obostrzeń, a w miarę powrotu światowej gospodarki do wzrostu nastąpi jeszcze szybszy wzrost produkcji ropy? Otóż nie. Od początków trzeciego tysiąclecia mają miejsce procesy, które oznaczają

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

początek końca ery ropy naftowej i trwale zmieniają geopolitykę surowcową. Owszem, pandemia przyczyniła się do radykalnego spadku konsumpcji ropy na świecie. Jak podaje World Energy Outlook w raporcie na 2021 r., spożycie ropy na świecie w roku 2019 wynosiło 99,7 mln baryłek dziennie, w 2020 r. tylko 91 mln, a powrót do poziomu z 2019 r. jest przewidywany na koniec 2022 r. Jednak tak jak w wielu innych obszarach, również i w tym pandemia sama w sobie nie przynosi żadnej zmiany. Radykalnie tylko przyspiesza procesy, które i tak już występowały.

Pierwszą oznaką zmieniających się trendów było zatrzymanie wzrostu popytu, a następnie jego spadek w rozwiniętych gospodarkach. Zdecydowały o tym trendy demograficzne, poziom rozwoju, nasycenie rozwiniętych rynków samochodami, rozwój technologii, wzrost efektywności energetycznej, w tym konsekwentny spadek średniego zużycia paliwa w silnikach samochodowych wymuszany decyzjami politycznymi, oraz zmiany cywilizacyjne. Jeszcze pomiędzy rokiem 2000 a rokiem 2019 (rok 2020 jako rok pandemii nie jest dobrym punktem odniesienia) światowa konsumpcja ropy wzrosła o 30 proc. Ale w USA wzrosła bardzo niewiele, w Europie niewiele spadła, a bardzo wyraźnie w Japonii. To wszystko miało miejsce jeszcze przed efektywnym wdrożeniem polityki ograniczającej emisję CO_2. Dzisiaj Międzynarodowa Agencja Energii w scenariuszu bazowym przewiduje, że w 2025 r. konsumpcja ropy wzrośnie o 3,5 mln b/d (baryłek dziennie) w odniesieniu do roku 2019, ale gdyby wdrożyć wszystkie ustalenia paryskiego szczytu klimatycznego, to mielibyśmy spadek o 3 mln b/d. MAE prognozuje jednocześnie, że na rozwiniętych rynkach konsumpcja ropy nigdy już nie wróci do poziomu sprzed pandemii. Wzrost netto globalnego zużycia zawdzięczamy w całości popytowi ze strony krajów rozwijających się, szczególnie Azji – przede wszystkim Chin i Indii, które adekwatnie obecnie są drugim i trzecim konsumentem ropy na świecie. Żaden z tych krajów nie dysponuje własnymi obfitymi źródłami surowca i jest skazany na rosnący import. W sposób niebagatelny wpływa to na ich strategię surowcową, skłaniając również do poszukiwań nowych rozwiązań technologicznych zmniejszających użycie ropy.

TERAZ ELEKTRYCZNOŚĆ

Rozwój technologiczny był niezbędnym warunkiem, który ten zwrot umożliwił. Symbolem nowych technologii jest napęd elektryczny w samochodach. Chociaż Daniel Yergin – światowy ekspert w dziedzinie surowców energetycznych – podkreśla, że jest to raczej powrót, bo przecież w momencie pojawienia się pierwszych automobili to napęd elektryczny był realną alternatywą dla napędu spalinowego.

Samochody elektryczne są tylko wierzchołkiem góry lodowej i dobrym, bo powszechnie zrozumiałym przykładem rewolucji technologicznej i cywilizacyjnej, którą współczesny świat przechodzi. Świadomość ekologiczna, nowoczesne technologie, zmiany cywilizacyjne, a także interes strategiczny i chęć uniezależnienia się państw Zachodu od surowców węglowodorowych – to wszystko wpływa na spadek popytu na ropę. Tę opowieść można snuć dalej, ale w tym momencie najważniejsze jest to, że suma zmian powoduje, iż nasze życie i gospodarka będą potrzebowały mniej ropy. Można dodać, że będziemy potrzebowali mniej ropy, ale więcej elektryczności.

Nie oznacza to, że z roku na rok ceny ropy będą tylko spadały. Wahania będą miały miejsce jako naturalny element bieżącej gry podażowo-popytowej. Proces odchodzenia od ropy będzie długotrwały. Na pewno będą się zdarzały szoki spowodowane niespodziewanymi wydarzeniami, konfliktami i ewentualnymi wojnami. Trzeba również podkreślić, że ropa naftowa nie służy wyłącznie do produkcji paliw. Gama produktów przemysłu petrochemicznego jest dużo szersza i ta produkcja będzie rosła. W dłuższej perspektywie globalna podaż pozostająca w gestii krajów-wydobywców będzie jednak wyższa niż popyt i samo to będzie ograniczało wzrost ich cen.

Zmiany na rynkach surowców węglowodorowych już dzisiaj pociągają za sobą tektoniczne zmiany w światowej polityce. Na przykład Stany Zjednoczone obecnie w sposób bezbolesny mogą zrezygnować z dostaw ropy z Bliskiego Wschodu. Odwrotnie Chiny, które są coraz bardziej uzależnione od importu z tego regionu świata, a dodatkowo nie posiadając rozwiniętej dalekomorskiej marynarki wojennej, są narażone na przerwanie łańcucha dostaw. Arabia Saudyjska poszukuje metod dywersyfikacji własnej gospodarki, żeby zmniejszyć jej zależność od eksportu ropy naftowej. Rosja również musi przewartościować własną politykę surowcową i uwzględnić relatywnie mniejsze dochody w przyszłości.

Mocno się dziwię, że w Polsce polityka dekarbonizacji i odchodzenia od węglowodorów budzi, zwłaszcza w kręgach prawicowych, tak silny opór. W swojej konsekwencji oznacza ona spadek znaczenia państw eksportujących surowce energetyczne, w tym przede wszystkim Rosji. Ponadto zmiany technologiczne z tym związane oznaczają nowe rozdanie w światowej polityce gospodarczej, a każde nowe rozdanie stwarza dla naszego kraju szanse i powinniśmy się koncentrować na tym, żebyśmy ich nie przegapili.

Jeżeli wiek XIX był wiekiem węgla, wiek XX wiekiem ropy naftowej, to wiek XXI będzie wiekiem elektryczności. To elektryczność będzie napędem światowej gospodarki, a zapewnienie stabilnej i taniej energii elektrycznej najważniejszym wyzwaniem strategicznym. A nawet dużo więcej. Dzisiaj prąd jest jak powietrze. W codziennym funkcjonowaniu nie zauważamy, że jest nam niezbędny. Dopiero gdy go zabraknie, zdajemy sobie sprawę, że nie możemy bez niego żyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

Joanna Bojańczyk

Biedny czy bogaty? Kiedyś można to było stwierdzić po atrybutach zewnętrznych. Dzisiaj jest to niemożliwe. Człowiek w podartych dżinsach i firmowo brudnych butach może okazać się milionerem

Jak cię widzą

Columbo", zapomniany serial z lat 70., to wielki sukces tamtych czasów. Dziesięć sezonów wyświetlanych w 44 krajach. Należę do pokolenia, które go wtedy oglądało, w czarno-białej telewizji, ale z wielką przyjemnością obejrzałam znów. Serial kryminalny bez przemocy, wulgarności, perwersji – to dziś rzadkość. Morderstwa kulturalne… chciałoby się powiedzieć. W tytułowej roli porucznika Columbo (nie wiadomo, jak miał na imię – podobno Frank) Peter Falk – zagubiony, niezręczny, czasem wręcz śmieszny człowieczek, który pod tymi pozorami ukrywa fenomenalną inteligencję i przenikliwość. Columbo nosi wygnieciony garnitur, tanie buty i przekrzywiony krawat. Jego znakiem firmowym jest stary prochowiec – w jednym z odcinków przyznaje, że ma go od siedmiu lat. W kieszeni płaszcza ma listę zakupów, zawsze pożycza długopis, a często zapałki. Jeździ małym peugeotem 403, który na tle ówczesnych amerykańskich wypasionych krążowników wygląda jak dziecinna zabawka, i to mocno zdezelowana. A że miejscem popełnianych w serialu zbrodni są rezydencje zamożnej klasy średniej i wyższej – wygląd porucznika i jego auto są nieustannym powodem do kpin. Burżuje biorą go za bezdomnego, za menela. Oczywiście do momentu, kiedy zaczyna być groźny...

Jak cię widzą, tak cię piszą. To właśnie jeden z wniosków serialu – ironiczny, bezpretensjonalny komentarz do walki klas i głupoty klasy wyższej. Konflikt rozgrywa się w sferze materialnej – w dekoracji domu, wyglądu osobistego, samochodu. To one określają status. Wyzłocone rezydencje z basenami, pretensjonalnymi meblami, w nich wyfryzowane damy, które w domu poruszają się w pełnym makijażu, ze sztucznymi rzęsami, w powiewnych szlafroczkach z piórkami. Na tle tego towarzystwa Columbo w starym płaszczu i z wciśniętym do ust najtańszym cygarem. Ono również staje się powodem docinków ze strony burżujów, którzy z poczuciem wyższości częstują go prawdziwymi, z Hawany.

SPOŁECZNY PORZĄDEK DZIOBANIA

Dzisiaj taka postać nie mogłaby powstać. Nikt by tak porucznika nie potraktował. Po pierwsze dlatego, że dziś nikt nie ma pewności, czy przypadkiem skromny ubiór nie kryje jakiejś zasadzki. Czy nie udaje czegoś innego. Po drugie – niewinna nawet satyra na człowieka źle ubranego w roku 2021 byłaby potraktowana jako rodzaj segregacji i skrajna niepoprawność polityczna.

Ale czterdzieści parę lat temu kryteria ubioru określające przynależność do klasy społecznej były jasne i nienaruszalne. Bogaty jest bogaty, ma drogie, eleganckie ubrania, i to widać. Biedny stara się własną biedę ukryć, ale i tak zostanie rozpoznany. Społeczny porządek dziobania zatwierdził te reguły. „Miała na sobie jeden z tych drogich kostiumów, jakie noszą bogate dziewczyny z Belgravii. Spódnica i żakiet różniły się minimalnie, a podszewka żakietu uszyta była z materiału, z jakiego zrobiono spódnicę" – pisze Martin Amis w powieści „London Fields". Lata 70., każdy wiedział, gdzie jest jego

eprasa.pl d3eaad21cf

Porucznik Columbo nosił wygnieciony garnitur, tanie buty i przekrzywiony krawat. Burżuje brali go za bezdomnego, za menela. Dzisiaj taka postać nie mogłaby powstać FOT. NBC UNIVERSAL/GETTY IMAGES

miejsce – bogaci z Belgravii noszą rzeczy drogie, ci z biednych dzielnic mogą co najwyżej ciuchy donaszać po kimś.

Ten porządek zaczął się załamywać w połowie lat 70. Rewolty studenckie 1968 r., ruch hipisowski potrząsnęły hierarchiami, przeorały estetykę. Dżinsy i T-shirty stały się ubraniem globalnym, bez różnicy klasowej, bez statusu społecznego, przynależności narodowej. Potem przyszły lata 80.

Na świecie triumfowały „Dynastia" i „Dallas". Pozłacane łoża sypialni Carringtonów i błyszczące suknie Alexis stały się przedmiotem pożądania ludu z klas niższych i średnich. Obudziły w masach głód „luksusu". Wyczuły to korporacje, które zaczęły skupować niewielkie, przeważnie włoskie i francuskie luksusowe domy mody. Powstawał nowy „luksus" – demokratyczny. Przynajmniej takie miał aspiracje. Już nie dla pań z Beverly Hills, ale dla mas. Luksus nie w postaci sukni haute couture, ale torebki z logo, czapki, paska. Dostępny dla wszystkich, przynajmniej teoretycznie. Także dla tych, dla których dotąd był nieosiągalny.

ZABAWA W BIEDĘ

Nadeszła kolejna zmiana pokoleniowa. Pokolenie urodzone w latach 80. i 90. nie jest zainteresowane elegancją „na bogato". Odrzuca nowobogacki styl. Nawet eklektyczny postmodernizm wczesnych lat 90. jest przez nich wyśmiewany. Ludzie X i Y chętnie etykietują się jako „nouveaux pauvres". Nazwa – w opozycji do pogardliwych „nouveaux riches" – oznacza ludzi, którzy doznali gwałtownego zubożenia na skutek zmian społecznych i kryzysów ekonomicznych. Squatersi, bohema, grunge – jedni naprawdę biedni, inni tylko na biednych wystylizowani.

W 1985 r. dżinsy „destroy" brytyjskiej projektantki Katharine Hamnett, poszarpane jak po katastrofie, wzbudziły sensację na wybiegach mody. Po paru latach fenomen podartych dżinsów ogarnął świat. Człowiek z korporacji, który życie spędza przy biurku, chciałby coś uszczknąć z aury dawnych odkrywców, traperów, dzielnych mężczyzn. Ale nie ma szans wytrzeć spodni na obrotowym krześle przy komputerze. Czas i trud zniszczenia trzeba kupić za pieniądze. Postarzanie stało się powszechnym procederem, czasami skomplikowanym i kosztownym.

W pewnych kręgach przyjęło się także przebieranie się bogatych za biednych. Taka zabawa.

W roku 2002 John Galliano, wówczas dyrektor artystyczny Diora, zaprezentował pokaz inspirowany kloszardami. Modele ubrani byli w podarte, wybrudzone ubrania, mieli dziurawe skarpetki, potargane fryzury. Do ubrań przymocowano tarki, sitka, butelki – przedmioty, które kloszardzi zawsze noszą ze sobą. „To tylko zabawa – tłumaczył projektant. – W latach 30. arystokraci urządzali bale, na które zapraszali bezdomnych". Ale tłumaczenie nie pomogło. Pokaz wywołał jednogłośne oburzenie, pod sklepem Diora protestował wściekły tłum. Z trudem ochrona powstrzymała go przed wyważeniem drzwi do butiku. Jednak ten epizod nie powstrzymał kontynuatorów.

W 2013 r. francuska marka Le Leon na otwarcie swego sklepu internetowego wypuściła sweter z kaszmiru z wyhaftowanym napisem „Chomeur" (bezrobotny). W cenie 285 euro, jednej trzeciej wysokości francuskiego zasiłku dla bezrobotnych (980 euro). W mediach wywołało to awanturę. – To arogancja, lekceważenie biedy przez tych, którzy nigdy jej nie zaznali – oskarżali dziennikarze. Czy bezrobocie stało się już trendem hipsterskim?

Autor projektu, Leon Taieb, tłumaczył francuskiej telewizji: „Nie trzeba tego brać dosłownie. »Chomeur« to takie fajne słowo. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy trochę bezrobotnymi. Można nosić ten sweter w niedzielę". Ale jego firma ustąpiła przed krytyką i wycofała sweter ze sprzedaży.

PODMYTE PRZĘSŁA SYSTEMU

Naszą cywilizację ogarniętą obłędem zakupowym problem konsumpcji jednak w głębi uwiera. Jest to rodzaj kompleksu, poczucia winy. Wiadomo, że systemu rozwalić się nie da. Produkować i konsumować trzeba wciąż, bo to daje pracę ludziom. Wzrost wpisany jest w definicję kapitalizmu. Ale można uciec się do środków zastępczych. Ruchy antykonsumpcyjne, ekologiczne, alterglobalistyczne, minimalistyczne się wzmogły. Jedną z gałęzi, raczej gałązek tego drzewa protestu jest vintage. Termin pierwotnie określający stare roczniki win zyskał w XXI w. nowe znaczenie. Vintage przywraca wartość wszystkiemu, co stare i biedne. Dzisiaj siedmioletni płaszcz porucznika Columbo byłby powodem do dumy. Nikt nie odważyłby się z niego zakpić.

Pandemia jeszcze bardziej podmyła przęsła systemu. Moda odniosła poważne obrażenia finansowe i wizerunkowe, ale szybko się z nich podnosi. Fashion system nie przeprasza, nie ma zamiaru bić się w piersi za palone potajemnie niesprzedane ubrania (Burberry), za miliony wydawane na reklamę ciuchów, które trzeba wyrzucić po trzech miesiącach, ze bezsensowną rozrzutność haute couture.

Ale jest też druga, jaśniejsza strona mrocznego biznesu. Tak (i słusznie) krytykowane sieciówki ubierają cały świat. Amerykę, Polskę, Indonezję, Egipt. Kto rozróżni dżinsy za 80 zł od spodni za 800 zł? Nieliczni wtajemniczeni być może, o ile taka wiedza jest komuś potrzebna. Buty z Deichmanna wyglądają podobnie jak buty Hermesa. Każdy może być modny, biedny czy bogaty.

Ekspedientki w nowojorskich sklepach są szkolone na czujność. Klient w dziurawych portkach i firmowo brudnych adidasach Golden Goose może wyjąć platynową kartę kredytową i okazać się telewizyjnym gwiazdorem. Szkoda, że Columbo tego nie doczekał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3eaad21cf

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd się boi – my płacimy

Nakłady na polską publiczną służbę zdrowia rosły ostatnio szybko – w 2006 r. wynosiły 37 mld zł, w 2010 r. – 57 mld zł, w 2015 r. – 67 mld zł, a w 2020 r. – aż 97 mld zł; w ciągu 15 lat powiększyły się dwuipółkrotnie. A czy w tym samym czasie dało się zauważyć odpowiadającą temu wzrostowi nakładów poprawę jakości usług świadczonych przez publiczną służbę zdrowia? Czy skróciły się kolejki do szpitali? Czy lekarze, zwłaszcza młodzi, przestali na potęgę wyjeżdżać z Polski, skarżąc się na niskie zarobki? Ja nie zauważyłem – przeciwnie, uważam, że za coraz większe pieniądze dostajemy usługi coraz gorszej jakości, czego smutnym dowodem jest rosnąca liczba pacjentów wypychanych poza system publicznej służby zdrowia i zmuszanych do kupowania świadczeń w prywatnych firmach medycznych – takie polisy ma już ok. 3 mln Polaków!

To prawda – wydajemy na służbę zdrowia (publiczną i prywatną) mniej – w proporcji do PKB – od wielu narodów Europy: nieco ponad 6 proc. PKB, gdy np. Czesi ponad 7 proc. PKB, a Bułgarzy, Słowacy i Grecy – ponad 8 proc. PKB, zaś bogaci liderzy Szwedzi – aż 12 proc. PKB. Rozumiem więc, zwłaszcza w czasach mierzenia się z COVID-19, zamysł zwiększenia tych wydatków. Nie pojmuję jednak dwóch towarzyszących temu decyzji. Jedną z nich jest próba uzyskania tych pieniędzy wyłącznie od jednej grupy ludzi – lepiej zarabiających mieszkańców miast, a nie od wszystkich – a więc także mieszkańców wsi – często dużo bogatszych od mieszkańców miast. A drugą – zamiar wpompowania tych dodatkowych pieniędzy w patologiczny, „feudalny" system naszej publicznej służby zdrowia, „od zawsze" przypominający czarną dziurę, w której nie ma takich pieniędzy, które by w nim nie zniknęły bez przełożenia się na jakąkolwiek poprawę jakości świadczonych przezeń usług.

Jak wiadomo, rządzący Polską politycy umierają jednak ze strachu przed lekarzami i pielęgniarkami, pozwalając się im z tego powodu do woli szantażować, a rachunek za ich żądania bez skrupułów wysyłają podatnikom. Śmiertelnie boją się reformy służby zdrowia, tak jak śmiertelnie boją się reformy systemu podatkowego oraz emerytalnego rolników i wielu innych.

I dlatego w Polsce nawet „szwedzkie" 12 proc. PKB na służbę aż tak wiele nie zmieniłoby dla pacjentów. A zatem znów będzie tak jak zwykle – w 2022 r. do służby zdrowia popłynie dużo więcej pieniędzy – może i 130 mld zł, a pacjenci nie będą z tego mieli nic poza i dziś dobrze znaną ofertą cierpliwego czekania w kolejce na skorzystanie z i tak już przez nich przymusowo i coraz drożej opłaconej usługi w publicznej służbie zdrowia albo nieczekania i kupienia sobie na wolnym rynku tej samej usługi medycznej, często świadczonej tam przez tych samych lekarzy, którym fundują coraz wyższe etaty w publicznych placówkach służby zdrowia. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Koniec złudzeń!

Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy opublikowała bardzo zgrabny, krótki film, pokazujący głowę państwa polskiego podczas obrad szczytu NATO. Faktycznie, profesjonalna robota. Przeciwnicy obecnej władzy natychmiast skontrowali niezmontowanymi zdjęciami, ukazującymi rzekomą pogoń Andrzeja Dudy za Joe Bidenem.

Wszystko to nie ma jednak znaczenia. Film Kancelarii Prezydenta, jakkolwiek najsprawniej zmontowany, nie zmieni naszej sytuacji politycznej. Podobnie trudno uznać za dowód na cokolwiek jakieś przypadkowe sytuacje pokazywane przez zwolenników opozycji. Liczą się fakty.

Pora przestać zaklinać rzeczywistość i stanąć w prawdzie: nasza amerykańska kotwica przestała być skuteczna

Fakty zaś są takie, że do krótkiego spotkania Duda-Biden doszło, ale nie było to spotkanie planowane. Można z tego wysnuć wniosek, że członkowie amerykańskiej delegacji uznali ad hoc, że jest ono potrzebne – to dobrze – lecz z drugiej strony – że Polska nie zajmuje w planach Białego Domu szczególnie istotnego miejsca, skoro nie uwzględniono naszej głowy państwa w planach. Ta krótka, parominutowa rozmowa, lecz również całość szczytu potwierdziły coś, czego i tak nikt nie podawał w wątpliwość: że administracja Bidena nie zamierza dokonywać jakiejś radykalnej rewizji swojej strategii bezpieczeństwa w Europie, gdy chodzi o jej fundamenty. Ale to marne pocieszenie, bo to i tak nie jest żadne zaskoczenie.

Ważniejsze jest, że Biden postanowił ograniczyć sankcje wobec podmiotów budujących Nord Stream 2, idąc w ten sposób na rękę Berlinowi i Moskwie. To jest fakt. Polscy komentatorzy z prorządowego obozu twierdzili, że to krótkowzroczność, a Bidenowi nie uda się skaptować Niemiec do swojej antychińskiej polityki, ponieważ nasi sąsiedzi z Zachodu mają w Państwie Środka zbyt potężne interesy. Mogą mieć nawet rację, ale niestety to nie oni są doradcami prezydenta USA.

Pora przestać zaklinać rzeczywistość i stanąć w prawdzie: nasza amerykańska kotwica przestała być skuteczna, jako że wbita była jedynie w mulisty grunt konkretnej prezydentury, która się już skończyła. Moskwa, Berlin i Waszyngton nie będą nas traktować jako podmiotu, bo zwyczajnie nie muszą. Po 2015 r. takiej roli, wbrew gromkim pohukiwaniom, nie udało nam się przyjąć. Musimy zacząć szukać swojego miejsca inaczej i to szybko, bo czas zaczął ostatnio biec o wiele prędzej niż do tej pory. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

TEST „DO RZECZY": XIAOMI MI 11

Rewelacyjny ekran, świetna wydajność, dobry aparat fotograficzny, obsługa łączności 5G oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety eleganckiego flagowca chińskiej firmy Xiaomi.

Xiaomi był w 2020 r. w Polsce liderem sprzedaży pod względem ilościowym. W tym roku chiński gigant technologiczny wprowadził na rynek flagowiec, który znów może okazać się bestsellerem.

Wizytówką modelu Mi 11 jest fantastyczny ekran. Wyświetlacz AMOLED ma przekątną 6,81 cala, rozdzielczość 3200 x 1440 pikseli, odświeżanie na poziomie aż 120 Hz oraz maksymalny poziom jasności wynoszący niemal 1500 cd/m^2. Ostrość wyświetlanych obrazów jest więc znakomita. Świetne są również kąty widzenia, a kolory żywe i piękne. Ekran wspiera również technologię HDR10+, co można zauważyć np. podczas oglądania filmów w serwisie Netflix.

Druga na liście największych plusów testowanego modelu powinna znaleźć się znakomita wydajność. Dzięki zastosowaniu procesora Qualcomm Snapdragon 888 smartfon błyskawicznie otwiera aplikacje i odpala nawet najnowsze gry. Na każdym kroku czuć tu ogromny zapas mocy, która pozwala w testach pokonać choćby tak drogi model smartfona jak iPhone 11 Pro Max.

Flagowiec Xiaomi wyposażony jest w trzy tylne obiektywy: główny (108 Mpix, f/1.9), szerokokątny (13 Mpix, f/2.4) oraz makro (5 Mpix, f/2.4). I chociaż nie jest to najlepszy model dla miłośników smartfonowej fotografii, to można nim zrobić bardzo dobre zdjęcia zarówno w dzień, jak i w nocy (choć na nocnych niekiedy widać nieco szumów). Robienie dobrych zdjęć ułatwiają format RAW oraz tryb PRO, w którym można ustawić wszystko, co potrzeba.

Przedni aparat ma rozdzielczość 20 Mpix, dzięki czemu robione w trybie portretowym fotografie są już naprawdę przyzwoitej jakości. Filmy można kręcić w rozdzielczości 4K z prędkością 60 kl./s lub nawet w rozdzielczości 8K w z prędkością 30 kl./s.

Na listę plusów można wpisać moduł NFC oraz obsługę łączności 5G, i to na obu kartach SIM jednocześnie (Mi 11 ma oczywiście funkcję Dual SIM).

Bateria o pojemności 4600 mAh nawet przedstawicielom gatunku „phono sapiens" powinna pozwolić przeżyć do końca dnia na jednym ładowaniu. Przy mniej intensywnym użytkowaniu Mi 11 może działać dwa, a niekiedy nawet trzy dni bez konieczności szukania ładowarki. A gdy trzeba już smartfon podładować, to Mi 11 uzupełnia swój akumulator naprawdę szybko, i to zarówno w tradycyjny sposób przewodowy, jak i przy użyciu ładowarek bezprzewodowych.

Wady? Podczas bardzo intensywnego użytkowania Mi 11 sporadycznie robi się wyraźnie ciepły – co prawda nie parzy, ale już czuć temperaturę w dłoniach. Do pełni szczęścia brakuje też całkowitej wodoszczelności, slotu na karty pamięci microSD oraz wejścia słuchawkowego mini jack. Na szczęście Mi 11 został wyposażony w świetne głośniki stereo Harman/Kardon.

Mimo tych minusów Xiaomi Mi 11 to jeden z najlepszych flagowców na rynku, i to w stosunkowo przystępnej cenie. Za model w wersji z 8 GB pamięci RAM oraz ze 128 GB pamięci wewnętrznej trzeba zapłacić 3499 zł. Sporo, ale to i tak niezła cena w porównaniu z flagowcami Samsunga czy Apple. Wersja z 256 GB pamięci kosztuje 3699 zł. W cenie dołączane jest również silikonowe etui. ©℗

Jacek Przybylski

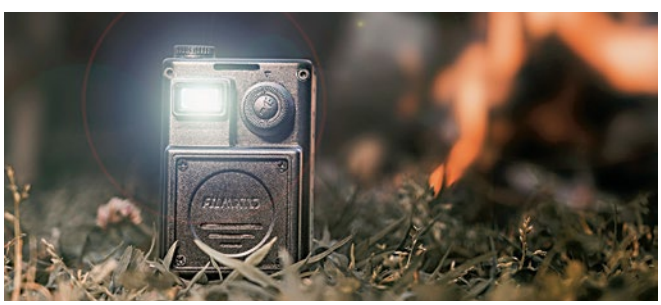

TRZECIE OKO „PHONO SAPIENS"

„The Third Eye" to gadżet, który może stać się obowiązkowym urządzeniem montowanym na czole smartfonowych zombi, a więc osób, które nawet idąc ulicą, nie są w stanie oderwać wzroku od ekranu. Minwook Paeng z Korei Południowej wymyślił gadżet w kształcie kuli przypominającej gałkę oczną. Gadżet działa jak czujniki parkowania w samochodzie: gdy użytkownik znajdzie się bliżej niż 2 m od słupa, ściany czy innej przeszkody, gadżet zaczyna emitować sygnał dźwiękowy. Na razie nie wiadomo, czy i kiedy urządzenie wejdzie do sprzedaży. ©℗

Jacek Przybylski

PROJEKTOR NA WAKACJE

Mieści się w kieszeni (jego wymiary to 6 x 5 x 7 cm), waży zaledwie 200 g, jest odporny na strugi wody pod ciśnieniem (IPX66), a jego akumulator pozwala według producenta na 2,5 godziny pracy na jednym ładowaniu. Filmatic to projektor stworzony na wakacyjne wyprawy. Według twórców projektor z Androidem na pokładzie potrafi wyświetlać obraz o przekątnej 120 cali i jasności 200 ANSI lumenów w rozdzielczości 1080 p. Gadżet ma też wbudowany głośniczek Bluetooth. Filmatic to jeden z gadżetów promowanych na Kickstarterze. Jego cena to równowartość 1030 zł. A planowana data premiery to sierpień tego roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d3eaad21cf

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Ewą Marcinowską-Suchowierską, geriatrą
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Choroba częstsza niż rak

KATARZYNA PINKOSZ: Mimo że o osteoporozie mówi się więcej niż kiedyś, to nadal „przegrywa" ona z nowotworami, chorobami kardiologicznymi czy cukrzycą. Problemy kości nie są traktowane jak coś poważnego. Do czasu, aż się złamiemy?

PROF. EWA MARCINOWSKA-SUCHOWIERSKA: Osteoporoza jest wyniszczającą i postępującą chorobą. Jeśli popatrzymy na statystyki, to zajmuje ona trzecie miejsce wśród przyczyn zgonów – po chorobach układu krążenia i nowotworach. Z powodu powikłań po złamaniu szyjki kości udowej (co jest objawem osteoporozy) umiera aż 20 proc. osób w ciągu sześciu miesięcy, a 50 proc. w ciągu roku. Nie ma wątpliwości, że jest to groźna choroba. Ponad połowa osób, które miały złamanie szyjki kości udowej, doświadcza pogorszenia jakości życia, a jedna trzecia nigdy nie powraca do pełnej samodzielności i wymaga długotrwałej opieki.

Zagrożenie złamaniem najgorszym w skutkach, jakim jest złamanie szyjki kości udowej, jest u kobiet wyższe niż ryzyko raka piersi i raka szyjki macicy razem wzięte, a u mężczyzn – wyższe niż raka prostaty. Już dziś osteoporoza jest ogromnym problemem, który będzie narastał, gdyż nasze społeczeństwo się starzeje. Osteoporoza stanowi poważny, narastający problem medyczny, ekonomiczny i społeczny.

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że osteoporoza występuje częściej niż rak piersi czy prostaty i że z tego powodu jest aż tak duże ryzyko zgonu. Znacznie bardziej też obawiamy się, że dotknie nas nowotwór.

Osteoporoza rozwija się przez wiele lat bez żadnych objawów klinicznych, a gdy ujawni się w postaci złamania, jest to już faza choroby zaawansowanej. Wiele robimy, żeby wykryć raka piersi czy raka prostaty, jeśli natomiast chodzi o osteoporozę, to robimy bardzo niewiele, by zidentyfikować osoby, które są zagrożone złamaniem, by zmniejszyć jego ryzyko.

Jak wykryć wcześnie ryzyko? Należy zrobić densytometrię, czyli badanie gęstości kości?

Powinniśmy wcześnie wykryć zagrożenie złamaniem. Badanie powszechnie uważane za najważniejsze, czyli badanie densytometryczne, ujawnia czynnik ryzyka, czyli małą masę kostną. Do złamania może jednak także dojść przy prawidłowej masie kostnej! Oceniając zagrożenie złamaniem, musimy zwrócić uwagę na więcej czynników ryzyka. Należy ocenić czynniki ryzyka złamania u siebie po 50. roku życia, z wykorzystaniem narzędzia FRAX. To nie jest trudne.

Minister zdrowia propaguje obecnie przeprowadzanie badań profilaktycznych u osób po 40. roku życia. Czy to oznacza, że każda osoba po 50. roku życia powinna iść do lekarza pierwszego kontaktu i mieć wykonaną taką ocenę z wykorzystaniem FRAX?

W zasadzie z grubsza każdy z nas może ocenić swoje ryzyko złamania. Czynnikami ryzyka są: wiek, niska masa ciała, przebycie złamania tzw. niskoenergetycznego (z wysokości własnego ciała), niektóre choroby (m.in. reumatoidalne zapalenie stawów), przyjmowanie glikokortykosteroidów, palenie papierosów, nadużywanie alkoholu, a także obciążenie rodzinne złamaniem osteoporotycznym, zwłaszcza u rodziców. Te czynniki powinny uwrażliwić, że jesteśmy zagrożeni osteoporozą, i zgłosić się do lekarza, żeby ocenił – z wykorzystaniem narzędzia FRAX – nasze ryzyko złamania

eprasa.pl d3eaad21cf

i podjął stosowne kroki. Jeśli jest ono duże, to na pewno konieczne będzie wdrożenie leczenia farmakologicznego.

Jak wiele osób choruje na osteoporozę? I jak wiele z nich wie, że choruje?

80 proc. chorych nie zdaje sobie sprawy, że ma osteoporozę – aż do chwili złamania. Z tego powodu można tylko szacować, jak wiele osób choruje. Jeśli wzięlibyśmy pod uwagę liczbę złamań osteoporotycznych, to można by oszacować, że w Polsce choruje ponad 2,5 mln osób (w tym 1,7 mln kobiet). Te liczby są jednak niedoszacowane – potwierdza to NFZ – gdyż opierają się tylko na złamaniach. Nie mamy danych epidemiologicznych. Na świecie problem dotyka 22,1 proc. kobiet i 6,1 proc. mężczyzn powyżej 50. roku życia. Społeczeństwo się starzeje, dlatego ten problem będzie narastać.

Poradni osteoporotycznych jest niewiele. Gdzie więc w Polsce leczy się osteoporozę? U lekarza pierwszego kontaktu?

Osteoporoza ma różne oblicza: jeśli dochodzi do złamania, to najpierw leczeniem zajmuje się lekarz ortopeda. Jednak każde złamanie „progrozuje" kolejne, dlatego trzeba mu zapobiec; konieczne jest leczenie. Może to robić lekarz pierwszego kontaktu, jednak z reguły leczeniem osteoporozy zajmują się lekarze w poradniach specjalistycznych: reumatologicznych, ortopedycznych, endokrynologicznych, a także w poradniach osteoporotycznych.

Do tych wszystkich poradni są bardzo duże kolejki. Minister zdrowia zapowiada zdjęcie limitów, jeśli chodzi o opiekę specjalistyczną. Czy to poprawi dostępność do leczenia osteoporozy?

Wydaje mi się, że w pierwszym rzucie niestety nie. Problem zakontraktowanych usług to jedno, a drugą rzeczą jest możliwość zrealizowania tego kontraktu: nie ma tak dużej liczby specjalistów, którzy obecnie mogą (według wymogów NFZ) prowadzić taką działalność. Wyjściem byłoby to, żeby leczeniem osteoporozy mogli zajmować się także lekarze dopiero specjalizujący się w takich specjalnościach jak reumatologia, endokrynologia, ortopedia, mający już pewne doświadczenie i certyfikat z diagnostyki i leczenia osteoporozy. Będzie wtedy większa możliwość wykonania diagnostyki i leczenia osteoporozy.

A jeśli chodzi o leki, to czy obecnie są dla pacjentów dostępne?

Należy mierzyć każdego pacjenta i ważyć: ubytek wzrostu ponad 3 cm w ciągu kilku lat pośrednio wskazuje, że zapewne doszło do złamania trzonów kręgowych

Chociaż nie ma jeszcze w Polsce dostępnych leków anabolicznych, którymi dysponuje świat, to jednak do większości leków stosowanych w osteoporozie jest w Polsce dostęp i są one refundowane. Są jednak dwa problemy. Po pierwsze, refundacja jest często ograniczona, np. wiekiem, a niejednokrotnie uzależniona od formy podania leków. Na przykład bisfosfoniany są refundowane w formie doustnej, co jednak jest obarczone wieloma przeciwwskazaniami. Jeśli chodzi o podawanie leków w formie dożylnej, to są tu dość rygorystyczne wymogi, które nie zawsze pacjent może spełnić.

Drugi problem, jeśli chodzi o leki na osteoporozę, dotyczy osób, które mają prawo do pełnej refundacji czy nawet do otrzymania leku darmowego (w ramach listy 75+). Mogą one być wypisywane tylko przez lekarzy POZ. Lekarze specjaliści nie mają jeszcze w pełni możliwości, by wypisać lek refundowany czy z listy S: muszą to zrobić poprzez Internetowe Konto Pacjenta. Nie zawsze jest to możliwe „z poziomu" lekarza specjalisty. Starsze osoby nie korzystają z IKP. Muszą więc wracać do lekarzy rodzinnych. Jest więc trochę problemów administracyjnych, niekorzystnie wpływających na leczenie pacjentów, zwłaszcza starszych. Warto, by te problemy wyeliminować.

Co w takim razie należałoby zmienić, jeśli chodzi o system opieki nad chorymi na osteoporozę? Co jest najważniejsze?

Przede wszystkim należałoby poprawić diagnostykę i leczenie na poziomie POZ – chodzi o obliczanie ryzyka złamania u kobiet i mężczyzn po 50. roku życia, z wykorzystaniem kalkulatora FRAX. U każdego pacjenta, który już doznał złamania, należałoby wprowadzić taką ocenę i ewentualnie wdrożyć leczenie. Kolejna rzecz: należy mierzyć każdego pacjenta i ważyć – ubytek wzrostu ponad 3 cm w ciągu kilku lat pośrednio wskazuje, że zapewne doszło do złamania trzonów kręgowych (nie zawsze jest to zgłaszane przez pacjenta jako ból).

Jeśli chodzi o opiekę na poziomie AOS (ambulatoryjnej opieki specjalistycznej), to ważne jest zwiększenie liczby udzielanych porad, ale też zwiększenie wyceny porady specjalistycznej, lepsze jej opłacanie przez NFZ (włącznie z wykonaniem badania densytometrycznego). Dzisiaj te wyceny są nadal niedoszacowane. Jeżeli chodzi o leczenie szpitalne, to ważne jest to, by po wyleczeniu złamania pacjent nadal był monitorowany i kierowany do poradni lub oddziału zajmującego się kompleksowym leczeniem osteoporozy. Należy też zwiększyć dostęp do poradni leczenia osteoporozy.

Z problemów związanych z osteoporozą zdają sobie sprawę decydenci: NFZ przygotował na ten temat raport, Ministerstwo Zdrowia umieściło osteoporozę w mapach potrzeb zdrowotnych. Są bardzo dobre programy samorządowe, obejmujące opieką osoby starsze. Również prezydent już ponad rok temu mówił o powstawaniu centrów 75+ dla osób starszych, zajmujących się m.in. osteoporozą.

Koniecznych do wdrożenia zmian jest bardzo wiele. Czy jednak jesteśmy „skazani" na osteoporozę? Co zrobić, by jej zapobiec?

Swojego wieku nie zmienimy, możemy jednak eliminować tzw. modyfikowalne czynniki ryzyka. Powinniśmy więc spożywać więcej produktów bogatych w wapń i witaminę D (konieczna jest też jej suplementacja), więcej się ruszać, by pobudzać rozwój mięśni i kości, nie palić papierosów, ograniczać alkohol, dbać o prawidłową masę ciała (zarówno niedobór masy ciała, jak i jej nadmiar nie są korzystne dla wytrzymałości naszych kości). O to trzeba dbać już wtedy, gdy „budujemy" masę kostną (BMD), czyli do 35–40. roku życia. Potem następuje fizjologiczny ubytek masy kostnej, jednak jest on większy, jeśli pijemy alkohol, palimy papierosy, nie ruszamy się, nieodpowiednio się odżywiamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

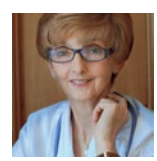

Prof. dr hab. med. Ewa Marcinowska-Suchowierska jest internistą, a także geriatrą. Pracuje w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego, jest członkiem Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, zajmuje się polityką senioralną.

eprasa.pl d3eaad21cf

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Targowica na wieki przeklęta

JACEK KOMUDA

Trudno znaleźć budzące gorsze skojarzenia u Polaków miejsce niż Targowica na Podolu. Miasteczko, położone w zakolu rzeki Siniuchy, stało się tym, w którym 14 maja 1792 r. Stanisław Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski i Franciszek Ksawery Branicki ogłosili zawiązaną w Petersburgu konfederację. Zwaną od wspomnianej miejscowości targowicką, będącą zamachem na Konstytucję 3 maja. I zwrócili się o pomoc do carowej Katarzyny II. Ta zaś, przychylając się do próśb „uciśnionych" obywateli, kazała wkroczyć swoim armiom na terytorium Rzeczypospolitej.

Targowica, która dziś jest wsią, leży w głębokim, płaskim stepie podolskim i według legend ma antyczne pochodzenie. Jan Potocki, jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich", uważał, że w pobliżu przebiegały święte drogi Scytów i greckich kupców, wspominane przez Herodota, a przy źródle znajdować się miał legendarny kocioł miedziany króla Ariantusa odlany z ostrzy strzał. Za czasów Rusi Czerwonej było tu jedno z bardziej znanych targowisk, gdzie Genueńczycy mający swoje miasta na Krymie handlowali z Rusinami. Być może znajdowało się tutaj miasteczko otoczone murami, które zniszczone zostało przez Tatarów po 1475 r., kiedy została zdobyta przez nich i podporządkowana Kaffa. Odtąd aż do początków XVII w. było tu pustkowie. Dopiero Walenty Kalinowski otrzymawszy tę okolicę od króla Zygmunta III Wazy w 1609 r., rozpoczął akcję osadniczą – zakładając Humań i właśnie Targowicę.

RYS. PEGAZ

Aż do drugiej połowy XVII w. miasteczko uniknęło zarówno najazdów Tatarów, jak i zniszczenia w wyniku powstania Chmielnickiego. W 1669 r. było tak duże, że sformowano tutaj osobny pułk kozacki zwany targowickim. Jednak kiedy hetman Piotr Doroszenko przyjął zwierzchnictwo tureckie, mieszkańcy zbuntowali się i opuścili Targowicę; zostali jednak dopadnięci przez Tatarów i wielu z nich wzięto do niewoli. Kolejny raz zniszczona została w 1675 r., w czasie wojen polsko-tureckich. Od tamtej pory, aż do lat 20. XVIII w., znowu była tu pustka osadnicza, dopiero Stanisław Potocki, wojewoda bełski, założył wioskę, a później miasteczko. Niedługo jednak Targowica cieszyła się pokojem. Chociaż zakończyły się już wojny Rzeczypospolitej i Moskwy z Turcją, ustały najazdy tatarskie, to ich rolę przejęli hajdamacy – stepowi rozbójnicy. Od 1732 r., kiedy po śmierci wojewody Targowicę odziedziczył jego syn – Franciszek Salezy Potocki, krajczy koronny – stała się ona kilkukrotnym celem napadów hajdamaków, którzy splądrowali i spalili praktycznie całą włość humańską, to znaczy miasteczko razem z pobliskim Humaniem. Aby obronić się przed kolejnymi, Potocki utrzymywał milicję nadworną – złożoną także z kozaków, gubernatorem zaś mianował Kwiatkiewicza, postać na tamte czasy całkiem nietuzinkową. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, można by dziś powiedzieć – skozaczony, który aby uniknąć kolejnych najazdów hajdamackich, zapisał się w poczet siczowych kozaków. I rzeczywiście, kiedy w 1768 r. wybuchło powstanie chłopów zwane koliszczyzną, Targowica nie została zniszczona, Kwiatkiewicz zaś przechował się bezpiecznie na Siczy, wśród kozaków, którzy nie brali udziału w chłopskim buncie. Być może też jakieś znaczenie miał fakt, że co roku posyłał tam pod pozorem przekupstwa i obłaskawienia Zaporożców kufę gorzałki.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W Targowicy i Humaniu stacjonowali w połowie XVIII w. kozacy Franciszka Potockiego, którzy jako jedni z nielicznych potrafili uporać się z hajdamakami. Nie atakowali ich, kiedy wiosną szli na Ukrainę na rabunek, ale tropili i zasadzali się na nich na jesieni, gdy wracali na Dzikie Pola obciążeni łupem. A jeśli ktoś chciał odzyskać swoje rzeczy i towary złupione przez rabusiów i „odzyskane" przez milicję Potockiego, to musiał wykupić je za dobre pieniądze od kozaków z Humania i Targowicy.

Po śmierci w 1773 r. Franciszka Salezego Potockiego właścicielem miasteczka został jego syn – wspomniany już zdrajca Stanisław Szczęsny Potocki. Powiększył milicję dworską; od teraz składała się w znacznej części z biednej szlachty osiadłej w okolicy, która zamiast płacić czynsz, miała stawać zbrojnie na usługi Potockiego. Nie uchroniło to jednak Targowicy od kolejnej napaści hajdamaków w 1778 r., w wyniku której miasteczko zostało ograbione. W dodatku w 1785 r. wybuchła epidemia dżumy. Kiedy siedem lat później Stanisław Szczęsny ogłaszał tutaj przygotowany przez Moskali akt konfederacji, Targowica ciągle się po tych klęskach odbudowywała. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

PLACEK Z RABARBAREM JANUSZA PIECHOCIŃSKIEGO

Gdyby nie fakt, że dobry, świeży bób kosztuje teraz rekordowo dużo, bo od 35 do 42 zł za kilogram, to zaproponowałbym bób, bo to jest najprostsze, co może być. Wystarczy ugotować, posypać pieprzem, najlepiej ziołowym, by najeść się roślinnego białka do syta. Jedni jedzą na gorąco, inni na letnio, jeszcze inni na zimno. Ale ponieważ bób jest drogi, a bardzo ładnie wyrósł w tym roku rabarbar, to proponuję proste ciasto z rabarbarem. Banalne w zrobieniu, a bardzo smaczne. Z reguły się udaje, doskonałe nawet dla osób niespecjalnie radzących sobie w kuchni.

Składniki:

- 5 jajek
- 1 szklanka cukru
- 1 szklanka zsiadłego mleka
- pół szklanki oleju
- 2,5 szklanki mąki pszennej
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 4–6 łyżek wiórków kokosowych
- 0,5 kg rabarbaru
- cukier waniliowy do smaku
- masło i bułka tarta do posmarowania formy
- cukier puder do posypania

Przygotowanie:

Rabarbar myjemy, osuszamy i kroimy w cienkie plastry. Zaproponowałem pół kilograma rabarbaru, ale niektórzy do tych proporcji dodają go więcej. Rzecz gustu, ale może się okazać, że ciasto będzie zbyt kwaśne. Do miski wbijamy jajka, dodajemy cukier (i biały, i waniliowy), miksujemy długo – ok. 8–10 min, aż masa będzie biała i puszysta. Dodajemy olej i zsiadłe mleko, a później systematycznie dodajemy mąkę i proszek do pieczenia. Przygotowujemy tortownicę, do której wlewamy masę, a na wierzchu układamy rabarbar, który podczas pieczenia pięknie zagłębi się w cieście. Pieczemy w temperaturze 180 st. C. Po upieczeniu przekładamy do wystudzenia i – jeśli ktoś lubi – obsypujemy obficie cukrem pudrem.

oprac. raw

Janusz Piechociński – polityk, były prezes PSL, były wicepremier i minister gospodarki.

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niesmaki dzieciństwa

FOT. ADOBE STOCK

Na profilu Kuchenne Rewolucje (jak rozumiem, Magdy Gessler) rzucono zdanie do uzupełnienia: „Najgorsza potrawa, jaką pamiętam z dzieciństwa, to…". Chwytliwe hasło, niezły sposób, żeby wygenerować ruch na stronie. Efekt: setki lajków, tysiące komentarzy. Jak nietrudno zgadnąć, rekordy powodzenia biją przeboje śniadaniowego menu w przedszkolu i na wczasach FWP: zupa mleczna oraz szpinak z jajkiem. Zupa w różnych wariantach: z ryżem, kaszą manną, płatkami owsianymi, jednak zawsze i niezmiennie rozwodniona i z kożuchami. Na dalszych miejscach listy znienawidzonych znajdują się nie mniej oczywiste: czernina, nóżki w galarecie, świeżonka (nie bardzo wiedziałam, co to jest, internauci wyjaśnili). Komu, na litość boską, przyszło do głowy serwować to dzieciom w szkolnej stołówce? Widać komuś przyszło. Po latach głos zemsty pada z ust generacji, która do przedszkola, oczywiście państwowego, chodziła w latach 70. i 80. Wtedy zupa mleczna była obowiązkowa, bez prawa wyboru lub rezygnacji. Pamiętni tych urazów 30- i 40-latkowie zapewne swoich dzieci nie zmuszają do jedzenia tego, czego one nie chcą. Zresztą zgodnie z zasadami współczesnej pedagogiki.

Widać, że przedszkolne odrazy idą stadami – proszę państwa naukowców, zajmijcie się tematem psychodietetyki. Ale na liście znienawidzonych jest też sporo takich, które przeciętnemu zjadaczowi kojarzą się całkiem przyjemnie. Co złego jest w jajkach w sosie koperkowym, żurku, rodzynkach, zupie owocowej, kopytkach? Ryż z jabłkiem i cynamonem – dlaczego? Sztuka mięsa z ogórkiem i kaszą gryczaną, specjalność pewnej słynnej wiedeńskiej restauracji, co komu zawiniła?

Piszę to z punktu widzenia osoby, która nie miałaby wiele do powiedzenia na ten temat. Jestem zwierzęciem wszystkożernym, nie pamiętam traumatycznych przeżyć gastronomicznych z przedszkola, w domu karmiono nieźle. Niechęci nie budzi we mnie czernina, móżdżek na grzance uważam za danie wysokiej kuchni, uwielbiam szpinak. Moją odrazę budzą natomiast sztuczne, pełne konserwantów wędliny, z których wypływa zielonkawa posoka, gotowe, mrożone pizze, sztucznie farbowane napoje i temu podobne przysmaki przemysłowej gastronomii. Jak sądzę, to wszystko cieszy się powodzeniem u najmłodszych.

Trzeba powiedzieć, że to, co dawano za PRL w przedszkolach i szkołach, było może często niesmaczne, ale za to świeżo ugotowane przez kucharki, a nie dostarczone cateringiem, przywiezione nie wiadomo skąd. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ranking FIFA i lista szanghajska

Jest taka moda, że po blamażu polskich piłkarzy w imprezach mistrzowskich każdy szanujący się obywatel, a już zwłaszcza człek jakoś czynny medialnie, sili się na efektowne zgnojenie naszych nieszczęsnych reprezentantów. Im brutalniejsze są to ciosy, im pełniejsze pogardy, tym lepiej.

Nie powiem, niektóre docinki czy memy są zabawne. Ale w tym rytuale odreagowania dziwią mnie zawsze dwie rzeczy. Pierwsza jest taka, że nadzieje związane z występami naszej drużyny piłkarskiej są świadectwem ignorancji. Od lat polska piłka ma się kiepsko, poziom ligi jest mizerny, kluby odpadają w eliminacjach eliminacji europejskich pucharów, a jednak kiedy nadchodzą mistrzostwa, z niezrozumiałych czy raczej nieistniejących powodów wierzymy, że będzie dobrze albo bardzo dobrze. Doprawdy, nie ma ku temu żadnych powodów. Piłka nożna jest sportem, w którym decydujące znaczenie ma liczba słabych punktów drużyny. Inaczej jest w koszykówce, gdzie wybitny gracz potrafi „ciągnąć" całkiem przeciętne zespoły. W piłce jesteś raczej tak słaby, jak twoje najsłabsze ogniwo, a nie tak mocny, jak najmocniejsze. Boleśnie przekonuje się o tym teraz Robert Lewandowski, ale kiedyś przekonywali się tacy giganci futbolu jak George Best czy Ryan Giggs. Wszyscy oni osiągali wszystko w piłce klubowej i nie ugrali niczego w reprezentacjach. Choć byli czy są wielcy.

Brak sukcesów polskiej reprezentacji jest czymś, czego powinniśmy się spodziewać. A nie czymś, co powinno nas szokować. Rozpacz niedzielnych kibiców piłkarskich jakoś tam można jeszcze pojąć, ale wycie rozmaitych ekspertów każe się zastanowić, czy to faktycznie eksperci.

Druga rzecz, która mnie dziwi w narodowej rozpaczy, to fakt, że… są zjawiska i wydarzenia, które bardziej powinny nas smucić. Bo spójrzmy na to z tej strony: od kilkunastu lat regularnie gramy na imprezach rangi mistrzowskiej. Oznacza to, że przechodzimy eliminacje, gdzie ogrywamy tych najsłabszych i trafiamy do elity. W tej elicie to my jesteśmy najsłabsi, ale jednak w tej elicie jesteśmy.

A teraz przyjrzyjmy się tzw. liście szanghajskiej. To ranking najlepszych uczelni na świecie. W notowaniu ubiegłorocznym najlepsza polska uczelnia (Uniwersytet Warszawski) znalazła się pod koniec czwartej setki. Druga nasza uniwersytecka chluba, Uniwersytet Jagielloński, uplasowała się w piątej setce listy.

I to jest niesamowite, że jak w rankingu FIFA spadamy z pierwszej do drugiej dziesiątki reprezentacji piłkarskich, to cierpimy jako naród. A jak odpadamy w fazie grupowej Euro (piszę to po klęsce ze Słowacją), to mamy do czynienia wręcz z żałobą narodową. Jednocześnie kompletnie nam nie przeszkadza, że polska uczelnia jest 385. albo coś koło tego. Nikt nie wyśmiewa polskiej profesury i nie robi memów o rektorach. Dziwne. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Jedenastu niewspaniałych

Małgośka, mówią mi koleżanki, jak my przetrwamy Euro? „Przed telewizorem!" – odpowiadam. „Kłócąc się z facetami, czy był spalony". I tu następuje cisza, bo mało kobiet dobrze znosi taki coming out, nawet jeśli wcześniej przyklaskiwały genderowym nowinkom. Ale cóż począć, skoro jestem doświadczonym bramkarzem? Najpierw na bramce ustawiał mnie tata, potem moi synowie z mężem. Wolę więc myśleć, że nie tyle wypełniałam braki kadrowe w rodzinnych składach, ile po prostu reprezentowałam poziom mistrzowski, który dawał mi powołanie z automatu. Euro to dla mnie przede wszystkim widowisko miłe dla oka. Na murawę wychodzą dorodne chłopięta, ufryzowane, wyżelowane, świadome show, w jakim uczestniczą, bo przecież narody (zwłaszcza po pandemii) chcą igrzysk i chleba, i coca-coli (tu z wyjątkiem Ronaldo). Niektóre nawet mają to szczęście, że ich reprezentacja zwyczajowo potrafi rozgromić wrogów i tych z tabeli, i tych geopolitycznych, ale to nie jest nasz przypadek. My już wiemy od początku, jak tylko grają hymn na otwarcie, że już Polska zginęła w rozgrywkach i dalej pozostaje tylko jakieś majaczenie o honorze. To już mamy tak przetrenowane, że próg bólu mamy coraz wyższy, a to jedyna ewolucyjna zdobycz i pociecha. Ale patrzy człowiek w telewizor i nic nie rozumie, bo niby nasi nie odstają od reszty: ubrać się potrafią, wystylizować, pluć na odległość, faulować, ale kopnąć celnie do bramki to już jakby spoza listy obowiązków, tego już od nich oczekiwać nie wypada. A ja naprawdę w mojej pracy potrzebuję, żeby mnie reprezentacja godnie reprezentowała! Przecież ja też robię wszystko, żeby wstydu Polsce nie przynosić, wchodząc na wywiad do Kongresu, Senatu czy Parlamentu Madrytu. Wbrew pozorom to są ważne kwestie i polski soft power zależy również od futbolu.

Pamiętam, jak w czasie mistrzostw 2014 w małym hotelu w Porto pewna rodzina z Brazylii kłuła w oczy wszystkich swoją manifestacyjną dumą: ojciec, matka i troje dzieci przez cały pobyt zakładali T-shirty w barwach narodowych. Do restauracji, na basen, na kręgle schodzili, prężąc swoje „Brasil" na pięciu klatkach piersiowych. Do dnia, w którym ku zdumieniu wszystkich Niemcy rozgromiły Brazylię 7:1. Gdy więc rano brazylijski zastęp zszedł na śniadanie, wszyscy wybuchnęliśmy salwą śmiechu, bo zmienili swój dress code na czarny i unikali spojrzeń. No więc ja bardzo ładnie proszę, żeby nasza reprezentacja miała litość nad narodem i nie kazała nam wiecznie unikać spojrzeń, gdy rozmowa z obcokrajowcami schodzi na temat piłki nożnej. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Międzynarodówka kiczu

Nie będę udawał, że znam się na współczesnej muzyce rozrywkowej. Trudno mi z taką fachowością rozprawiać o utworach łączących techno i afro z muzyką klubową i odrobiną R&B, klasycznego jazzu i dance, choć chyba także z typową stylistyką harda rocka i wpływami Modern Talking. Tym bardziej że nie chodzi tu tylko o gust, lecz także o dokonania laboratoriów dźwiękowych, wytwórni specjalnych efektów wizualnych i studiów badających podświadomość, a może nawet prowadzących badania statystyczne nad zmianami słuchu w młodym pokoleniu. Na konkurs Eurowizji patrzę bardziej z perspektywy przemian społecznych i kulturowych. Poprzestanę na tzw. ogólnym wrażeniu.

Kreacje medialne w tej skali jak finał konkursu Eurowizji nie są rezultatem przypadku, ale fachowej realizacji pewnej wizji, która przyświeca nie tylko organizatorom finału, lecz także reżyserom tego wydarzenia na szczeblu krajowym. Pierwszy aspekt tej wizji to internacjonalizm. W konkursie starannie mieszano tożsamości narodowe. Uchronili się od tego jedynie przedstawiciele Bałkanów Zachodnich i Azerbejdżanu, a więc państw spoza Unii Europejskiej. Czechów nie mógł więc reprezentować Czech, Szwajcarię musiał reprezentować Albańczyk, San Marino – śniada reprezentantka stylu klubowo-rewiowego, Holandię – inny Afrykanin, a piosenkę polską musiał skomponować Szwed.

Drugi aspekt to słuszność wizerunku i przekazu, która musi zwyciężyć. Pytanie, o jaką słuszność chodzi. Posłużę się tu egzegezą tekstu włoskiego zespołu Måneskin, który ostatecznie konkurs wygrał. Reprezentuje on styl, który można nazwać soft satanizmem: ostre brzmienie gitar, dość prowokujące stroje, ponure miny i gardłowa ekspresja wokalna. Coś w gatunku hard rocka z lat 80.

O co jednak chodzi w tej pieśni? Zaczyna się to tak: „Oni nie wiedzą, o czym mówię!". Chyba tak, ale zaraz się przekonamy. „Brudne ubrania, bracie, od błota. Żółć od fajek na palcach. Idę z papierosem. Przepraszam, ale ja naprawdę wierzę, że mogę wykonać ten skok, nawet jeśli ulica idzie w górę". Nie wiemy, jaki skok, ale zapowiada się ciekawie. „Dobry wieczór, panowie i panie, aktorzy na scenę. Nalegam: dotknijcie swoich genitaliów". Na scenie? A myśleliśmy, że facet zabiera się do jakiejś roboty! „Teraz kopię w te drzwi. Rozgrzewam się jak wspinacze. Przepraszam, mamo, jeśli zawsze jestem na zewnątrz, ale jestem nienormalny, ale inny od nich". Hm, zbuntowany, dobrze. Ale w jakim celu? Oczywiście, że to raczej inni są nienormalni. Ale o co ci chodzi, chłopie? „Widziałem sól, a potem łzy. Ci faceci w samochodach nie osiągają prędkości". Nie mogą osiągnąć satysfakcji jak The Rolling Stones? A czegóż im jeszcze brakuje? „Piszę na nagrobku: »W moim domu nie ma Boga«". Aha, umarłeś, bracie. No to co za bzdury piszesz? Więc może to przenośnia z tym nagrobkiem? Nie ma Boga w narkotycznym transie. No, chyba tak! „Jeśli odnajdziesz znaczenie czasu, to powrócisz ze swojego zapomnienia i żaden wiatr cię nie zatrzyma". No, nie wiem, jeżeli ktoś budzi się z narkotycznego snu, to raczej ma doła. To nie wiatr go zatrzyma, ale kac. „Naturalna siła, z odpowiedniego punktu widzenia czujesz upojenie w wietrze z woskowymi skrzydłami na plecach. Poszukam tej wysokości, jeśli chcesz mnie powstrzymać, spróbuj ponownie, spróbuj odciąć mi głowę, bo jestem nienormalny, ale inny od nich. I ty jesteś nienormalna, ale inna od nich. Jesteśmy nienormalni, ale inni od nich. Niestety, ludzie gadają". No nic, wszyscy gadają. Ale jak rozróżnić, kto tu jest nienormalny, a kto nie? Czy wystarczy trochę kokainy?

Pieśń się spodobała, zwłaszcza publiczności, bo głosowanie fachowców wypadło nieco gorzej. Ciekaw jestem, ilu głosujących poznało znaczenie słów tej pieśni i czy w ogóle ktoś je zrozumiał. Nieważne? Cóż za wspaniała metafora domu wariatów! I jeszcze ten entuzjazm. Wszyscy widzowie byli rozanieleni, byli razem, byli szczęśliwi z bycia Europejczykami, nawet Australijczycy! ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl d3eaad21cf

GŁUPKI

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Chciałem napisać „debile", ale jeszcze się ktoś obrazi, a mnie nie chodzi o obrażanie, lecz o sprawozdanie – o wierny opis stanu rzeczy. Moim zdaniem rządzą nami głupki.

Widzieli Państwo te cyrki z trącaniem się łokciami w trakcie obrad G7 i NATO? No przecież idiotyczne. Wszyscy uczestnicy szczytu wyszczepieni dawno temu i w pierwszej kolejności – jako przywódcy swoich państw. (Cała obsługa i ochroniarze podobnie.) Każdy zaszczepiony, a wirus nie przenosi się poprzez podanie ręki, to czemu się trącają łokciami, zamiast podać sobie szuflę? Głupki.

A gdy stali przy swoich fotelach i pozowali do zdjęć tuż przed rozmową, to stali w maskach, ale gdy siedli na fotelach (żadnej zmiany odległości pomiędzy osobami), to maski zdjęli na oczach kamer i zaczęli normalnie rozmawiać. Czy poważni ludzie tak się zachowują? Nie. Głupki owszem – wyczyniają głupoty na pokaz.

Kamala Harris żegna się na lotnisku ze swoim mężem i wymieniają pocałunek – przez dwie maski. Czy to nie jest debilne? Oboje szczepieni, a do tego sypiają w jednym łóżku, mają wspólną łazienkę…

Premier rządu Wielkiej Brytanii reprezentuje Brytanię i królową. Mógłby się uczesać, bo z tym rozwalonym gniazdem srok na głowie wygląda głupio. Wiem – jest charakterystyczny, ma swój styl, ale ja nie chodzę boso do kościoła, bo nie wypada.

Premier Kanady też zapomniał do fryzjera, a do tego zakłada na twarz uśmiech taki, jakby właśnie popalił marychy.

Merkel reprezentuje naród niemiecki i prywatnie może sobie lubić ten fartuch pani woźnej, w którym stale chodzi, ale to w domu, a nie w świat, nie do ludzi. Nikt jej nie powiedział? A sama co, nie ma lustra? I zabrała ze sobą torebkę przypominającą worek z obrokiem dla konia. Nie ma sekretarki do noszenia klamotów? MA. To czemu nosi cokolwiek w tym worku na ramieniu? Margaret Thatcher też miała torebki, ale to była sztuka i klasa – jej torebki były odpowiednikiem kapeluszy królowej.

Naszą częścią świata rządzą głupki. A resztą świata towarzysze Xi i Putin.

***

Co robić z głupkami? Klasyk powiedział: „Z głupkami nie warto rozmawiać" i to nie ja. Ja tylko powtórzyłem tę sentencję za greckim filozofem, który udowadniał, że w rozmowie z głupkiem musisz zniżyć poziom dyskusji do poziomu jego głupoty, więc nie warto gadać.

I Putin nie pojechał na G7 z kimkolwiek rozmawiać. To nie były rozmowy ani negocjacje. Putin do tych głupków pojechał, żeby im to i owo POWIEDZIEĆ. Jest różnica! On im powiedział, co miał do powiedzenia, ale nie rozmawiał, a oni myśleli, że odbyli rozmowy. Głupki.

***

Rzućmy okiem na kwiatki polskie, na „Głupki polskie".

NBP oświadcza, że nie zmienia polityki pieniężnej, bo inflacja jest u nas taka jak w USA i Niemczech. Hm. Sami głupi czy nas mają za głupich? Bo w Niemczech inflacja jest inna niż w USA, to która z tych dwóch jest w PL?

A poza tym to nieprawda, bo w USA na razie ok. 5 proc., a u nas 30 proc. Wiem! Takiej liczby oficjalnie nie podają, ale… Proszę wziąć kalkulator i jakiś rachunek sprzed roku i porównać z rachunkiem obecnym. Ja porównałem. Kupuję na przykład olej opałowy do firmy. Od wielu lat kupuję i wiem, ile płacę, bo se zapisuję w tabelce. Ten sam zbiornik, ten sam piec i… w tym roku zapłaciłem za nalanie do pełna o 30 proc. więcej niż rok temu.

***

TVP podaje: złom i odpady przewożone z Niemiec do Polski. Karany jest kierowca, przewoźnik oraz organizator przewozu, a potem odpady wracają do Niemiec, a rząd się cieszy. Głupki!

Złom i odpady to kupa forsy do zarobienia. Zabierajmy to z Niemiec i każmy sobie płacić za wywóz. A potem każmy sobie jeszcze dodatkowo zapłacić z zielonych funduszy za recykling. Złom to kupa forsy i wie to każdy złomiarz. Wychodzi na to, że zwykły pijak to mędrzec, a władza to głupki.

***

Unia chce wprowadzić podatek węglowy? I nasze głupki się martwią, zamiast się ucieszyć. Przecież to jest doskonała okazja, żeby kazać Unii płacić za ten węgiel, którego my nie wykopiemy, lecz zostawimy pod ziemią. Chcecie, byśmy nie kopali i nie spalali, to go od nas kupcie i wtedy niech leży na dole. Jest wasz.

***

Polski rząd APELUJE do UE i Niemiec w sprawie zagrożenia energetycznego, jakim jest ruska rura NS2. Apeluje??? Trzeba zagrozić, a nie apelować. Trzeba im zagrozić polskim węglem i emisją CO_2, rozbudową Turowa i Bełchatowa, bo „jak nie będziemy mieli innego wyjścia, to będziemy zmuszeni kopcić tym, co mamy".

No ale nami rządzą głupki, więc głupki apelują i trącają się łokciami na kolejnych szczytach.

***

Białoruś wstrzymała na cztery dni przesyłanie ropy do Polski. I co my na to? Zachowujemy się jak głupek Jimmy Carter, któremu Fidel Castro wysyłał kolejne fale uchodźców. Castro pozbywał się problemu w postaci niechcianej opozycji, a Carter fundował tym ludziom studia, tak jak my fundujemy studia Białorusinom.

Mówię Państwu: rządzą nami głupki. Czyli w zasadzie nie ich wina. Bo co głupi wie o dobrym rządzeniu? Nic nie wie. Głupek to głupek. Więc nie ich wina, że nami głupio rządzą – nasza wina, że nami rządzą. ©℗

eprasa.pl d3eaad21cf

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIĘ

KSIĄŻKA

JACK FAIRWEATHER
„OCHOTNIK. PRAWDZIWA HISTORIA TAJNEJ MISJI WITOLDA PILECKIEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~302 ZŁ~~

185,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 117 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d3eaad21cf

RMF radio 24

nowe radio internetowe

informacyjne
radio
rmf24.pl

KOMENTARZE EKSPERTÓW!
NIE WYNURZENIA CELEBRYTÓW!

www.radio.rmf24.pl

eprasa.pl d3eaad21cf